WSPÓLNYMI SIŁAMI MOŻNA ROZWIĄZAĆ KAŻDĄ ZAGADKĘ.
WYSTARCZY SIĘ NIE PODDAWAĆ

NIECH PROWADZI NAS POKER

BOŻENA MAKOWSKA

NOVAE RES

BOŻENA MAKOWSKA

NIECH PROWADZI NAS POKER

Niech prowadzi nas poker

ISBN: 978-83-8219-936-9

© Bożena Makowska i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Anna Kuciejewska Korekta: Anna Jakubek

Okładka: Grzegorz Araszewski

Zdjęcia na okladce: olly18 | depositphotos.com linux1987 | depositphotos.com

miolana | depositphotos.com

@untitledphoto | unsplash.com

Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

woblink.com

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij TUTAJ

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X

I

Z łatwością podniósł się z maty. Sto pompek stanowiło element obowiązkowy każdego jego dnia. Nie przypominał sobie, żeby w ciągu ostatnich kilku lat choć raz go pominął. Jeszcze kilkanaście aktywnych minut na bieżni. Nie był zmęczony, gdy z niej schodził. Wręcz przeciwnie, odczuwał duży przypływ energii.

Pod żyrandolem coś się poruszyło. Zerknął w górę. Na sznurku apatycznie kołysał się plastykowy samolocik. Uśmiechnął się na wspomnienie podwójnego fikołka, którego sam nie wie, jakim sposobem zrobił w dniu, gdy dostał tę zabawkę od ojca. Biegał z nim wokół domu po raz któryś z rzędu i nagle po tym trochę niezdarnym salcie wylądował na trawniku pod świerkami, a samolot utkwił wysoko na jednej z gałęzi. Tato i drabina zaradzili tej katastrofie.

Chwycił ogon samolotu i lekko pchnął do przodu. Patrzył z wdzięcznością na chybocącą się miniaturkę.

Od kilkunastu lat lotnisko w Kobierzu to jego żywioł, skoki spadochronowe to jego pasja, a miłość to Olga. Tam ją spotkał po raz pierwszy.

Bruno usiadł przy biurku. Dom wypełniała idealna cisza. Patrzył na stojące przed nim zdjęcie ojca. Srebrzysta ramka otaczała wizerunek

eleganckiego starszego mężczyzny. Ojciec odszedł nagle kilka miesięcy temu. Oboje z matką za nim tęsknili.

Wziął do ręki małe drewniane pudełko. Surowe i skromne ze zwykłym metalowym zatrzaskiem uparcie kusiło. Chciał zajrzeć do środka. Po chwili zrezygnował z tego zamiaru. Wahał się tak, odkąd Marek Bromski umarł. Pudełko powróciło na miejsce obok fotografii.

Spojrzał przed siebie nieruchomym wzrokiem i zobaczył tatę, który troskliwym głosem mówił: „Synu, nie poddawaj się!”. Miał właśnie dziesięć lat i przed sobą czubaty talerz klusek z serem. Mama zachęcająco się uśmiechała, więc jadł i dawał radę. Ślęczał nad trudnym zadaniem z matematyki, a obok tato dopingował: „Synku, walcz!”. Nie odpuszczał więc, aż do skutku.

Wchodził do samolotu ze spadochronem na plecach. Niepewny, zastanawiał się, jaki będzie ten pierwszy skok. Jego myśli przerwał stanowczy, ale przyjazny głos ojca: „Nie możesz się poddać!”. A po udanym skoku tata natychmiast podszedł i poklepał go po męsku w ramię. Rozumieli się doskonale.

Odwrócił głowę w stronę telefonu. Wiedział, kto dzwonił. Czekał na ten kontakt.

– Co u ciebie, Brunonku? – usłyszał głos kobiety.

Choć pytanie zabrzmiało zupełnie niewinnie, mama wyraźnie eksplodowała ekscytacją.

– Wszystko dobrze, mamo. Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Nie dała mu powiedzieć nic więcej i czym prędzej wyrzuciła z siebie:

– Słuchaj, zgadzam się, żebyś wziął Pokera! – Za moment dodała: – Poker na pewno będzie miał u ciebie bardzo dobrze. Jestem o to całkowicie spokojna.

Uradowany, przez chwilę nie odzywał się, ale żeby matka nie zmieniła zdania, szybko ją zapytał:

– Czy mogę przyjechać jutro? Ogromnie się cieszę! Kocham tego psa. Jestem teraz na urlopie. Będę mógł poświęcić mu dużo czasu.

Bogna Bromska od razu przystała na propozycję syna:

– Dobrze, dobrze. Najlepiej po południu. Od rana zaplanowałam sobie trochę różnych spraw do pozałatwiania, a bardzo chciałabym cię zobaczyć.

– Będę po południu! Do jutra, mamo. Pa! Nie mogę się doczekać! Uściskaj ode mnie Pokera! – Kipiał optymizmem i entuzjazmem.

***

W sklepie z artykułami dla zwierząt kupił obrożę, smycz, karmę, materac i dwie miski. Zapakował wszystko do podstarzałego, ale niezawodnego jak dotąd mercedesa.

Rodzinny dom był oddalony o kilkanaście minut drogi. Wjechał w ulubiony rejon miasta. Tutaj spędził dzieciństwo. Na ulicę Piękną w Kobierzu wracał z nieskrywaną przyjemnością. Rozglądał się. Łaknął tego widoku. Zerknął na lewą stronę drogi i urodziwy park z zadbanymi trawnikami i utwardzonymi alejkami, przy których od lat rosły kasztanowce, graby i buki. Pod nimi czekały na spacerowiczów ławki. Największą atrakcją parku były rozłożyste platanowce i niezwykłe tulipanowce. Akurat teraz korony tulipanowców zdobiły zielonkawo-pomarańczowe kwiaty. Równo przystrzyżone trawniki okalały okazałe klomby z gąszczem czerwonych begonii oraz białych pelargonii, a wysokie krzewy berberysu dodatkowo upiększały parkowy pejzaż.

Spojrzał na prawą stronę jezdni. Stał tam rząd domów z ogrodami tonącymi w zieleni i różnokolorowych kwiatach.

Dom, przy którym się zatrzymał, tak jak wszystkie inne otaczały ukwiecone rabaty. Przepięknie kwitły na nich róże, ostróżki i piwonie. Jego matka bardzo o nie dbała.

Wysiadł z samochodu. Miał przycisnąć dzwonek domofonu, ale dostrzegł, że furtka jest tylko przymknięta. Gdy ją za sobą zamykał, coś go zaniepokoiło. Było inaczej niż zazwyczaj. Poker nie buszował przed domem, a mama nie stała, jak to miała w zwyczaju, w otwartych drzwiach.

Z głębi budynku dobiegało szczekanie, jednak drzwi nawet nie drgnęły. Zapukał kilka razy, ale usłyszał tylko skomlenie. Otworzył drzwi kluczem, który zawsze zabierał ze sobą, gdy jechał do rodziców. Poker siedział w holu.

– Witaj, piesku! Co się dzieje? Jesteś sam? – Patrzył na psa pytająco.

Kucnął przed nim i podrapał go za uchem. Poker polizał go po dłoni. Złapał owczarka za obrożę, przyciągnął do siebie i powiedział:

– Jesteśmy kumplami, pamiętaj! Chodź, poszukamy mojej mamy.

Razem zajrzeli do każdego zakamarka domu. Nigdzie nikogo nie było.

Usiadł w fotelu w urządzonym gustownie pokoju gościnnym. Poker ułożył się na wprost. Ani na moment nie odwrócił wzroku.

Na stole na koronkowym obrusie leżał album. Był pewny, że od śmierci ojca matka często do niego zaglądała. Na okładce rozpoznał jej pismo. Przeczytał: „Bogna i Marek Bromscy – nasze wczoraj”. Serce zabiło mu mocniej. Pomyślał, że przecież nie będzie wspólnego jutra jego rodziców. Głośno westchnął. Było mu przykro. Miał ochotę poprzeglądać fotografie, szczególnie te sprzed wielu lat, ale uznał, że to nie jest dobry moment. Odczuwał duże zaniepokojenie nieobecnością matki. Zaczynał się o nią martwić. Zatelefonował, ale nie odebrała. Na razie kładł to na karb spraw, z którymi zamierzała się uporać. Liczył na to, że zajęło jej to więcej czasu,

niż przewidywała. Nie popadał w panikę. Czekał, aż oddzwoni. Zawsze dotychczas tak robiła.

Postanowił rozejrzeć się wokół domu. Wyszedł z psem na zewnątrz. Tym razem żadne fluidy otoczenia nie przyciągały jego uwagi. Skrupulatnie przeczesał całe podwórze. Poker zachowywał się czujnie, ale spokojnie. Nie sygnalizował niczego podejrzanego.

Na podjeździe sąsiedniego domu pojawił się srebrzystoszary opel. Wyszedł z niego sąsiad, Tytus Kopski, który mimo słusznego wieku trzymał się świetnie.

– Dzień dobry, panie Kopski – od razu przywitał mężczyznę. Byli w życzliwej relacji. – Jak pana zdrowie? – dopytał jeszcze.

– A, dzień dobry, Bruno. Na razie nie narzekam. Oby tak dalej. A co u ciebie? – Kopski chętnie nawiązał rozmowę.

– W porządku. – Bruno nie miał zamiaru przepuścić takiej okazji, więc kontynuował: – Panie Tytusie, widział pan dzisiaj moją mamę? Powinna być w domu, ale jej nie zastałem. Nie odbiera telefonu.

Nie od razu otrzymał odpowiedź. Sąsiad zamilkł. Robił wrażenie zafrasowanego. Poluźnił krawat i odparł:

– Niestety, wcześniej niż zwykle wyjechałem do pracy i później wracam. Nadrabiałem zaległości. Widzę, że jesteś zmartwiony. Na pewno wróci. Dam ci znać, jeżeli coś zauważę.

– Dziękuję, chociaż miałem nadzieję, że… – Brunona nie satysfakcjonowała odpowiedź sąsiada, ale zaraz zmienił temat. – Zabieram do siebie Pokera. Będzie ze mną już na stałe. Mama się zgodziła. Nareszcie!

Kopski nie podjął jednak tego wątku. Jeszcze raz poprawił krawat, uśmiechnął się i pożegnał słowami:

– Na mnie już czas. Miałem ciężki dzień. Do widzenia! Do zobaczenia!

***

Poker bez najmniejszych oporów wszedł do domu. Bruno oprowadził go po wszystkich pomieszczeniach. Trochę czasu zajęło, zanim pies zapoznał się z nowymi zapachami. Wkrótce jednak poczuł się jak u siebie, bo najpierw zjadł porcję karmy, a później wypił miskę wody i odprężony położył się na materacu.

Bruno wybrał numer matki i z telefonem przy uchu nerwowo się przechadzał. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Nie doczekał się żadnej reakcji. Cisza po drugiej stronie pogrążyła go zupełnie. Zatęsknił za Olgą. Ufał jej. Bardzo potrzebował tej rozmowy. Odezwała się natychmiast.

– Od rana o tobie myślę! Kamień spadł mi z serca!

– Przepraszam – zająknął się i zaraz wyjaśnił: – Chyba stało się coś złego. Nie wiem, gdzie jest mama. Zero kontaktu przez cały dzień. A oprócz tego Poker jest ze mną i będzie na zawsze.

– To kapitalny psiak – szczerze się ucieszyła. – Będziecie zadowoleni ze swojego towarzystwa. Ale co z twoją mamą? Jak to jej nie ma? To niemożliwe! Proszę, nie denerwuj się. Będzie dobrze.

– Posłuchaj, Olgo, nie wiem, co robić! Nie mam żadnego punktu zaczepienia. Muszę ci wszystko opowiedzieć, od samego początku. Muszę! Jesteś mi potrzebna!

II

Bogna Bromska otworzyła oczy i natrafiła na ścianę słabo rzednącego mroku. Była kobietą nie najmłodszą, ale jakby na przekór temu każdego dnia tryskała energią. Teraz jednak towarzyszył jej ogromny dyskomfort. Odczuwała niezrozumiałą bezsilność. Leżała na czymś niewygodnym. Próbowała palcami rąk sprawdzić, co to jest. Dotknęła czegoś sztywnego i szorstkiego, co przypominało materiał, z jakiego wykonuje się worki. Z trudem odwróciła głowę. Wyglądało na to, że znajduje się w marnie skleconym szałasie. Ledwo rozpoznała zarys grubych i cieńszych gałęzi ciasno ze sobą poprzeplatanych. Zdawało się jej, że widzi krzesło. Gęstawy mrok, jaki panował we wnętrzu, nie pozwolił dojrzeć nic więcej.

Głowa pulsowała tępym bólem, a nogi były jak z waty. Właściwie całe ciało odmawiało posłuszeństwa. Nie słuchało jej. Te tajemnicze okoliczności napawały kobietę przerażeniem. Od momentu, gdy się ocknęła, głucha cisza stawała się coraz bardziej nieznośna.

Nagle usłyszała wyraźne pohukiwanie sowy. Powoli powracała do rzeczywistości. Miała potężny mętlik w głowie. Targało nią kłębowisko myśli, których w żaden sposób nie umiała uporządkować. Nasuwały się

pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi: Czy znajduje się w lesie? Dlaczego jest uwięziona? Jak do tego doszło? Co będzie dalej?

Zamknęła oczy… i naraz zobaczyła siebie jadącą kabrioletem. Droga świeciła pustkami, a po obu jej stronach zielenił się las. Była w wyśmienitym nastroju. Wybrała się na zakupy. Niespodziewanie tuż za nią wyrósł jak spod ziemi biały jeep. Początkowo nie zwracała na niego większej uwagi.

Znienacka poczuła silne uderzenie w tył samochodu. Najpierw jedno, potem drugie i trzecie. Zdezorientowana, zjechała na pobocze.

Znowu odezwała się sowa i kobieta ponownie uświadomiła sobie, w jak niewytłumaczalnym położeniu się znalazła. Oszołomiona i słaba postanowiła wstać. Poruszyła się, ale nie dała rady. Uzmysłowiła sobie, że jest skrępowana. Drżącymi rękami trafiła na gruby sznur. Wymacała go na brzuchu, udach i piersiach. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że nie ma najmniejszej szansy, żeby się podnieść. Sznur ciasno oplatał jej ciało. Nie wiedziała, w jaki sposób był przymocowany. Nerwowo zaczęła go szarpać, ale nic nie wskórała. Nawet nie drgnął.

Znieruchomiała. Zaczęła nerwowo i płytko oddychać. I nagle krótki przebłysk tego, co się stało: ktoś ją siłą wyciąga z samochodu. Widzi wysokiego mężczyznę. Chce zobaczyć jego twarz, ale mężczyzna odwraca się tyłem.

I zaraz drugi przebłysk: idzie leśną ścieżką. Ręce ma związane sznurem, którego koniec trzyma ten sam mężczyzna. Przechodzą obok starego dębu. Nie potrafi minąć go obojętnie. Stawia opór, by choć na chwilę stanąć. Solidne pociągnięcie unicestwia ten zamiar. Spogląda tęsknie na drzewo.

I jeszcze jedna migawka: przed nią wejście do małej, drewnianej, lichej chatki. Niezdarnie chwyta się chropowatej ściany i zastyga w bezruchu, ale wystarczy jedno gwałtowne szarpnięcie i już jest wewnątrz. Z krzykiem

upada na ubitą ziemię. A potem widzi, jak przez mgłę, butelkę pełną do połowy. Mężczyzna wlewa jej płyn do ust. Musi to wypić. Krztusi się, ale przełyka. Nie pamięta smaku… I nic więcej nie pamięta.

Obudził ja szmer dochodzący z zewnątrz. Miała wrażenie, że ktoś się zbliża. Choć w chacie panował w dalszym ciągu półmrok, w szparach ścian pojawiły się jaśniejsze zwiastuny nadchodzącego poranka.

Zaskrzypiały drzwi. Usłyszała ciche kroki. Dostrzegła niewyraźny zarys męskiej sylwetki. Wysoki mężczyzna świecił latarką prosto w jej oczy. Zamknęła je, ale ostre światło boleśnie przewiercało się przez przymknięte powieki. Potwornie się bała. Była całkiem zesztywniała od wielogodzinnego leżenia, ale teraz strach sparaliżował ją tak dalece, że nie potrafiła oddychać.

Z zamkniętymi oczami czekała na najgorsze. Szybko w myślach przywołała syna, zastanawiając się, czy go jeszcze zobaczy. Uwolniła się czym prędzej od tych wątpliwości. Przypomniała sobie życiowe motto męża. Nierzadko powtarzał: „Nie poddawaj się!”. A gdy borykała się z uciążliwym problemem i przestawała dążyć do jego rozwiązania, mąż siadał naprzeciw niej, chwytał ją za ręce i pytał:

– Co z tobą, Bogusiu? Dlaczego nie działasz? O co chodzi, kochanie? – A po chwili dodawał: – To nie leży w twojej naturze. Masz w sobie siłę! Walcz!

Potem wstawał, całował ją w czoło i zachęcał:

– Nie poddawaj się, Bogusiu! Nigdy się nie poddawaj!

Te wspomnienia nadeszły w samą porę. Ceniła męża za determinację i wolę walki. W pełni się z nim zgadzała. Postanowiła, że będzie walczyć do samego końca.

I nagle szok! Mężczyzna dotknął jej dłoni! Milczał. Czuła, że na nią patrzy.

– Muszę wyjść – wyszeptała.

Nie było żadnej reakcji. Spojrzała. Teraz widziała go dużo lepiej. Duże, ciemne okulary zasłaniały sporą część twarzy. Żółta czapka z daszkiem głęboko osadzona na głowie też z pewnością pełniła rolę kamuflażu. Niczego charakterystycznego nie zauważyła. Mężczyzna z nikim znajomym jej się nie kojarzył, choć na pierwszy rzut oka mogli być w podobnym wieku.

Poruszyła się na pryczy, bezsilnie pojękując. Ponownie popatrzyła na nieznajomego.

– Proszę. Muszę wyjść – powtórzyła, zatrzymując wzrok na okularach.

Zrezygnowała z wyartykułowania prośby po raz trzeci. Miała nadzieję, że zrozumie, o co jej chodzi.

Rzeczywiście przeczucie jej nie myliło, bo pochylił się nad legowiskiem. Kilkoma nieskomplikowanymi ruchami rąk wyciągnął spod niego końcową część sznurka. Z taką samą sprawnością obwiązał jeden nadgarstek kobiety. Zaraz potem usunął długi fragment sznura z jej ciała. Zwinął go jak lasso i, trzymając w lewej ręce, prawą energicznie podniósł Bromską i bez większego trudu postawił na nogi.

Była osłabiona, więc się zachwiała, ale zdążył ją podtrzymać, błyskawicznie chwytając jej łokcie. Odczekał moment i ruszył w kierunku wyjścia. Nie spieszył się, więc kroki stawiała powoli i ostrożnie. Kiedy otworzył drzwi, ujrzała leśny świt. Rześkie powietrze lekko ją cuciło. Przechodząc ponad kawałkiem tęgiej gałęzi, która pełniła rolę progu, niepewnie oparła wolną rękę o zroszoną ścianę. Sznur gwałtownie się naprężył, a ręka ześliznęła. Znowu zachwiała się, jednak nie straciła równowagi.

Szła za mężczyzną i raz po raz zerkała to na niego, to pod nogi. Stopy zanurzała w wysokiej trawie pokrytej rosą. Trawa łagodnie rzeźwiła.

Odczuwała ulgę.

Zaprowadził ją w gęstwinę paproci. Tam się zatrzymał. Nie odwracał się wystarczająco długo. Tyle czasu potrzebowała dla siebie.

Do szałasu wrócili w taki sam sposób. Szła za nim bez pośpiechu, a on ani razu nie spojrzał w jej stronę i ani razu się nie odezwał.

Trzymana na uwięzi, usiadła na pryczy. Obserwowała nieznajomego, nie okazując strachu. Walczyła ze swoimi emocjami. Mężczyzna przysunął bliżej krzesło, które stało pod ścianą. Usadowił się na nim i z kieszeni bluzy wyjął papierową torebkę. Położył obok kobiety. Skinieniem ręki pokazał, żeby wyjęła zawartość. Wyciągnęła kanapkę. Popatrzyła na nią z niechęcią. Nie miała apetytu, ale wiedziała, że musi zjeść. Gdy kończyła, z drugiej kieszeni wyjął butelkę. Bała się, ale przeważył rozsądek. Nie wzbraniała się. Każdy kolejny łyk alkoholu był torturą.

Kiedy ponownie ją pętał, poczuła ogromne znużenie. Zamknęła oczy. Półprzytomna usłyszała jeszcze rozpływający się gdzieś w oddali dźwięk skrzypiących drzwi. Zapadła w głęboki sen.

III

Małymi krokami zbliżał się wieczór. Bruno siedział na kanapie. Pogrążył się w rozważaniach dotyczących matki. Od rozmowy z Olgą trwał jak w letargu. Zewnętrzny świat nie istniał. Nie zważał na popiskiwanie Pokera, który to kładł się, to siadał i co chwilę dawał znać o sobie. W końcu wstał z materaca, podszedł do kanapy i położył łeb na kolanie. Mężczyzna ocknął się. Smutne oczy psa sprowokowały go do tego, czego nie zrobiłby w normalnych okolicznościach. Poklepał ręką siedzisko. Pies pojął zachętę, wskoczył na kanapę i wygodnie się rozłożył. Zapanowała przytłaczająca cisza. Przerwał ją dzwonek do drzwi. Spodziewał się wizyty, więc już po chwili je otwierał.

Olga Rajska, ze zgrabną sylwetką, którą podkreślały obcisłe dżinsy i ażurowa bluzka, z fryzurą przystrzyżoną dość krótko i zalotną nierówną grzywką oraz dłuższymi postrzępionymi włosami na smukłej szyi, wyglądała jak kobieta aktywna i kreatywna. Czarnowłosa, z zielonymi oczami, o regularnych rysach twarzy, swą niewątpliwą urodę podkreślała kolczykami z cyrkoniami w innym, kontrastowym kolorze w każdym uchu. Ten biżuteryjny stały akcent wskazywał na nietuzinkową osobowość.

Taka właśnie stała w drzwiach. Nie oczekując zaproszenia, weszła do środka. Od razu znalazła się w czułych objęciach ukochanego. To było teraz

dla nich obojga najlepsze.

Poker szybko przypomniał o sobie. Skutecznie trącił nosem nogę Olgi, a ona natychmiast się zreflektowała.

– Oj, piesku! Jak się masz?

Zwierzę siedziało i wpatrywało się w kobietę. Znało ją, bo razem z Brunonem odwiedzała Bognę Bromską.

– Daj łapę, Pokerze! – poprosiła.

Pies wyciągnął łapę i nastąpiło uprzejme powitanie.

– Nie ma to jak owczarek niemiecki. Jest bardzo posłuszny – pochwaliła zwierzaka i zachęciła jego właściciela: – Chodź, zrobię kawę. Musimy wszystko omówić i zdecydować, co robić.

Duże kubki z gorącym naparem stały na stoliku przy kanapie, gdzie Bruno skulił się w swoim zmartwieniu. Olga zajęła miejsce w fotelu. Nie popędzała go. Miała świadomość traumy, w której tkwił jej partner, i ze spokojem czekała.

– Telefonowałem dzisiaj do mamy kilkanaście razy. – W końcu zebrał się w sobie. – Nic z tego nie wyszło. Rozmawiałem też z panem Tytusem, sąsiadem mamy. Obiecał, że zwróci na wszystko uwagę. Skontaktowałem się z nim jeszcze później, ale nie miał dla mnie żadnych nowych informacji. Pomóż mi. Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami. Na pewno razem coś wskóramy. Z tobą nie może się nie udać. Rozumiesz, że to dla mnie bardzo ważne?

Słuchała w skupieniu. Już wcześniej podjęła decyzję.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie polegać. Wzięłam kilka dni wolnego. Z szefem ustaliłam, że później je odpracuję.

– Dziękuję. – Na twarzy mężczyzny uwidoczniła się ulga. – To zmienia postać rzeczy. Jesteś prawdziwym skarbem.

Dopijała kawę skoncentrowana na problemie. Poszukiwała trafnego na ten wieczór pomysłu. Kubek Brunona stał pusty, a on nieprzerwanie krążył myślami wokół zagadkowego zniknięcia matki. Postanowił, że zrobi wszystko, żeby jej pomóc, żeby ją odnaleźć. Tyle tylko, że nie wiedział, od czego zacząć. Co do Olgi miał pewność, że to kobieta energiczna i odważna. W końcu należeli do tego samego teamu spadochronowego, działającego w pobliskim aeroklubie. Znał jej potencjał.

Z każdą minutą sytuacja przeobrażała się w coraz bardziej refleksyjną. Olga zdecydowanie przeciwstawiła się temu.

– Nie wolno popadać w pesymizm. – Z pełnym przekonaniem popatrzyła na Brunona i dodała: – Jest późnawo, ale proponuję, żebyśmy zaraz pojechali do domu twojej mamy. Być może wróciła zmęczona i położyła się spać. Powinniśmy to zrobić, a jeżeli będzie trzeba, to zastanowimy się, co dalej.

Bruno natychmiast przystał na tę propozycję. Twarz lekko mu się rozjaśniła.

– W takim razie nie zwlekajmy! Jedźmy! – orędko odpowiedział. – A ty, zostajesz w domu! – Wskazał psu materac.

Poker, który w mig zrozumiał, co się święci, i stał już pod drzwiami, posłusznie wrócił na miejsce.

Wyjeżdżali spod domu przy zjawiskowo zachodzącym słońcu. Czerwono-pomarańczowe jawiło się niezwykle urodziwie. Nie miało to znaczenia. Nie byli w romantycznych nastrojach. Oboje troskali się o sytuację Bromskiej. Odrobina nadziei przyczaiła się jednak w zakamarkach ich myśli i wierzyli, że w drzwiach domu przywita ich matka mężczyzny.

Wkrótce mercedes podjechał pod bramę. W oknach domu panowała ciemność. Wysiedli z zaciśniętymi ustami. Bruno otworzył furtkę. Liczył na to, że przed domem zobaczy zaparkowany samochód matki. Niestety było

pusto. Od razu skierowali się ku domowi. Przygnębił ich panujący wszędzie całkowity bezruch. Nieprzyjemnie dotknęła martwa cisza.

To samo odczuwali wewnątrz budynku. Kompletna cisza i pustka były porażające. Oboje przeżywali potężny stres.

Bruno zapalił światło w salonie. Rozejrzał się z uwagą i doszedł do wniosku, że nic się nie zmieniło od popołudnia. Zatrzymał wzrok na albumie i nie miał pewności, czy leży dokładnie w tym samym miejscu. Nie drążył jednak tego tematu. Zdenerwowanie nie pozwoliło mu zapamiętać wszystkich szczegółów.

Udali się do sypialni. Zastali tam idealny porządek. Białe meble i pościel oraz biały dywanik tworzyły nieskazitelny obrazek. Bujna paproć na wysokim kwietniku uwydatniała pedanterię tego pomieszczenia. Metalowa, sporych rozmiarów półka z książkami była jedynym elementem wymykającym się temu trendowi. Po obu stronach szerokiego łóżka znajdowały się toaletki. Jednej z nich przez dłuższą chwilę przyglądał się Bruno. Potem podszedł i dotknął jej blatu.

– Nad czym się zastanawiasz? – zapytała Olga.

– Pamiętasz, jak przed trzema tygodniami pomagałaś mi w wyborze wody toaletowej? – Bruno przypomniał niedawną okoliczność.

– Oczywiście! Przypominam sobie, że zależało ci na zapachu konwaliowym – potwierdziła szybko.

– No właśnie. Na pewno pamiętasz też, że wspólnie wybieraliśmy duży flakon. Moja mama bardzo się z niego ucieszyła. Cały czas stał na tej toaletce. Widziałem go wielokrotnie. A teraz go nie ma.

– A gdy byleś tutaj dzisiaj po południu? Zajrzałeś do sypialni?

Bruno najpierw podrapał się po czole, a potem w geście rezygnacji opuścił ręce.

– W ogóle nie przyszło mi to do głowy. Wtedy nie przeczuwałem niczego złego.

– Słuchaj – spróbowała przywołać Brunona do porządku. – To jeszcze o niczym nie świadczy. Nie byłeś w sypialni, to nie byłeś. Co to ma za znaczenie? Równie dobrze twoja mama mogła ten flakon gdzieś przestawić. Chodź, zajrzymy do łazienki, do kuchni. Przecież może być tam, gdzie się tego w ogóle nie spodziewasz. A poza tym mogła go zabrać ze sobą.

Pokręcił głową. Nie zgadzał się, więc powiedział:

– Nie miała w zwyczaju nosić w torebce stumililitrowych flakonów. To bardzo mało prawdopodobne. Nie jest jednak wykluczone, że stoi gdzie indziej.

Chwycił rękę Olgi i pociągnął ją w kierunku wyjścia.

– Masz rację, rozejrzyjmy się po domu. Jeśli tego nie zrobimy, nie da mi to spokoju.

Skrupulatnie przejrzeli pozostałe pomieszczenia. Po wodzie konwaliowej nie było ani śladu. Gdy zamykali ostatnią szafkę w kuchni, spojrzał ze smutkiem.

– Musimy wracać – powiedział. – Nic tu teraz więcej nie zdziałamy.

– O tym samym pomyślałam. Dziś nie mamy już na nic szansy. Możemy ewentualnie ustalić plan na jutro. – I natychmiast zdecydowanie dodała: – Nie tylko możemy, ale bezwzględnie musimy. Koniec. Kropka.

Zareagował skinieniem głowy.

Zanim doszli do drzwi, zwróciła uwagę na puste psie legowisko, na którym leżały dwie kauczukowe piłeczki.

– Spójrz! – Pokazała palcem zabawki. – Weźmy je. Wiesz, ile będzie radości?!

Bez entuzjazmu sięgnął po nie. Wiedział, że ma rację.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, niespodziewanie skręcił w prawo w kierunku garażu. Zaskoczona zapytała:

– Co chcesz sprawdzić? Przecież wiesz, że twoja mama nie korzystała z garażu od czasu, gdy jej auto zatrzymało się na ścianie. Czyżbyś o tym zapomniał?

– Olgo! – Był wyraźnie podenerwowany. – Nie żartuj! Jaką masz pewność, że tam nie ma samochodu? Skąd to wiesz?

Milczała. Wiedziała, że się zagalopowała. Nie chciała, żeby jej słowa zabrzmiały kąśliwie, a wyszło, jak wyszło. Niestosownie w tych okolicznościach.

– Przepraszam. – Szczerze żałowała swoich słów. – Nie mam żadnej pewności. Sprawdź, tak będzie najlepiej.

Otworzył garaż. W środku, jak można było się spodziewać, nie znalazł kabrioletu. Porozglądał się jeszcze, żeby niczego nie przeoczyć. Zamykał garaż mocno sfrustrowany. Olga pocałowała go, żeby okazać skruchę i wsparcie.

– Przepraszam cię, to było nie na miejscu – powiedziała z pokorą w głosie.

– Nie gniewam się. Nie wracajmy do tego. Jedźmy do domu. – Spojrzał na nią wyrozumiale.

Potem zerknął w kierunku domu Tytusa Kopskiego. Miał ochotę wejść i porozmawiać. W żadnym oknie nie świeciło się światło. Było oczywiste, że sąsiad położył się spać. Nie zamierzał go budzić.

***

Radość Pokera, tak jak przewidywała Olga, nie miała granic. Na widok piłeczek tak mocno machał ogonem ze szczęścia, że mało brakowało, a by go urwał. Położył obie na brzegu materaca. Najpierw nosił w zębach raz

jedną, raz drugą po całym domu. Na moment zostawił je, ale zaraz zaczął przynosić do Olgi i Brunona. Niezmordowanie odkładał na legowisko, żeby za krótką chwilę znów obdarzać nimi swych przyjaciół. Wreszcie Bruno zdecydował, że nadszedł czas, żeby pies razem z zabawkami znalazł się na materacu, a Poker, jak przystało na zdyscyplinowanego zwierzaka, położył się.

Nie od razu zasnął. Przez jakiś czas nie spuszczał oczu z piłeczek. Potem patrzył tylko na Brunona. W końcu zaczął pochrapywać.

Cały wieczór spędzili na emocjonującej rozmowie. Rozważali wszystko, co tylko przychodziło im na myśl. Brali pod uwagę wypadek samochodowy, nagłe zachorowanie, a Olga napomknęła nawet o możliwości porwania. Nie analizowali dłużej żadnej z tych opcji, bo nie mieli choćby minimum wiedzy na ten temat.

Dochodziła północ, ale nie przestawali dyskutować. Wreszcie doszli do wniosku, że z samego rana należy odwiedzić miejscowy szpital i jeżeli tam nie uzyskają informacji, trzeba spróbować odszukać czerwony kabriolet.

Zasypiali przytuleni do siebie. Od czasu do czasu rozlegało się przytłumione sapanie Pokera.

Nagły dzwonek telefonu dosłownie postawił ich na nogi. W środku nocy mógł zapowiadać wyłącznie niespodziankę. Bruno, z nadzieją, że pomyślną, prędko sięgnął po urządzenie. Nazwa kontaktu „Mama” była tym, na co czekał od wielu godzin.

– Halo! Mamo! – odezwał się natychmiast. – Nerwowo powtarzał: – Mamo! Powiedz coś! Mamo! Gdzie jesteś? Mamo! Halo!

Głucha cisza nie wróżyła niczego optymistycznego. Połączenie zostało przerwane.

Wybrał numer matki, ale bez rezultatu. Uparcie próbował się dodzwonić. Każda próba była nieskuteczna. Patrzył na telefon, jakby liczył

na to, że odezwie się ponownie. Ten jednak milczał. Z aparatem w ręku chodził po sypialni. Krążył wokół łóżka. Podchodził do drzwi, zawracał, i tak w kółko.

Olga, która do tej pory nie przeszkadzała, stanęła przed nim.

– Dość! Dość! To nie ma sensu. W ten sposób nie pomożesz mamie. Uspokój się!

Usiadł na łóżku. Zakrył twarz dłońmi, a ona łagodziła atmosferę:

– Brunonku, proszę. Wiem, że się przejmujesz. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Zapewniam cię, że damy radę. Będzie dobrze. Słuchaj, ten telefon to nie dowód na to, że dzieje się coś strasznego.

Popatrzył w dal. Nie ukrywał przygnębienia.

– Łatwo powiedzieć: uspokój się. Najgorsza jest bezsilność. Chciałbym się nie denerwować, ale nie umiem. To zaczyna mnie przerastać. Wiem, że rzadko co udaje się na mrugnięcie okiem. Tym bardziej, że chodzi być może o… Nie, nie! Nie będę uprawiał czarnowidztwa. Możemy trochę sami popróbować, ale najprawdopodobniej trzeba będzie zawiadomić policję. I nie będziemy ciągnąć tego w nieskończoność. Policja to policja. Ma swoje sposoby.

Pokiwała głową na znak, że go rozumie. Ujęła jego dłonie, delikatnie pocałowała, a potem przytuliła do swoich policzków.

Musiało upłynąć kilkanaście minut, żeby zapanował nad emocjami i był w stanie zasnąć. Skulił się w łóżku jak małe dziecko. Trzymała go za rękę. Czekała, aż uśnie.

Krótko po wschodzie słońca byli już na nogach. Naprędce jedli śniadanie, a w tym czasie Poker robił poranny przegląd przydomowej działki. Po tej codziennej czynności, jak to miał w zwyczaju, gdy mieszkał na ulicy Pięknej, sięgnął łapą do klamki drzwi i je otworzył.

Gdy Olga z Brunonem weszli do holu, łeb psa znajdował się już w domu, a cała reszta jeszcze na zewnątrz.

– No, no! – Bruno pogroził psu palcem. – Tak nie zachowuje się porządny pies. Grzeczny pies czeka pod drzwiami. Rozumiesz?

Poker siadł i starał się zrozumieć. Przechylał głowę raz na lewo, raz na prawo i nastawiał uszu.

– Oduczymy cię takiego zachowania. – Bruno dalej dyscyplinował psa, ale zaraz dodał: – Wychodzimy! Do samochodu!

Poker od razu zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Podróż samochodem nie była dla niego czymś nowym. Bromska zabierała go czasem na wspólną przejażdżkę.

Wcześniej zgodzili się co do tego, że na razie nie ma sensu zaglądać do szpitala, a należy się skupić na kabriolecie. Czerwony kabriolet to raczej rzadziej spotykane auto, więc szybko doszli do porozumienia, że trzeba pójść tym tropem. Postanowili sprawdzić Kobierz, na ile się da, najdokładniej. Mieli również zamiar porozglądać się po okolicy.

Najpierw ruszyli w stronę rodzinnego domu z nadzieją, że zastaną tam samochód. Poker wyczuwał, dokąd jadą. Był niespokojny, kręcił się i popiskiwał.

Z jednej strony czuli rozczarowanie, kiedy okazało się, że przed domem jest jak wcześniej.

Z drugiej zaś spodziewali się takiej sytuacji.

W ciągu minionej nocy Bruno trochę okrzepł i wziął się w garść. Obecność Olgi dodawała mu otuchy. Lekko przycisnął pedał gazu. Rozpoczynali poszukiwania czerwonego kabrioletu.

Jezdnia, którą jechali, przecinała las, który intensywnie zielenił się po obu jej stronach. Dzięki opuszczonym szybom cały mercedes wypełnił się jego zapachem. O tej porze dnia droga była prawie pusta. Nie dziwiło ich to

wcale. Pojawił się, co prawda, biały jeep, ale tak jak szybko go zauważyli, tak szybko zniknął im z pola widzenia. Nie o ten samochód im chodziło, więc prędko o nim zapomnieli.

Przebyli już znaczną część drogi, gdy Poker nagle zaczął nerwowo szczekać i warczeć, wreszcie wyć. Takie zachowanie było zaskakujące na tyle, że Bruno zjechał na pobocze. Zatrzymał samochód i obejrzał się na psa, który nie przestawał natarczywie hałasować. Z dużą pasją dawał wyraz swojemu instynktowi. Zawziętość, z jaką to robił, sprawiła, że Olga postanowiła temu zaradzić.

– Może musi się przewietrzyć? – Spojrzała pytająco. – Może mu za duszno? Wyjdźmy z nim. Kilka minut swobody dobrze mu zrobi.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek tak się zachowywał. Chyba nie ma innej rady. Trzeba go wypuścić. – To powiedziawszy, Bruno otworzył tylne drzwi auta.

Owczarek wyskoczył jak strzała. Zaczął zapamiętale biegać po poboczu. Szczególnie interesował się kilkumetrowym jego odcinkiem. Biegał tam i z powrotem, bez przerwy węsząc.

Raptem, ku zaskoczeniu Olgi i Brunona, zatrzymał się. Podniósł łeb do góry i znowu zaczął rozpaczliwie wyć. Potem pobiegł, trzymając nos przy ziemi. W końcu położył się w miejscu, które obwąchiwał z największą zachłannością. Leżał i ciężko oddychał.

Bruno wyjął z samochodu smycz, podszedł do psa i przypiął ją do obroży. Pociągnął, ale ten nie wstał. Zupełnie nie reagował na to, do czego był zachęcany. Wyglądał na zrezygnowanego.

Mężczyzna bezradnie stał. Patrzył to na Pokera, to na Olgę. Musiał zakończyć ten impas. Przyszło mu na myśl, że pies może chętniej zareaguje na polecenie.

– Chodź! Jedziemy do mojej mamy! – nakazał zdecydowanym tonem.

Miał zamiar powtórzyć, ale tym razem owczarek posłusznie, bez najmniejszych oporów dał się zaprowadzić do samochodu. Znowu był grzecznym psem.

– On tęskni za twoją mamą – odezwała się Olga. – Musisz to zrozumieć. Trzeba czasu, by lepiej sobie radził z tą rozłąką. Masz dla niego serce. Niedługo będzie dużo lepiej.

Nie odpowiedział. Mimo wszystko takie zachowanie dziwiło go. Olga mogła mieć rację, ale niekoniecznie. Wielka szkoda, że człowiek nie ma możliwości pogadać ze swoim psem – pomyślał i głośno powiedział:

– Żałuję, że to nie jest gadający pies. Opowiedziałby, co go dręczyło.

Olga z dezaprobatą pokręciła głową.

– Co ty wygadujesz? Może taka gadająca papuga! Masz bardzo mądrego psa. Pamiętaj, że on też ma uczucia. Przecież aż się rzucało w oczy, że bardzo coś przeżywa!

***

Kobierz był niedużym miastem i z tego względu mieli szansę zrobić rekonesans tylko we dwoje w ciągu kilku godzin. Liczba ulic, która obejmowała jedną główną i kilkanaście bocznych, była ich sprzymierzeńcem. Co prawda rozproszona zabudowa swą rozległością mogła wywoływać obawy, ale na tym etapie nie miało to znaczenia.

Z umiarkowaną prędkością przemierzali kolejne ulice. Po blisko trzech godzinach zbliżali się do finału poszukiwań. Niestety, jak dotąd ich starania okazały się bezowocne. Nie zrezygnowali jednak. Postanowili zrobić to jeszcze raz, żeby mieć pewność, że nic nie umknęło ich uwadze. Znowu upłynęły ponad dwie godziny bez oczekiwanego rezultatu. Nie dość, że samochód Bromskiej zniknął jak kamfora, to na dodatek jakimś

niewytłumaczalnym trafem nie napotkali ani jednego auta w kolorze czerwonym. Bardzo rozczarowani, ale zdeterminowani, nie poddawali się.

Znaleźli się właśnie na peryferiach miasta. Witało ich centrum handlowe z ciasno zaparkowanymi samochodami.

I nagle oczom Olgi ukazał się czerwony kabriolet. Przetarła oczy, nie dowierzając samej sobie. Nie myliła się. Stał w jednym ze środkowych rzędów równo ustawionych aut. Do złudzenia przypominał samochód Bromskiej.

– Nie wierzę! Widzisz to samo co ja? – krzyknęła, wskazując ręką.

– Gdzie? Tak, tak! Już go widzę. Jedźmy tam! – Emocje powróciły z dużą siłą.

Zaparkowali, jak najbliżej się dało. Szczęście im sprzyjało, bo jedno miejsce parkingowe zwolniło się w tej samej chwili, gdy tam podjeżdżali. Szybko opuścili mercedesa. Kilka sekund wystarczyło, żeby stanęli przy kabriolecie. I choć numer rejestracyjny był inny, nie zważali na to. Samochód matki posiadał jeden charakterystyczny szczegół, po którym mieli nadzieję go rozpoznać.

Bruno podszedł do prawego przedniego błotnika. Pochylił się, obejrzał go centymetr po centymetrze. Przesunął dłonią po lakierze. Spodziewał się, że znajdzie tam niewielki odprysk, efekt niezbyt fachowej naprawy auta. Uparcie szukał, głaskał błotnik. Wreszcie musiał pogodzić się z faktem, że czerwony kabriolet zaparkowany przed centrum prawy przedni błotnik miał bez najmniejszej skazy. Na tym jednak nie zakończył, bo błyskawicznie zainteresował się kolorem tapicerki. Ponownie się rozczarował. Zobaczył czarną, gdy tymczasem wewnątrz auta jego matki dominował kolor grafitowy.

Wracali do samochodu z nietęgimi minami. Oboje borykali się z tą samą myślą, chociaż nie wypowiadali jej głośno. Natrętnie nękało ich coraz

większe przekonanie, że toczy się gra o życie.

Zanim wsiedli do mercedesa, Bruno popatrzył jeszcze na budynek centrum handlowego i wtedy zaświtał mu w głowie nowy pomysł. Nie zwlekając, powiedział:

– Takiej okazji nie możemy przegapić. Tutejsza księgarnia to jeden z ulubionych sklepów mojej mamy. Chętnie tu wpadała, nieraz razem ze mną. W wyborze książek najczęściej doradzała jej Alicja Talska, miła i kompetentna osoba. Chyba warto z nią porozmawiać. Mogła wczoraj widzieć mamę.

Olga przystała na to bez słów. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedział, że się zgadza. Zresztą, jej zdaniem, warto było odwiedzić księgarnię tym bardziej, że mieli ją pod samym nosem, więc grzechem byłoby nie wykorzystać tej szansy.

W księgarni od podłogi do sufitu piętrzyły się książki. Jedne równiutko poustawiane na regałach, a inne gęsto poukładane na stołach. Od razu rzucała się w oczy bogata oferta. Kilku klientów przeglądało akurat propozycje książkowe. Szykowna blondynka przechadzała się między stolikami i proponowała pomoc. Uśmiechem przywitała Brunona.

– Dzień dobry, pani Alicjo – odwzajemnił powitanie i zaraz przedstawił Olgę. – Przepraszamy, że przeszkadzamy, ale mamy niezwykle ważne pytanie. – Trzymał się w ryzach.

Kobieta z łatwością uwolniła go od obaw.

– Ależ proszę pytać! Z chęcią odpowiem. Niech pan się nie przejmuje, tylko pyta. Proszę się nie krępować.

Nie ociągał się, kuł żelazo, póki gorące.

– Czy moja mama była wczoraj w księgarni?

– Na pewno nie! – Talska kategorycznie zaprzeczyła. – Nie chcę was wprowadzać w błąd, ale wydaje mi się, że przed dwoma tygodniami

rozmawiałam tutaj z panią Bogną – uzupełniła, a następnie dopowiedziała: – Szczerze mówiąc, czekam na nią, ale to nic ważnego.

Zaczęła rozglądać się po księgarni. Bruno zrozumiał, że czas kończyć.

– Mam prośbę. Gdyby miała pani kontakt z moją mamą, to proszę jej przekazać, żeby zatelefonowała do mnie. Zresztą każda informacja ma dla mnie bardzo dużą wagę. Może sobie pani coś przypomni. – Wręczył swoją wizytówkę. – Proszę dać mi znać.

– Czy coś się stało? – z wyraźnym niepokojem zapytała.

– Nie wiem, ale od wczoraj mama nie daje znaku życia. Martwię się. – Bruno nie krył uczuć.

– Bardzo chciałabym pomóc. – Alicja Talska zasłoniła na chwilę usta dłonią, jakby szukała czegoś w myślach, po czym dodała: – Przypominam sobie, że ostatnio zamieniłam z pana mamą tylko kilka słów, bo zajęta była rozmową z jakimś nieznajomym. Ta rozmowa nie wyglądała na sympatyczną. Tego dnia miałam dużo pracy i sporo klientów do obsłużenia. Pani Bogna zniknęła mi wtedy z oczu, nie wiem nawet kiedy.

Co prawda zamierzał jeszcze zapytać, dlaczego kobieta czeka na jego matkę, ale Olga złapała go za rękę, dając znać, że najwyższa pora kończyć rozmowę. Powiedział więc tylko:

– Dziękujemy za pomoc. Proszę o mnie pamiętać. Do widzenia!

– Do widzenia pani! – uprzejmie przyłączyła się Olga.

– Do zobaczenia. Głowy do góry! – Talska przybrała jedną ze swoich najbardziej przyjaznych min, ale w głębi serca było jej szczerze przykro.

Bruno z Olgą wyszli na zewnątrz i od razu swoją uwagę skierowali na ogródek kawiarniany, który prezentował się bardzo porządnie. Miłym wyglądem zapraszał równo przystrzyżony, zadbany trawnik ze stolikami i krzesłami w kolorze pistacji, otoczony pistacjowym niewysokim płotkiem.

Na nim w równych odstępach wisiały doniczki z jaskrawopomarańczowymi pelargoniami. Przy wejściu stała tabliczka z informacją: „ZAPRASZAMY Z PRZYJACIELEM”. Pod napisem sylwetka psa rozwiewała wszelkie wątpliwości. Miska z wodą dla pupila znajdująca się pod tabliczką dopełniała całości.

– Wiesz co… – Bruno spojrzał na Olgę – …idę do samochodu po Pokera, a ty wybierz stolik.

– O tym samym pomyślałam. – Też miała ochotę na kawę.

Usiadła przy stoliku w pobliżu wejścia, a już dosłownie po chwili rozradowany pies wbiegł na teren ogródka.

Bruno przyniósł dwa kubki kuszącej aromatem kawy z automatu. Pili w milczeniu, a Poker skrył się przed słońcem pod stolikiem. Leżał i nie zwracał uwagi na otoczenie. Jednak gdy wejście w pistacjowym ogrodzeniu przekroczył mężczyzna w dużych przeciwsłonecznych okularach, nerwowo się poruszył. Zarówno Bruno, jak i Olga nie dostrzegli tego.

Kończyli kawę. Zatopieni w niemych rozważaniach nie wykazywali zainteresowania tym, co dzieje się w pobliżu. A zbliżał się właśnie ów mężczyzna. Gdy znalazł się o krok od stolika, pokazał na psa.

– Śliczny… – nie dokończył.

Poker nagle wyskoczył i, warcząc, rzucił się na niego. Ten błyskawicznie odwrócił się, ale nieopatrznie zahaczył o nogę krzesła i jak długi runął na trawę. Najpierw do miski z wodą wpadły okulary, a zaraz potem wylądowała tam cała twarz. Niespodziewanie pies przestał warczeć, a zajął się obwąchiwaniem leżącego.

Bruno zerwał się na równe nogi i czym prędzej odciągnął owczarka na bezpieczną odległość. Chwilę potrwało, zanim zaskoczony i oszołomiony nieznajomy podniósł się i zaczął strzepywać trawę z ubrania. W tym czasie Olga wycierała papierowymi serwetkami jego ociekający wodą nos.

Teraz dopiero Poker dał popis ujadania. Wyrywał się, charczał, rzęził i szczekał tak niemiłosiernie, że ci, którzy przechodzili obok, przystawali i z zaciekawieniem przyglądali się tej sytuacji.

Bruno mocno pociągnął smycz i krzyknął:

– Spokój! Spokój! Siad!

Pies zamilkł i posłusznie usiadł, a jego właściciel zwrócił się do zaatakowanego:

– Czy nic się panu nie stało? Przepraszam. Dotychczas to się nie zdarzyło.

– Nic mi się nie stało. Też poczuwam się do winy. Do obcego nie wolno podchodzić zbyt blisko. – To mówiąc, zaatakowany stanął tyłem i założył okulary.

– Gdyby poczuł się pan źle, albo… – Bruno zawahał się – …dam swój numer telefonu.

– Nie, nie trzeba. W porządku. – Mężczyzna odmówił i, nie patrząc na nikogo, poszedł w kierunku parkingu.

Mieli mieszane uczucia. Odprowadzali wzrokiem oddalającą się postać i najzwyczajniej w świecie czuli się źle z tym, co się wydarzyło. Całe to nieprzyjemne zdarzenie łagodził fakt, że nie doszło do pogryzienia.

Pierwsza otrząsnęła się Olga i zagadnęła:

– Nic tu po nas. Powinniśmy jeszcze sprawdzić obrzeża miasta. Chodźmy do samochodu.

Bruno też tak uważał. Ruszył z Pokerem za Olgą. Nie potrafił jednak tak z minuty na minutę uwolnić się od incydentu w kawiarnianym ogródku, bo kiedy usiadł za kierownicą, zapytał:

– Co to może znaczyć? Co się dzieje z tym psem? To nie są żarty! To poważniejszy problem.

– Mnie również to dziwi. Nie rozumiem tego. Tak samo jak ty, jestem zaskoczona. Muszę to dogłębnie przemyśleć. – Zerknęła na owczarka i podkreśliła: – To taki poukładany pies! Tu chodzi o coś, czego my nie jesteśmy w stanie pojąć.

A Poker z nosem prawie przyklejonym do szyby znowu zachowywał się jak przykładny pies. Był wzorowo spokojny.

Objechali tereny sąsiadujące z Kobierzem. Tonęli w minorowych nastrojach, a mimo to bacznie obserwowali mijane miejsca i samochody. Napotykali różne auta, ale kabriolety jakby zapadły się pod ziemię.

Doskwierało im zmęczenie i głód, gdy podjeżdżali pod dom. W grę nie wchodziła dłuższa przerwa w poszukiwaniach, lecz potrafili racjonalnie ocenić okoliczności. Postanowili trochę odpocząć, coś przekąsić i przede wszystkim zdecydować o kolejnych krokach. Traktowali to priorytetowo.

W domu Olga zaczęła krzątać się po kuchni. Poker najadł się, położył i psa nie było. Bruno odpoczywał na kanapie pogrążony w myślach o matce.

Olga pospiesznie odgrzewała kiełbaski. Do plecionego koszyczka włożyła kilka kawałków razowego chleba. Zaparzyła w dzbanku herbatę. Nakryła do stołu. Usiadła obok Brunona i choć apetyt na zjedzenie czegokolwiek całkowicie u obojga się ulotnił, nie dała za wygraną.

– Jeżeli nie zjemy, to wkrótce zwyczajnie padniemy! Musimy mieć siłę i energię! To podstawa! – Patrzyła wzrokiem niedopuszczającym sprzeciwu.

Nie reagował. Wpatrywał się w zielone oczy całkowicie nimi zafascynowany. Wiedział, że to jest dobry moment, żeby paść, ale nie z głodu, tylko w jej ramiona. Przysunął się i powiedział:

– Jesteś bardzo kochana. I chyba już ci mówiłem, że piękna. Te twoje cudowne oczy… no i te kolczyki…

Delikatnie ją objął i zanim pocałował, usłyszał:

– Wiesz, że też bardzo cię kocham. I chyba też ci już mówiłam, że przystojniak z ciebie.

Długi pocałunek przypieczętował te wyznania. Olga położyła głowę na ramieniu Brunona, a on ponownie przytulił ją mocno do siebie. Zapanowała kompletna cisza przerywana jedynie pomrukami śpiącego Pokera.

– Oj, herbata nam wystygła. – Powróciła do rzeczywistości. Trzymała w ręce kiełbaskę. – Chyba mi nie odmówisz? – zapytała prowokacyjnie.

– Dobrze, jemy i do dzieła! – Bruno, naładowawszy swój uczuciowy akumulator, też zabierał się do jedzenia.

Zadzwonił telefon, burząc ten i tak pozorny spokój. Mężczyzna nerwowo odebrał połączenie.

– O, dzień dobry, panie Tytusie! – przywitał dzwoniącego.

Zauważyła, jak w mgnieniu oka zmienił się wyraz jego twarzy. Trwała w coraz większym napięciu. Nie miała wątpliwości, że chodzi o coś ważnego, gdy usłyszała:

– Dziękuję! Już jedziemy! Do zobaczenia!

Zakończył rozmowę i podenerwowanym, ale pewnym, tonem powiedział:

– Mamy mamę. Pan Kopski właśnie wrócił z pracy i zobaczył kabriolet przed domem. Szybko! Bierzemy Pokera! Co za ulga!

Pies, jak na zawołanie, stał już przy drzwiach. Szybko opuścili dom i wsiedli do mercedesa. Pragnął czym prędzej spotkać się z matką. Docisnął pedał gazu, jechali z dużą prędkością skoncentrowani wyłącznie na dobrej wiadomości. Olga odczuwała ogromną presję sytuacji. Patrzyła przed siebie i, zaciskając obydwa kciuki, powtarzała w myślach: Niech pani Bogna będzie w domu, niech pani Bogna będzie w domu, niech…

Bruno się nie odzywał. Całkowicie się wyłączył. Maksymalnie skupił się na jednym celu: ulica Piękna, rodzinny dom, matka. Miał nadzieję, że

będzie witała ich w drzwiach.

Podjechali pod bramę. Rzeczywiście na podjeździe domu stał czerwony kabriolet. Zapatrzeni w auto nie spostrzegli, że podszedł sąsiad. Uświadomili sobie jego obecność dopiero, kiedy usłyszeli, jak mówi:

– Dzień dobry! Dobrze, że jesteście. Pani Bogna pewnie odpoczywa w domu. Nie chciałem jej przeszkadzać. Najlepiej będzie, gdy najpierw porozmawia z wami.

Zmartwiony i zakłopotany, ale mimo wszystko pozytywnie nastawiony, uśmiechnął się, podrapał się po głowie i zaproponował:

– Gdybyście mieli ochotę, zapraszam na herbatę.

Bruno zamykał właśnie furtkę i choć na sercu leżało mu co innego, z aprobatą pokiwał głową. Potem odczekał skoncentrowany na części frontowej domu. Jego matka nie stała w otwartych drzwiach. Ruszył. Olga i Poker dotrzymywali mu kroku. Nie skorzystał z dzwonka, drzwi otworzył sam, na wypadek, gdyby spała. Wolał jej nie budzić.

W domu panowało głuche milczenie. Sytuacja wyglądała jak poprzednio. I tak jak przedtem nikogo nie zastali. Gdy opuszczali sypialnię, był podłamany. Olga nie próbowała niczego tłumaczyć. Chwyciła tylko jego rękę i mocno ścisnęła, przypominając, że jest i że go wspiera. Pies pokornie szedł przy nodze.

Na zewnątrz dokonał oględzin kabrioletu. Zaczął od prawego przedniego błotnika. Bez trudu trafił na niewielki ubytek lakieru. Numery rejestracyjne się zgadzały, a tapicerka miała grafitowy kolor. Był przekonany, że ma przed sobą auto matki.

Olga też krążyła dookoła samochodu, a kiedy znalazła się przy jego tylnej części, zawołała:

– Chodź tutaj! Spójrz! Są ślady stłuczki!

Już był za kabrioletem. Tył auta miał lekkie wgniecenie.

– Ktoś tutaj uderzył – dotykał pofałdowanego fragmentu. – Może zrobił to celowo, a może nie.

Jeszcze raz przyjrzał się powyginanej i porysowanej blasze.

– Mamy w dalszym ciągu nie ma, a w kabriolet ponad wszelką wątpliwość ktoś walnął. Pokusiłbym się o stwierdzenie, że ma to związek z tym tajemniczym zniknięciem. – Spojrzał na Olgę i czekał na jej opinię.

– Dowodów na to, że faktycznie istnieje taki związek, nie mamy. Wcale jednak nie jest wykluczone, że masz rację. Zresztą jak wytłumaczyć, że samochód nagle się tu pojawił, a nie ma pani Bogny! – Dała upust swoim emocjom, dopowiadając: – To albo szczyt bezczelności, albo szczyt głupoty!

Stał, opierając się o samochód, z rękami w kieszeniach. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wzięła sprawy w swoje ręce i prosząco zaproponowała:

– Chodźmy na chwilę do pana Tytusa. Pogadajmy z nim.

– Dobrze, tylko nie wiem, czy Poker może z nami pójść. Najlepiej będzie, gdy zapytam. Zaczekajcie tutaj. – Ruszył w stronę najbliższego domu.

Sąsiad chętnie się zgodził, a nawet ucieszył.

– Bruno – powiedział. – Przecież Poker nie raz, a nawet nie dwa gościł u mnie. Polubiłem go. Nie ma żadnego problemu. Zapraszam. Wchodźcie wszyscy. Co z mamą? W porządku?

Wnętrze domu wyglądało nieskazitelnie. Panował w nim porządek. W niedużym salonie rzucała się w oczy okazała biblioteka. Kopski był zagorzałym czytelnikiem. Często wymieniał się książkami z sąsiadką. Niekiedy Bruno podrzucał im nowości wydawnicze.

Zaprowadził ich do stolika otoczonego czterema fotelami, na którym w porcelanowym wazonie pyszniły się białe róże.

– Dlaczego nic nie mówisz? Jak się czuje mama? – zapytał jeszcze raz.

– Jest samochód, ale mamy nie ma. – Bruno odparł z rezygnacją w głosie.

– Pani Bromskiej nie ma w domu – potwierdziła Olga.

– Jak to nie ma? Co wy mówicie? A samochód? Skąd się wziął samochód? – Kopski był totalnie zdumiony. – Już niosę herbatkę, chwileczkę. – Popatrzył ze współczuciem na gości. – Coś wymyślimy. Nie damy się!

Na stoliku szybko pojawiły się ozdobne filiżanki ze świeżo zaparzoną herbatą. Zaraz też znalazły się tam kruche ciasteczka na szklanej paterze. Starszy mężczyzna, mimo że samotny, doskonale sobie radził. Zaprosił do poczęstunku.

– Herbatniki są wyśmienite. Nie poprzestaniecie na jednym. Wyjawię wam moją tajemnicę. Otóż sam je upiekłem! Rozpiera mnie duma!

Olga uśmiechnęła się.

– Wyglądają rewelacyjnie. Zaraz powiem więcej. – Odgryzła kawałek ciastka i pochwaliła: – Smakują wybornie!

Gospodarz, choć zadowolony z tej uprzejmości, zdawał sobie sprawę, że nie pora rozmawiać o wypiekach. Prędko zmienił temat.

– Przyznaję, że kilkukrotnie telefonowałem. Niestety nic z tego nie wyszło. Żadnej reakcji. Jestem przekonany, że telefon był sprawny. Co zamierzacie?

– Wczoraj wieczorem, właściwie w środku nocy, miałem głuchy telefon. –Bruno spojrzał na sąsiada. – Ktoś do mnie dzwonił z aparatu mamy. To, co się dzieje, coraz bardziej mnie przytłacza.

Nikt nie chciał używać słów na wyrost, ale wszyscy uświadomili sobie, że problem jest poważny. Bruno pokładał nadzieję w tej rozmowie i doświadczeniu życiowym Kopskiego. Ten z kolei starał się wpaść na jakiś

pomysł, ale nic odkrywczego nie przychodziło mu do głowy. Olga cierpliwie wyczekiwała.

– Nie wiem sam, co powiedzieć, co robić. Wiem na pewno, że dobra wiadomość jest taka, że nie dotarła do nas żadna zła. Nie będziemy popadać w melancholię. A tak poza tym to już dzisiaj spodziewałem się pozytywnych wieści. Gdy zobaczyłem samochód, ucieszyłem się… ale teraz… – Sąsiad spróbował podratować sytuację.

Kopski zamyślił się, patrząc gdzieś w odległy punkt. Poker leżał na dywanie, uważnie obserwując rozmawiających. Olga, trzymając filiżankę w ręce, dyskretnie zerkała na wystrój pomieszczenia. Podobał się jej. Estetyczny i schludny skutecznie uspokajał. Z zainteresowaniem przyglądała się książkom ustawionym na wysokim regale. Przeskakiwała wzrokiem z półki na półkę, gdy naraz na środkowej dostrzegła duży flakon wody toaletowej. Była pewna, że taki sam Bruno kupił mamie. Taki właśnie wybierali wspólnie. Flakon damskiej konwaliowej wody toaletowej stał w samym centrum biblioteczki. Jeszcze raz rzuciła okiem na półkę, żeby się upewnić. Nie myliła się, a jednocześnie zaczęła być podejrzliwa. Uznała, że damska woda toaletowa u samotnego starszego mężczyzny to dziwna sprawa, a już woda konwaliowa, w okolicznościach, które się wydarzyły, może być istotną poszlaką.

Kopski w dalszym ciągu myślami znajdował się daleko. Siedział w fotelu bez kontaktu z otoczeniem. Wykorzystała tę sytuację. Znaczącym ruchem głowy zwróciła uwagę Brunona na regał i od razu na właściwą półkę. W mig pojął, o co chodzi. Dosłownie go zamurowało. Zaczęła go nękać cała masa pytań: Czy to woda toaletowa mamy? Czy ten sympatyczny człowiek ma coś na sumieniu? Czy zrobił mamie krzywdę? Czy to możliwe, żeby używał damskiego zapachu? Czy to przyjaciel, czy manipulant?

Spojrzeli na siebie. Nie można było czekać. Rozumieli się bez słów.

– Panie Tytusie! – Stanął tuż przy fotelu, na którym sąsiad prawie drzemał. – Panie Tytusie – powtórzył głośno. – Przepraszam, ale muszę skorzystać z toalety. Czy pozwoli pan?

Starszy mężczyzna ocknął się zupełnie.

– Ależ oczywiście! Proszę, zaprowadzę. – Uśmiechnął się.

Energicznie wstał z fotela i wyszli. Gdy wrócił, Olga zaciekawiła się księgozbiorem, pytając o zainteresowania czytelnicze właściciela. Wyjął kilka książek i widać było, że z dużą przyjemnością prezentuje ich walory.

W tym samym czasie Bruno, nie tracąc ani chwili, zaglądał do pomieszczeń położonych poza salonem. Każde z czworga drzwi otworzył bezszelestnie.

Nie miał zbyt wiele czasu, więc szybko wszedł do gabinetu i pobieżnie się rozejrzał. Ciemne, niezbędne meble: regał, biurko, krzesło, bez bibelotów i roślin, tworzyły dość oschłą atmosferę. Nie miał tu czego szukać. Następne drzwi prowadziły do sypialni. Tutaj zainteresował się łóżkiem i szafą. Mimo że pościel była idealnie ułożona, zerknął pod kołdrę, a potem pod łóżko. Wnętrze szafy też go niczym nie zaniepokoiło. Dosłownie na palcach dotarł do garderoby. Nic nie wymykało się z porządku tego miejsca. Czym prędzej dokonał jeszcze oglądu łazienki, która – jak każde z poprzednich pomieszczeń – była schludna i zadbana. Żadnych niespodzianek. Męska woda toaletowa w ciemnej smukłej buteleczce potwierdzała, że gospodarz raczej nie używa innych. Na koniec, żeby uwiarygodnić powód nieobecności, uchylił drzwi toalety i spuścił wodę.

Gdy wchodził do salonu, sąsiad rozpływał się akurat w pogawędce z Olgą. Zachęcał do przeczytania jednej z książek.

– Proszę, to piękna i mądra powieść. Nie musi się pani spieszyć. Myślę, że spodoba się takiej uroczej czytelniczce.

– Chętnie. Dziękuję. Ufam pana opinii. – Starała się być miła.

– Na nas czas. – Bruno uciął rozmowę i uprzejmie dodał: – Dziękujemy za herbatę. Będziemy w kontakcie.

Kopski odprowadził ich przed dom. Bruno rozejrzał się po otoczeniu. Po lewej stronie znajdowała się wiata, pod którą był zaparkowany opel. Po prawej rosło kilka dorodnych srebrzystych świerków, a w niedużej odległości od nich – rząd krzewów hortensji obsypany kulami błękitnych kwiatów. Już miał wyrazić zachwyt tym widokiem, gdy między hortensjami mignęła wiewiórka. Nagle wyskoczyła spod nich i lekkimi susami biegła w kierunku świerków. Nie uszło to uwadze Pokera. Instynktownie puścił się za nią. Był bardzo szybki i dystans wyraźnie zmalał. Bruno w mgnieniu oka skorzystał z okazji. Pobiegł za psem, który o mało co nie schwycił rudej kity, ale wystarczył jeden skok na świerk, żeby zwierzę mu umknęło.

Bruno przywołał psa i razem obeszli teren wokół domu. Poker nie sygnalizował swoim zachowaniem niczego szczególnego. Toteż po chwili wracali do Olgi, która oprócz książki trzymała w ręce kilka róż. Teraz dopiero dostrzegł od strony frontowej różany krzew. Rósł tam samotnie i wyróżniał się obfitością kwiatów.

– Bardzo dziękuję. Był pan bardzo miły. – Olga, nie do końca przekonana o szczerości rozmówcy, starała się zachowywać kulturalnie. Podała mężczyźnie rękę.

– To dla mnie, nie ukrywam, sama przyjemność – zrewanżował się i od razu zaproponował: – Gdybym mógł się do czegoś przydać, to proszę dzwonić o każdej porze!

– Dziękujemy. Będę pamiętał. Do widzenia! – Bruno pomachał ręką na pożegnanie.

Zapakowali się do samochodu trochę niezdarnie, trochę oszołomieni. Najsprawniejszy okazał się Poker. Bruna dręczył niepokój.

– Właściwie to już nie wiem, czy ufać Kopskiemu, czy nie. Na przykład ta woda toaletowa. Konwalie? No nie wiem. Wydaje mi się to… Ale wyobraź sobie, że w łazience stoi woda dla mężczyzn. Taka na bazie opium. Znam ją, nawet interesująca. Mój tata czasem ją kupował.

– Czyli z facetem jako facetem w porządku. – Olga czuła się usatysfakcjonowana. – Chociaż, tak z perspektywy, to nie będę się stanowczo upierać przy podziale na damskie i męskie. Wszystko zależy od tego, co komu pasuje. Takie jest życie.

– Bo ja wiem. – Bruno nie do końca dał się przekonać. – Albo te ciastka…

– E, tam! – żachnęła się. – Kto wie, może sam kiedyś upieczesz takie pychoty.

***

Pies czekał nie tylko do momentu, gdy dom został otwarty. Stał przed drzwiami nawet wtedy, gdy Bruno i Olga znaleźli się w holu.

Ta, zadziwiona, obejrzała się.

– Ho, ho! Jaka kultura! Nieproszony nie wchodzi. Co za pies! – pochwaliła. – Zaproś Pokera do środka! – krzyknęła, gdy połapała się, że jest sama.

Bruno pojawił się ze szklanką wody w ręce. Gasił pragnienie. Stres zrobił swoje.

– Zadziwia mnie ten zwierzak. – Z uznaniem skomentował sytuację, którą zastał, i żeby nie było cienia wątpliwości, rzucił jeszcze: – Dosłownie psi ideał!

Stanął w drzwiach i nakazał:

– Chodź do domu!

Poker oczywiście posłuchał. Również wówczas, gdy Bruno nasypał karmy do miski i kiedy usłyszał komendę: „Spać”!

Popołudnie miało się w najlepsze. Strudzeni dotychczasowymi zdarzeniami zamierzali odpocząć i na nowo zebrać siły. W tle rozbrzmiewała miła muzyka, ale nie przynosiła ukojenia. Bruno ułożył się wygodnie na kanapie i ani na sekundę nie przestawał myśleć o matce. Olga usiadła w fotelu i przeglądała książkę. Co chwilę zerkała na róże od Tytusa Kopskiego.

– To niemożliwe. On nie skrzywdziłby nikogo – pocieszała w myślach samą siebie.

Nagły dzwonek telefonu zabrzmiał tak alarmująco, że mężczyzna aż podskoczył, a z rąk kobiety wypadła książka. Spojrzał na wyświetlacz i zaraz potem na Olgę. Miała pewność, że to numer Bogny Bromskiej.

– Halo! Słucham cię, mamo. – Synowska nadzieja odżyła.

Kurczowo trzymał telefon przy uchu. I znowu cisza, najmniejszego szmeru. To było nie do zniesienia. Krzyknął:

– Słuchaj! Nie wiem, kim jesteś i dlaczego to robisz! Dopadnę cię! Pożałujesz! Ty…

Nie dokończył. Spocony, z wypiekami na twarzy, rozłączył się. W ułamku sekundy telefon ponownie się odezwał. Dzwonił Igor Wamis, aeroklubowy kolega.

– Dobijam się do ciebie od dłuższej chwili – wytknął zniecierpliwiony. – Dobrze, że nareszcie mi się udało. Masz przy sobie swój skarb?

– Tak, tak, jesteśmy razem. Fajnie, że się odezwałeś. Muszę z tobą pogadać! – Bruno szukał szansy w Igorze.

– Chętnie pogadam. – Wamis nie tracił czasu. – Ale chyba o czymś zapomnieliście. Od godziny czekamy na was! Jeszcze spory kawałek dnia.

Dużo czasu wam to nie zajmie. Zbierajcie się!

– Nigdy bym sobie nie przypomniał. Wytłumaczę ci to później. Zaraz wyjeżdżamy! – Bruno nie oczekiwał dodatkowej zachęty.

Igor spadł mu prosto z nieba. To nie tylko świetny spadochroniarz, ale prawdziwy kumpel – lojalny, bystry, aktywny. Liczył na jego świeżą i obiektywną ocenę okoliczności zaginięcia matki.

IV

Na ekranie telewizora co rusz pojawiały się inne kanały. Obrazy migały w iście ekspresowym tempie. Na łóżku naprzeciw leżał mężczyzna zbliżający się do sześćdziesiątki. Wysoki i szczupły, wyglądał na wysportowanego. Patrzył zimnym wzrokiem i odruchowo naciskał guzik pilota. Monotonia tych okoliczności znużyła go do tego stopnia, że zapadł w krótką drzemkę. Gdy się obudził, wyłączył telewizor i sięgnął po jeden z dwóch telefonów leżących na półce zawieszonej nad łóżkiem.

Wybrał numer i czekał na połączenie. Uzyskał je szybko. Nie zareagował na słowa „Słucham cię, mamo”. Nie odezwał się, kiedy usłyszał groźby. Uśmiechnął się w pełni zadowolony. Oczekiwał takiej reakcji. Chodziło mu o to, żeby syn Bromskiej czuł się osaczony. Nie zrobiło na nim wrażenia, gdy w nerwowym odruchu połączenie zostało przerwane. Twarz mężczyzny stała się nieczytelna, przestała wyrażać jakiekolwiek emocje.

Realizował pierwszy etap dalekosiężnego planu. Nie dotarł na razie do jego mety. A potem droga do drugiego celu. Miał już pewną wizję, ale niezbędne były kolejne decyzje. Czy nastąpią dalsze etapy? Uzależniał to od powodzenia przedsięwzięcia, które aktualnie wdrażał.

Tego popołudnia miał sporo do zrobienia. Do kieszeni spodni włożył obydwa telefony. Z szafy wyjął lornetkę. Na głowę założył żółtą czapkę z daszkiem. Jeszcze raz podszedł do półki, na której pozostawił okulary przeciwsłoneczne. Bez nich nie wychodził na zewnątrz.

Wsiadł do jeepa i ruszył bez pośpiechu. Najpierw zatrzymał się przy sklepie. Kupił trochę jedzenia, wodę mineralną i butelkę alkoholu.

Teraz jechał do miejsca, które od ponad dwóch tygodni stanowiło punkt obserwacyjny. Bez przeszkód zaznajamiał się w taki sposób z codziennymi zwyczajami niemłodej blondynki i jej najbliższego sąsiada. Tym razem chodziło mu wyłącznie o niego.

Zaparkował samochód niecałe sto metrów od ich domów. Trzy wysokie, bujne krzewy berberysu dokładnie maskowały auto. Szczeliny między kępami krzewów umożliwiały podglądanie bieżącej sytuacji.

Było po szesnastej. Zwykle o tej porze Tytus Kopski wychodził na spacer, a wracał zazwyczaj po godzinie.

Mężczyzna miał wszystko jak na dłoni. Nic nie mogło umknąć jego uwadze. Zgodnie z przewidywaniami Kopski zamykał furtkę. W lekkim ubraniu i sportowym obuwiu skierował się w stronę przeciwną niż miejsce postoju jeepa. Przez krótki czas był widoczny, ale niebawem zniknął za zakrętem.

Jeep wyjechał na drogę i zatrzymał się blisko domu Bromskiej. Mężczyzna wyskoczył z samochodu i rozejrzał się wokół. To była spokojna okolica. Życie toczyło się tu leniwie. Nikogo nie zauważył. Uznał, że jest wystarczająco bezpieczny. Raz jeszcze sprawdził otoczenie. Kompletnie nic się nie działo. Mógł swobodnie podejść do kabrioletu. Wyjął z kieszeni telefon i położył na fotelu kierowcy.

Wrócił do auta, ale nie odjechał od razu. Siedział za kierownicą i przez dłuższą chwilę nie spuszczał wzroku z domu. Lekki uśmiech zagościł na

jego twarzy, a oczy nabrały blasku. Zdecydowanym ruchem uruchomił silnik.

***

Małe okienko, czy może bardziej sporawej wielkości otwór, przez który sączyło się światło dnia, kobieta zobaczyła tuż po przebudzeniu. Drobne szpary w ścianach szałasu skąpo obdarowywały wnętrze jasnością. Z każdego zakamarka wyzierały szarość i smutek. Przygnębienie przytłaczało. Strach czaił się na okazję, żeby wedrzeć się do myśli. Czuła, że znowu jest spętana. Próbowała poruszać rękami, bezskutecznie. Leżały zesztywniałe, przywiązane do boków pryczy.

I nagle nad głową Bromskiej zawisła pajęcza nić, na której końcu przebierał odnóżami kosmaty czarny pająk. Przez pewien czas bez odrazy przyglądała się jego harcom, bo jak dotąd nie dokuczała jej nadmierna awersja do tych stworzeń, chociaż zawsze zachowywała dystans. Teraz, zmuszona okolicznościami, śledziła pajęczy taniec na nici. Pająk się huśtał, unosił, opadał, aż raptem, w ułamku sekundy, nić tak się wydłużyła, że wylądował na jej nosie.

Panicznie potrząsała głową, ale stworzenie jak gdyby nigdy nic pokonywało zagłębienie jej ust. Ścisnęła mocno wargi, a ono już wędrowało na podbródek, a potem na szyję. Z całej siły przekręcała głowę, unosiła i znowu potrząsała. Poczuła obrzydliwe łaskotanie na szyi, a za moment tuż przy uchu. W szałasie rozległ się przeraźliwy wrzask.

Ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Ktoś w mgnieniu oka znalazł się obok pryczy. Ktoś miał już w dłoni pająka, a po chwili był on już tylko czarną plamą pod męskim butem.

Otworzyła zaciśnięte mocno powieki. Mężczyzna w dużych ciemnych okularach stał blisko. Mało brakowało, by się rozpłakała. Ostatkiem sił

powstrzymywała się. Patrzyła na obcego, a w uszach brzmiał szept jej męża: „Nie poddawaj się”.

Kryzys, z jakim się zmagała, nieco złagodniał. Zamknęła oczy. Widok nieznajomego wywołał niechęć. Nie trwało to zbyt długo. Z rękami uwolnionymi od pryczy, ale ze sznurem na jednym nadgarstku, stanęła na klepisku. Dopiero teraz odważyła się spojrzeć. Mężczyzna, stojąc w otwartych drzwiach, z początku minimalnie naprężył sznur. Kolejny manewr wykonał z większą siłą.

Wyszła przed szałas i po chwili znalazła się na jego tyłach za szpalerem leszczyny. Oddalił się na tyle, żeby mogła załatwić swoje potrzeby. Stanął za jedną z leszczyn, gdy tymczasem ona ukryła się między dwiema ostatnimi. Szybko oceniła swoje położenie. Aż się prosiło, żeby zaryzykować. Otaczała ją gęstwina drzew i krzewów. Nie wiedziała, co znajduje się kawałek dalej. Mimo to nie zamierzała dłużej się zastanawiać. Przede wszystkim musiała pozbyć się sznura. Najpierw wolną ręką, a następnie zębami zaczęła walczyć z zapętanym nadgarstkiem. Zapamiętale tarmosiła sznur raz dłonią, raz zębami. Gryzła i ciągnęła, aż się udało. Poczuła luz wokół nadgarstka. Wystarczyło zsunąć sznur z ręki. Była wolna.

Kipiała siłą. Nie miała nic do stracenia, a do zyskania być może życie. Stąpała ostrożnie i bezszelestnie po miękkiej trawie. Szła w kierunku rozległej ściany drzew. Za nią miałaby większe szanse. Nie oglądała się za siebie. Czas odgrywał główną rolę. Jeszcze kilka energicznych kroków i była tam. Kilka zwinnych ruchów i bez trudu przemknęła między drzewami. Widok, jaki napotkała, zaniepokoił ją. Obszerna polana stanowiła poważną przeszkodę. Powrót nie wchodził w grę. Zaczęła biec, żeby jak najprędzej pokonać kilkudziesięciometrową otwartą przestrzeń, która dzieliła ją od przeciwległej ściany drzew. Cel znajdował się blisko.

Do przebiegnięcia pozostał ostatni, krótki fragment piaszczystego podłoża, gdy gwałtownie runęła na ziemię. Nie mogła tego przewidzieć, bo wystający kawałek korzenia pokrywała gruba warstwa igliwia. Przez chwilę leżała zdezorientowana, ale zebrała się w sobie i wstała. Nagły grymas bólu przeszył jej twarz. Wiedziała, że nie będzie dalszego ciągu. Silny uścisk na obu ramionach oznaczał, że oprawca zdążył.

Szarpnięciami dawał do zrozumienia, żeby przyspieszyła kroku. Szła z głową podniesioną do góry. Nie żałowała podjętej decyzji. Miała pewność, że wykorzysta każdą nadarzającą się sposobność, a ten, który ją prowadził, doświadczy siły jej charakteru.

W półmroku panującym w szałasie nie dostrzegała, w jakim stanie jest jej suknia. Teraz, idąc lasem, przyjrzała się szarym smugom brudu, zagnieceniom i dwóm furkoczącym strzępom u dołu. Zawsze zadbana, poczuła dyskomfort, ale życiowa dojrzałość nie dopuszczała roztkliwiania się nad sobą. Szałas był już na wyciągnięcie ręki. Jeszcze raz spojrzała najpierw na sukienkę, a potem na skleconą budę. Zaraz dało znać o sobie poczucie humoru, bo uśmiechając się pod nosem, wyszeptała:

– Jaki lokal, taki lokator.

Natychmiast utkwiła wzrok w plecach mężczyzny. Jej oczy błyszczały energią.

Posadził ją na pryczy i zamknął drzwi na klucz. Uwolnił ręce, a na kolanach położył pojemnik z kawałkami pieczonego kurczaka i grzankami. Usiadł na krześle i milcząco się wpatrywał.

Zaczęła jeść. Robiła to powoli, rwąc mięso na drobne kawałki i przeżuwając w ślimaczym tempie. W taki sam sposób zjadała okruchy grzanek. Ostentacyjnie wydłużała czas jedzenia. Prowokowała mężczyznę. Chciała, żeby wreszcie ujawnił swoje intencje. Nie reagował i nic nie wskazywało na to, że to uczyni.

Gdy przełykała ostatni kęs kurczaka i ostatni okruch grzanki, w ręku trzymał już butelkę wódki i nalewał ją do szklanki. Wiedziała, że opór nie przyniesie rezultatu. Kilkoma haustami opróżniła szklankę. Wstrząsały nią zimne dreszcze, które jeszcze bardziej spotęgowała druga porcja alkoholu. Po paru minutach ustąpiły, a pojawiły się lekkie zawroty głowy. Te również gdzieś się wkrótce ulotniły. Wyraźnie rozluźniona, uśmiechnęła się szeroko do mężczyzny. Nie odwzajemnił uśmiechu. Patrzył całkowicie beznamiętnie. Nie poruszył się, kiedy wstała. Zrzuciła ze stóp sandałki, rozłożyła ręce na boki i, falując nimi, krążyła wokół krzesła. Podskakiwała, wirowała, kołysała się, wyginała i niczym baletnica z pełną gracją płynęła na palcach. Demonstrowała skoczność, zwinność, gibkość. A kiedy w końcu zatrzymała się, stanęła na wprost mężczyzny, dygnęła, po czym zaczęła mówić:

– Tego nikt by nie wymyślił,
ale stało się i tyle.
W pewnym domu na przedmieściu
pojawiły się motyle.
Ile? Nie jest ważne,
bo było jak w raju…

Przerwała recytację. Znowu rozłożyła ręce i zatrzepotała jak motyl skrzydełkami. Głośno przy tym parskała i śmiała się, a po krótkiej przerwie donośnym głosem kontynuowała:

– Co robiły tam motyle?
Nie na miejscu to pytanie.
Przecież motyl musi szukać,
gdy nektaru mu nie stanie…

Nie zwracała uwagi na coraz większe osłupienie mężczyzny. Kompletnie nie wyczuwała napięcia, jakie wywołała tym przedstawieniem. Poetycko-taneczne uniesienia przyprawione alkoholem obniżyły obiektywną ocenę sytuacji. W ogóle nie widziała mocno spoconego czoła u swojego widza, ani pulsujących żył na jego skroniach, ani tego, że tarmosił wąsy. Aż do mementu, gdy kołysząc i machając rękami, wypowiedziała:

– A w tym domu na przedmieściu,
wcale wierzyć w to nie musisz,
jest piwniczka, co bogactwem smaków kusi…

Mężczyzna zerwał się z krzesła, złapał w garść suknię na plecach i pchnął Bromską na pryczę. Szczelnie obwiązał ją sznurem. Zaczęła trzeźwieć. Powracała świadomość przykrości, jakich doświadczała. Miała tego dosyć. Krzyczała bez opamiętania:

– O co ci chodzi? Co chcesz mi zrobić? Co knujesz? Dlaczego się nie odzywasz? Jak długo jeszcze będziesz mnie więził? Dlaczego zachowujesz się jak tchórz?

Nie reagował. Sprawdzał, czy sznur opasający ciało kobiety jest dobrze przymocowany. Nie miał co do tego zastrzeżeń.

Spróbowała ponownie, tym razem łagodniej:

– Wypuść mnie. Powiedz, jaki masz problem. Zastanowimy się, jak z niego wybrnąć. Im prędzej mnie uwolnisz, tym i dla ciebie, i dla mnie będzie lepiej. Przemyśl to, proszę.

Przy ostatnich słowach usłyszała, że drzwi chaty zamykają się. Otoczyła ją smutna cisza. Nie musiała kryć uczuć. Zaniosła się płaczem. Łzy spływały po twarzy jedna po drugiej. Mokre strużki znaczyły brudnawą szyję. Tęskniła za Brunonem. Tak bardzo pragnęła go zobaczyć. Tym

myślom towarzyszyła nieśmiała nuta nadziei. Intuicja podpowiadała jej, że syn działa.

***

Pokonywał leśny teren szybkim krokiem. Od samochodu dzieliły go jedynie minuty. Biały jeep stał na skraju lasu, niespełna dwieście metrów od asfaltowej drogi, którą Bromska zwykle jeździła na zakupy. Stał w solidnej leśnej skrytce. Zasłaniał go spory zagajnik, gdzie świerki, jodły i sosny rosły tak ciasno, że istniało małe prawdopodobieństwo, aby ktoś z zewnątrz zobaczył auto.

Nie to jednak rozważał mężczyzna. Odczuwał teraz ogromny dyskomfort. Nie spodziewał się takiego występu kobiety. Targały nim sprzeczne uczucia: od bezkresnego zaskoczenia, poprzez zwyczajną złość, po pewien rodzaj swoistego wzruszenia. Zaburzały one, co prawda, pewność co do słuszności postępowania, ale te wątpliwości rozwiały się.

Żył w kleszczach tak silnej pokusy, że na samą myśl o zwycięstwie czuł, jakby znalazł się w innym wymiarze. Tym specyficznym sadyzmem nacechowanym chorym pragnieniem posiadania projektował swoje zboczone szczęście.

Posunął się już tak daleko, że o rezygnacji nie mogło być mowy. Na razie postanowił powrócić do miejsca istotnego dla całej układanki.

***

Kopski wracał właśnie ze spaceru. Był już przed domem, gdy do jego uszu dobiegł dźwięk dzwonka telefonu. Swój pozostawił w domu, a wokół nie widział żywego ducha. Zatrzymał się i dokładnie porozglądał. Nic nie wskazywało na to, że ktoś znajduje się w pobliżu. Znowu odezwał się telefon. Mężczyzna zbliżył się do ogrodzenia sąsiedniej posesji. Czekał,

patrząc na kabriolet. Zdawało mu się, że właśnie stamtąd dobiegał odgłos dzwoniącego telefonu. Z jednej strony liczył się z taką możliwością, z drugiej jednak uważał to za mało prawdopodobne, ponieważ Bruno oglądał auto i niczego nie znalazł. Coś mu nie dawało spokoju. Nie mógł tego tak zostawić. Nie zwlekał więc dłużej i furtką w parkanie dzielącym podwórza przedostał się na teren posesji wieloletniej sąsiadki. Ta furtka służyła do sympatycznych bezceremonialnych kontaktów. Teraz pozwoliła sprawdzić, co się dzieje. Kiedy znalazł się o krok od samochodu, telefon dał znać o sobie po raz trzeci. Dzwonił tak głośno, że Kopski od razu spojrzał na fotel kierowcy i z błyskawicznym refleksem odebrał połączenie.

– Słucham, Tytus Kopski z tej strony – zwrócił się do osoby, która dzwoniła.

Przez moment panowała cisza, ale zaraz usłyszał kobiecy głos.

– Przepraszam, dzwonię do pani Bromskiej. Prawdopodobnie pomyliłam numer.

– To nie pomyłka, tyle tylko, że pani Bogna nie może rozmawiać. Jestem jej sąsiadem. W czym mogę pomóc? – kontynuował rozmowę w nadziei na wyjaśnienia.

– Nazywam się Alicja Talska. Pracuję w księgarni. Pani Bogna prosiła mnie o książkę. Chciałam powiedzieć, że udało mi się ją zdobyć i jutro będzie do odebrania. Gdyby mógł pan przekazać tę informację, byłabym wdzięczna. A jeśli to możliwe, proszę o telefon.

Nie zamierzał podawać kobiecie żadnych szczegółów, więc ograniczył się tylko do słów:

– Proszę pani, przekażę tę wiadomość. Na pewno dzisiaj powiem synowi pani Bogny. Myślę, że się z panią skontaktuje. Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Usłyszał jeszcze:

– Ja również dziękuję i proszę o kontakt.

Fakt, że telefon niespodziewanie znalazł się w kabriolecie, był zagadkowy. Adrenalina mocno podkręciła Kopskiego. Silnie pobudzony pobiegł do domu, a tam drżącymi rękami wybrał numer. Rozmowa przebiegała w nerwowej atmosferze.

– Co pan powiedział? Niech pan powtórzy! Czy dobrze usłyszałem? Jest telefon mamy? Kiedy? Gdzie? Jakim cudem? – Bruno prawie krzyczał.

Kopski powtórnie drobiazgowo opisał całe zdarzenie. Na koniec zapytał:

– Co robić?

Po chwili zapadła decyzja.

– Książka może poczekać. Zadzwonię do księgarni, a komórkę ktoś podłożył. Nie było jej, kiedy zaglądałem do samochodu. Zresztą dzisiaj koło piętnastej znowu miałem anonimowe połączenie z aparatu mamy. Widocznie posługiwała się nim ta sama osoba. Proszę zabrać telefon do siebie. Jak tylko będę mógł, przyjadę. A teraz muszę kończyć. Jestem wdzięczny za informacje. – To powiedziawszy, Bruno się rozłączył.

Kopski odłożył telefon na półkę regału z książkami. Zaczął analizować zaistniałą sytuację. Po pierwsze, doszedł do wniosku, że ten, kto go zostawił w kabriolecie, jest w stu procentach zamieszany w zniknięcie sąsiadki. Po drugie, skoro ten ktoś odważył się na taki krok, to bardzo możliwe, że jeszcze powróci. Zdawał sobie sprawę, że oczywiście pewności nie ma, ale upierał się, że nie należy tego bagatelizować. Ostatnia konkluzja ukierunkowana była na działanie. Nie odpowiadała mu bezczynność, więc skonstruował pewną koncepcję. Jeszcze, co prawda, trochę się wahał, ponieważ szansa była niewielka. Jako bliski sąsiad poczuwał się do obowiązku udzielenia wszelkiej pomocy. Do realizacji swojego pomysłu potrzebował człowieka godnego zaufania. Od wielu lat

nigdy nie zawiódł się na swoim przyjacielu, Jakubie Gawiczu. Ich kontakty cechowało stuprocentowe zaufanie. Nie miał wątpliwości, że Jakub, jeśli tylko dysponuje wolnym czasem, szybko się u niego pojawi. Trzymał w dłoni telefon i czekał na rozmowę. Po krótkiej chwili usłyszał w słuchawce to co zawsze:

– Cześć, Tytusie! Co cię do mnie sprowadza? Masz chęć na pogawędkę?

– Jasne, że mam ochotę pogadać, ale nie w tym momencie – odpowiedział. – Dzwonię z ogromną prośbą. Jeżeli masz dzisiaj luzy czasowe, to przyjedź do mnie. Sprawa jest pilna. Wszystko wytłumaczę, gdy się spotkamy.

Gawicz w wyraźnie optymistycznym nastroju przystał na tę prośbę.

– Dzisiaj nic mnie nie ogranicza. Chętnie przyjadę. W takim razie nie przedłużajmy. Już wskakuję do samochodu!

– OK – zdążył jedynie odpowiedzieć Kopski.

Zrobił kilka kanapek z serem pleśniowym i sałatą ze swojego ogrodu. Dwie z nich zawinął w papier śniadaniowy. Do termosu nalał jeszcze ciepłego kompotu wiśniowego. To był jego ulubiony letni napój. W bliskiej odległości od okna, z którego roztaczał się niczym niezakłócony widok na dom Bromskiej, kabriolet i bramę wjazdową, postawił krzesło. Usiadł i patrzył przez firankę. Ani przez chwilę nie przestawał być czujny.

Gawicz rzeczywiście wziął sobie do serca prośbę przyjaciela, bo ledwie upłynęło kilkanaście minut, a już parkował swojego ciemnozielonego forda.

Rozmowa była krótka i rzeczowa, jednocześnie przekonująca do tego stopnia, że uznał zasadność przedstawionego planu. Uchylił firankę, popatrzył przez okno i potwierdził:

– Doskonale cię rozumiem. Może się okazać, że podjąłeś słuszną decyzję, ale jeżeli tego nie zrobimy, nie będziemy wiedzieli. Nie czekajmy

więc. Bierzmy się do dzieła!

Nie marnując czasu, Kopski z termosem i kanapkami wsiadł do forda. Ruszył przeświadczony o tym, że jego zamysł ma szanse powodzenia. Zatrzymał samochód na poboczu utwardzonej drogi, przylegającej z tyłu do posesji, której był właścicielem. Z tego miejsca mógł łatwo i szybko wyjechać na ulicę Piękną.

Od razu zatelefonował do przyjaciela.

– Już jestem i czekam pod telefonem. Nie spuszczaj niczego z oczu. W kuchni są kanapki i kompot. Możesz jeść, ale siedź przy oknie. Odezwij się, gdyby coś się działo!

– Tak jest! – odpowiedział krótko Gawicz i zajął się obserwacją.

Kopski był w swoim żywiole. Nie znosił bezczynności. Wierzył, że się uda. Nie dopuszczał do siebie innej perspektywy. Poprawił się wygodnie w fotelu. Popatrzył na prowiant leżący obok. Poczuł się bardziej komfortowo. Głodny tracił zapał do czegokolwiek, a nie sposób było przewidzieć, jak długo potrwa czatowanie. W każdym razie dobrze przygotował się do tej akcji. Oparł głowę o zagłówek i już zaczął wyobrażać sobie, jak dopada drania.

Z drzemki wyrwał go dzwonek telefonu. Natychmiast oprzytomniał.

– Mów, Jakubie! – ponaglił.

– Jest! Jest! Właśnie wchodzi furtką! – Gawicz gorączkowo zdawał relację. – Słuchaj, idzie do domu! Wysoki, szczupły facet! Najmłodszy to z pewnością nie jest!

– Ale numer! – przerwał mu Kopski. – Jakiego miałem nosa! Opowiadaj, jak jest ubrany!

– Na głowie ma czapkę z daszkiem w kolorze żółtym. Twarzy dobrze nie widać, bo nosi okulary przeciwsłoneczne. Aha, ubrany jest w szare spodnie i taką samą bluzę. Białe buty sportowe! Zapamiętaj, białe!

Zapadła krótka cisza, a po chwili mocno podekscytowany krzyknął:

– Otwiera drzwi! Już wszedł! – Złapał oddech i podenerwowany mówił dalej: – Nie wymiga się! Niebiosa nam sprzyjają! Oby tak dalej! Słuchaj mnie uważnie. Nie wolno ci się rozłączyć. Cierpliwie czekamy. Jak tylko będzie wychodził, dam ci znać.

– Ma się rozumieć! Nie ma innej opcji! Mamy go! Nie spuszczaj domu z oczu! – Kopski dosłownie wybuchł.

Stres przypomniał mu o jedzeniu. Nie odrywał oczu od kanapek. Tę słabość był w stanie pokonać w jeden jedyny sposób. Musiał coś przełknąć i to natychmiast. Nie celebrował, jak to miał w zwyczaju, tej czynności, lecz kilkoma kęsami pokonał kanapkę. Otwierał termos, kiedy usłyszał podniecony głos przyjaciela.

– Jesteś tam, Tytusie? Facet odchodzi już spod bramy! Za chwilę jedź!

Chęć napicia się kompotu w mgnieniu oka wyparowała. Natychmiast zapewnił:

– Właśnie ruszam!

Maksymalnie spiął się w sobie, jechał powoli. Patrzył na prawą stronę. Za chwilę powinien go zobaczyć. Trochę zwolnił, żeby nie wyprzedzić mężczyzny. Minął stary niezamieszkały budynek i naraz jedno spojrzenie, i miał go w swoim zasięgu. Ulicą szedł mężczyzna w żółtej czapce i białych butach. Poruszał się równym, zdecydowanym krokiem, ale gdy znalazł się na wysokości bordowych krzewów berberysu, nagle skręcił i zniknął za nimi.

Ta zaskakująca sytuacja trochę zaniepokoiła Kopskiego, ale na krótko, bo zza berberysu wyjechał biały jeep. Był przekonany, że musi go śledzić. Tam, skąd auto się wyłoniło, nie znajdowała się żadna droga ani parking. Toteż święcie wierzył, że za kierownicą siedzi ten, kto wie, co się stało z Bogną Bromską. Lekko przyspieszył, żeby zmniejszyć dystans dzielący go

od obserwowanego samochodu. Choć starał się być ostrożny, czuł się bezpieczny w fordzie przyjaciela. Wpatrywał się w pojazd jadący przed nim i dostrzegł to, na czym mu najbardziej zależało. Fragment żółtej czapki nie pozostawiał złudzeń. Teraz zwolnił na tyle, żeby nie zbliżać się zanadto do jeepa i jednocześnie dobrze go widzieć.

Pokonywali drogę, którą jeździł dość często. Sprawiało mu to dużą przyjemność. Przy takich okazjach przypatrywał się lasowi. Zawsze dostrzegał coś nowego, frapującego, a latem przy otwartym oknie głęboko oddychał świeżością lasu. Teraz zupełnie wyrzucił z pamięci te miłe doświadczenia, a skupił się wyłącznie na tym, co działo się przed nim. Zmuszony był przyspieszyć, bo jeep się oddalał. Zerknął w lusterko, ciekaw sytuacji za samochodem, i zobaczył to, czego oczekiwał. Było tak, jak się umówił z Jakubem. Znajdował się blisko.

Znowu musiał przyspieszyć. I w momencie, gdy zdawało mu się, że jeep ma włączony kierunkowskaz, tuż przed nim jak spod ziemi wyrosła płowa, zwalista sylwetka jelenia. Gwałtownie zahamował. Samochód ugiął się pod ciężarem zwierzęcia, przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał się z głośnym piskiem opon. Widok, jaki miał przed oczami, mroził krew w żyłach. Dogorywające zwierzę, które leżało na masce, doszczętnie go zszokowało. Potężne poroże z taką siłą przebiło szybę, że łeb uwiązł na pulpicie, a obie tyki zablokowały mu głowę. Kolana Kopskiego pokrywały drobne kawałki szkła. Z pyska jelenia sączyła się na nie krew. Krew płynęła też z policzka kierowcy. Sparaliżowany strachem siedział nieruchomo. Dokuczała mu lewa ręka. Ból był nie do zniesienia.

Nagle drzwi samochodu otworzyły się i usłyszał zdyszany głos.

– O Boże, Tytusie, żyjesz! Jakie to szczęście! Nie ruszaj się!

Nawet nie próbował odwrócić głowy. Szybko rozpoznał przyjaciela, który jeszcze nie skończył.

– Już wezwałem pogotowie! – pocieszał. – Trzymaj się. Spokojnie! Wszystko będzie dobrze.

Kopski zbierał myśli, nie wiedział, co w takich dramatycznych okolicznościach powiedzieć, aż cicho wydusił z siebie:

– Jakubie! Tak mi przykro. Twój samochód…

Nie dokończył, bo Gawicz wszedł mu w słowo.

– Daj spokój! Nie myśl teraz o tym. To mało ważne. Zaraz otrzymasz pomoc. Cała reszta się nie liczy.

Rzeczywiście w krótkim czasie nadjechał ambulans, po nim przybyła policja, a tuż za nią służby porządkowe.

W szpitalu od razu się nim zajęto. Został poddany niezbędnym procedurom. Przeszedł szczegółowe badania. Ostatecznie okazało się, że jedyny poważny problem zdrowotny dotyczył złamanej lewej ręki. Lekarz ortopeda sprawnie uporał się z tym obrażeniem. Nieduże, powierzchowne rozcięcie na twarzy również opatrzono. Nie istniała potrzeba założenia szwów.

Po kilku godzinach Kopski był gotów na powrót do domu. Na korytarzu czekało na niego wsparcie.

Z opatrunkiem na poliku i ręką w gipsie wyglądał na podłamanego. Pochmurną miną i niepewnym krokiem dawał wyraz swojemu ogólnemu stanowi. Gawicz znał go na wylot i miał świadomość, jaką rolę może odegrać w tym przypadku optymizm. Uśmiechnął się i dowcipnie ocenił sytuację.

– No proszę, teraz jesteś jak prawdziwy komandos po trudnej akcji! Idę o zakład, że jak prawdziwy komandos stawisz czoła wszelkim niedogodnościom, a poza tym dojdziesz do siebie o wiele szybciej niż zwykły śmiertelnik.

Kopski tylko przez chwilę sprawiał wrażenie zakłopotanego. Spojrzał na sufit, zerknął na boki i z charakterystyczną kokieterią żachnął się:

– Nie żartuj! Nie ze mną takie numery! Twoja szczerość zwala mnie czasem z nóg. A swoją drogą, szczerze mówiąc, źle to ja się nie czuję!

Zaprotestował, gdy Gawicz wziął go pod rękę. Podbudowany pogodnym usposobieniem przyjaciela, wyprostowany jak strzała, z wciągniętym brzuchem udowadniał, że komandos byłby z niego, że ho, ho!

***

Zapanowała kompletna cisza. Zdawało się, że nastał zmierzch, bo w szałasie rozpanoszył się mrok. Miała nieco zaburzone poczucie czasu, ale oceniła tę zmianę jako zbyt wczesną. Odnosiła wrażenie, że nie wróży nic dobrego. Z uwagą przysłuchiwała się temu, co dzieje się na zewnątrz. Coś jej podpowiadało, że to dla niej nic nowego i prędko zdała sobie sprawę, że dziwny, szary spokój zwiastuje burzę. Pierwszy pomruk nieba upewnił ją, że się nie myli. Nigdy dotąd nie doświadczyła tego zjawiska w tak diametralnie odmiennej sytuacji. Poczucie zagrożenia nie odstępowało kobiety. Następny pomruk nie był już taki nieśmiały. Zadudnił głośno gdzieś w przestworzach. Kolejne, z coraz większą częstotliwością i natężeniem, przyprawiały o ciarki strachu. W szybkim tempie przeobraziły się w regularne grzmoty. Las się rozszalał. Wiatr przybrał na sile, smagając wszystko, co zastał na swojej drodze. Świszczące gałęzie, trzeszczące konary, złowrogo rozświetlające wnętrze szałasu błyskawice i rzęsisty deszcz bębniący o ściany swą gwałtownością i nieprzewidywalnością przerażały. Szałas bez przerwy drżał, a przez szczeliny przeciekała woda. Struchlała Bromska czekała na najgorsze. Wiatr jeszcze raz uderzył w ledwo trzymający się szałas. Podmuch był tak silny, że z trzaskiem otworzyły się drzwi. Krzesło stojące obok pryczy uniosło się, zakręciło i z

impetem upadło na klepisko. I nagle, jak ręką odjął, las ucichł, a wokół pojaśniało.

Skostniała ze strachu leżała z dłońmi zaciśniętymi w pięści i, o ironio, marzyła, żeby jej oprawca powrócił. Niczego tak bardzo nie pragnęła, jak obecności tego mężczyzny.

Uparcie patrzyła w przestrzeń otwartych drzwi. Coraz bardziej cierpiała fizycznie. Pesymizm podstępnie wkradał się do jej myśli. Samopoczucie się pogarszało, a okruchy nadziei ledwo tliły. Ratowała się skrzętnie przechowywanymi w pamięci obrazkami syna. I teraz również przymknęła oczy, żeby go przywołać. Zobaczyła go uśmiechniętego podczas ich ostatniego spotkania. To wspomnienie zadziałało jak balsam. Przyniosło ulgę.

Niespodziewanie gdzieś z pobliża szałasu dobiegł delikatny dźwięk łamanych gałązek. Zamknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać. Domyślała się, że ktoś, idąc, kruszy te opadłe po burzy. Znowu usłyszała jeden drobny trzask, drugi i naraz kilka jednocześnie. Nieprzerwanie zbliżały się, aż zupełnie ucichły.

Uchyliła powieki i niepewnie spojrzała tam, skąd jeszcze chwilę wcześniej dobiegała ta leśna akustyka. Gdyby miała wolne ręce, to z pewnością przetarłaby oczy ze zdumienia. W otwartych drzwiach stała sarna z koźlęciem. Patrzyła na nią.

Jakie to cudne – pomyślała. – A te oczy. Duże i łagodne. Po prostu piękne.

Była zachwycona i wzruszona. Starała się nie drgnąć. Wiedziała, że sarny są płochliwe. W przeszłości nie miała okazji widzieć z bliska tych zwierząt. Przyglądała się im teraz zachłannie, a one jakby rozumiały, czego od nich oczekuje. Wpatrywały się w nią, od czasu do czasu strzygąc uszami. Ta niezwykła okoliczność zakończyła się równie niespodziewanie,

jak się rozpoczęła, bo ni stąd, ni zowąd sarny zręcznie odskoczyły i zniknęły.

Ból samotności wstrząsnął teraz Bromską ze zdwojoną siłą. Bezsilność konsekwentnie ją osaczała. Zniechęcenie prowokowało do drzemki, ale nie zdołała zasnąć. Poczuła łaskotanie na brzuchu. Natychmiast otworzyła oczy. Stał nad pryczą i usuwał sznur. Pozwolił jej usiąść. Obok położył pakunek, a sam zajął się drzwiami.

Nie od razu zainteresowała się tym, co kryje papierowa torba. Na razie rozważała swoje szanse i oceniała możliwości. Skupiała się na okazji do ponownej ucieczki. Drzwi stały otworem, a mężczyzna wydawał się obojętny, a nawet rozluźniony. Przez cały czas kręcił się albo wewnątrz, albo na zewnątrz przy drzwiach i coś tam manipulował. Realnie jednak wywnioskowała, że kolejna próba skończy się porażką. Otworzyła więc torbę i zajrzała do środka. Zawartość okazała się trudną do zaakceptowania niespodzianką. Mimo to nie okazywała zdenerwowania. Najpierw wyjęła jasnobeżowe spodnie, następnie bluzkę z czerwonej dzianiny, a ze spodu granatowe tenisówki. Każdą wyjętą rzecz znała doskonale. Tak ubrana chodziła na spacery z Pokerem. Z ulgą pomyślała o psie i swojej decyzji. Szczęśliwym trafem był teraz w dobrych rękach.

Kątem oka spoglądała na mężczyznę, ale zachowała dystans. W tej sytuacji uznała, że jakiekolwiek pytanie jest zbędne. Sugestia była oczywista. Przygładziła dłońmi suknię. Wreszcie, najszybciej jak potrafiła, zrzuciła ją z siebie i równie szybko założyła czyste ubranie.

Siedziała zaniepokojona i niepewna zachowania nieznajomego, który jak zaprogramowany, bezduszny robot koncentrował się na dwóch czynnościach. Zamykał i otwierał drzwi, albo na odwrót: otwierał je i zamykał. Nie mogła tego znieść. Chciała poznać powód, dla którego znalazła się w szałasie. Rzuciła pierwsze pytanie:

– Kim jesteś?

W dalszym ciągu zajmował się drzwiami. Nie zareagował. Kolejne pytania wykrzykiwała coraz głośniej:

– Dlaczego mnie porwałeś? Do czego jestem ci potrzebna? Czy umiesz mówić? Jakim prawem wszedłeś do mojego domu?!

Dalszy brak najmniejszej oznaki, że porywacz wykrztusi choćby słowo, przepełnił kobietę głęboką histerią. Wstała, odsunęła się od pryczy i wrzasnęła:

– Odezwij się! I to już! Co ty sobie wyobrażasz! Gadaj, zwyrodnialcu!

To był impuls, nie panowała nad sobą. Złapała krzesło, uniosła do góry, wzięła duży rozmach i z całej siły grzmotnęła mężczyznę w kark. Zachwiał się, jęknął. Nie zdążył zareagować, gdy otrzymał drugi silny cios. Znowu zajęczał, ale szybko uchylił się przed trzecim i odwrócił. Wyrwał krzesło z rąk Bromskiej i rzucił pod ścianę. Nie zdobyła się na nic więcej. Ochłonęła i nie stawiała oporu, kiedy sadzał ją na krześle. W kilka minut sznur ciasno krępował nadgarstki, które uniesione na boki i przywiązane do dwóch haków częściowo ją ukrzyżowały.

Nie wydobyła z siebie najmniejszego dźwięku ani na widok rozdzieranej sukni, ani wówczas, gdy wciskał jej do ust spory kawałek brudnej tkaniny.

Wyczerpana, ze smakiem dławiącym od brudu obserwowała zaskakującą sytuację. Na początku w ręku mężczyzny zaszkliła się butelka z resztą alkoholu, a za moment w szałasie rozległo się gulgotanie połączone z łapczywym przełykaniem. Na koniec oprawca usiadł na pryczy i kulnął butelkę w kierunku ściany, a sam się położył. Niebawem szałas wypełnił się raz cichszym, raz głośniejszym pochrapywaniem.

V

Kobierzowski aeroklub położony był blisko miasta na terenie wolnym od obiektów stanowiących przeszkody lotnicze. Pięćdziesięciohektarowy, dobrze utrzymany trawiasty obszar z solidnym pasem startowym i niezbędną infrastrukturą zapewniał warunki dla różnorakiej aktywności lotniczej. Skupiał pasjonatów lotnictwa, którzy traktowali go jak drugi dom.

Lipcowa pogoda wybitnie dopisywała. W aeroklubowym żargonie określano ją mianem lotniczej. Od samego rana to miejsce tętniło życiem, a po południu przy tak sprzyjających warunkach szybowce wracały z długich, kilkugodzinnych przelotów. Zamierzały jeden po drugim lądować. Pierwszy na pasie zgrabnie usiadł szybowiec Pirat, a chwilę po nim Junior.

Z hangaru wytoczył się nieduży biały samolot. Pilot oraz tutejszy mechanik samolotowy mieli w takich operacjach wprawę. Dopchali cessnę na stojankę. Tam Henryk Mawski skrupulatnie obejrzał samolot, potem wszedł do kabiny i uruchomił silnik. Z uwagą wsłuchiwał się w jego warkot. Nic nie budziło zastrzeżeń. Próba się powiodła, więc wyjął kluczyk ze stacyjki i opuścił maszynę.

Jedno z częściej odwiedzanych aeroklubowych miejsc stanowiła przytulna kawiarenka, do której chętnie wpadano na kawę. Bywało w niej

tłoczno i gwarno od lotniczych wspomnień, opowieści i pogawędek. W przyjemnej atmosferze zacieśniały się aeroklubowe więzi. Kawiarenka skutecznie odgrywała integracyjną rolę.

Tego popołudnia Mawski w lotniczym uniformie z naszywką na piersi z imieniem Heniek usiadł przy ulubionym kawiarnianym stoliku. Pozostałe jak na razie czekały na gości. Zawsze w takim momencie spoglądał do góry, gdzie pod sufitem rozwieszono czaszę spadochronu. Błękitno-czerwona atrakcyjnie dekorowała pomieszczenie. Tradycyjnie powrócił pamięcią do przeszłości skoczka spadochronowego. Miał ciekawe doświadczenia i na koncie ponad dwa tysiące skoków. Ta emocjonalna wędrówka zaczynała się od pierwszych kroków w spadochroniarstwie, a następnie koncentrowała się na udziale w licznych zawodach, często uwieńczonym sukcesami. Nierzadko jeszcze dawała o sobie znać tęsknota za tamtymi czasami. Zaawansowany, dojrzały wiek stawał się coraz większą przeszkodą w realizacji ambicji doświadczonego spadochroniarza. Konsekwentnie jednak liczył na to, że powiększy swój dorobek. Na razie spadochronowe potrzeby realizował, wykonując loty ze skoczkami. Czuł się spełniony, gdy na pokładzie samolotu, który pilotował, spadochroniarze szykowali się do skoków, a potem dobrze je wykonywali.

Teraz też spodziewał się skoczków. Pił kawę taką, jaką lubił – z ekspresu, ze śmietanką i cukrem. Uzbrojony w cierpliwość miał nadzieję, że lada chwila wejdą.

Igor Wamis przekraczał akurat próg kawiarenki ze swoim wesołym: „Hej!”. Mawski go pospieszał:

– Chodź, Igorku! Siadaj i opowiadaj! – Ciekawiło go, co z resztą ekipy spadochronowej, więc ponaglił: – Mów, gdzie Bruno i Olga.

– Jadą już, jadą! O mało co, by zapomnieli! Na szczęście, Heniu, przyszło mi do głowy, żeby zatelefonować. – Igor stanowczo go uspokajał.

– Mówisz, że zapomnieli? – Mawski chciał się upewnić.

Skoczek mrugnął porozumiewawczo.

– W porę odzyskali pamięć. To moja zasługa.

– No tak. – Pilot nie dawał się przekonać. – To mnie właśnie zastanawia. Coś mi tu nie gra. Sam przecież wiesz, że do tej pory tak się nie zdarzyło. Nie dziwi cię to? Nic nie należy bagatelizować. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Spadochroniarz skwapliwie skinął na znak, że wie, w czym rzecz. Zrobił poważną minę i powiedział:

– Jasne! Bezpieczeństwo skoków najważniejsze! Masz, jak zawsze, rację.

Teraz z kolei Mawski mrugnął do Igora.

– Kurczaki, a co u ciebie? W porządku? Sił witalnych wystarcza?

Skoczek roześmiał się na cały głos. To pytanie w ogóle go nie zmieszało, bo natychmiast zabłysnął ripostą.

– Tak jak u ciebie, Heniu. W zupełności wystarcza! Do nielotów nikt nas nie zaliczy, prawda?

– Trochę nielotów gdzieś by się znalazło. Podkreślam, że zwykle miłych nielocików. Szanuję ich. No ale my, Igorku, i mili, i latający! Kumasz, Igorku? – Mawski usiłował roztropnie wybrnąć, ale nie całkiem się udało.

Dobrodusznie parsknął i poklepał spadochroniarza po plecach.

Nie przestawał się uśmiechać, ale już nie do swojego rozmówcy, tylko na widok długowłosego owczarka niemieckiego, który ukazał się w drzwiach kawiarenki.

Ten pies miał tu wstęp wolny. Wszyscy się z nim przyjaźnili. Pilot również zaliczał się do tego grona i już wyciągał rękę, żeby podrapać

zwierzaka za uchem, a obydwoje uszu, jak na zawołanie, było do tego gotowych.

– Poker, jak miło cię widzieć. Dobrze, że zajrzałeś! – szczerze się cieszył.

Wamis wyczekiwał właściwego sygnału, więc kiedy Poker spojrzał na niego, dłużej nie zwlekał.

– Cześć, piesku! Dasz łapę? – zachęcił.

Owczarek natychmiast usiadł i podniósł łapę. Uścisk łapy zakończył ceremoniał powitania.

Uśmiech nie schodził z twarzy Mawskiego, ponieważ do stolika przysiedli się Bruno i Olga.

– Cześć, młodzieży! Trochę kazaliście na siebie czekać. My tu korzenie o mało co zapuściliśmy. Co u was ciekawego? Jak się czujecie? Macie ochotę na skoki? Jeśli nie, to możemy je przełożyć na inny dzień. – starał się dociec przyczyny spóźnienia.

– Oczywiście, że skaczemy. – Bruno zdecydowanie potwierdził.

– Po to przyjechaliśmy, Heniu. Przepraszamy, że nie wyrobiliśmy się w czasie. Później wam wyjaśnimy dlaczego. – Olga pokornie, ale jednocześnie konkretnie wykazała się chęcią.

– To co robimy? – Igor zwrócił się do Mawskiego. – Ty tu dowodzisz!

Nastąpiła cisza. Cała trójka zachowywała dystans do decyzji pilota. Cieszył się dużym autorytetem. Nikt nie zamierzał wywierać presji. Mawskiego nurtowały drobne wątpliwości, ale nie miał konkretnych podstaw, by odmówić. Powędrował wzrokiem kolejno na Olgę, Brunona i Igora, a potem bez zbędnych komentarzy wydał dyspozycje.

– Bruno i Olga, zaprowadzicie Pokera tam, gdzie jego miejsce. Później pójdziecie do spadochroniarni i zaraz do samolotu. Igor, ty już możesz iść do spadochroniarni. Ja za kilka minut będę czekał w cessnie. Po drodze

zahaczę o instruktora Sławka i poproszę go, żeby czuwał przy kole. No to co? Do dzieła! Pogoda jak marzenie!

To powiedziawszy, wstał i ruszył do wyjścia. Za nim podążyli pozostali. Rozstali się pod kawiarenką.

Poker nie odstępował Brunona. Instynktownie wyczuwał, dokąd idą. Nie była to dla niego żadna nowość. Dotychczas działo się tak wiele razy. Z przykawiarnianego terenu wyszli na równą, krótko wykoszoną trawę. Minęli rękaw pokazujący, z jaką siłą wieje wiatr. Tym razem zwisał nieruchomo, jakby mówił do zainteresowanych: „OK. Dzisiaj nie mam nic do roboty, za to wy, jeżeli zechcecie, poskaczecie do woli!”.

Doszli do koła spadochronowego. Nadmuchany okrągły materac służył skokom na celność lądowania. W samym jego środku mieściło się elektroniczne centro, dokonujące dokładnych pomiarów, dlatego nikt nie miał wątpliwości, który ze spadochroniarzy skoczył najcelniej.

Pies usiadł pod tablicą wyświetlającą wyniki. Od tego momentu koncentrował się wyłącznie na kole. Nie interesował się niczym innym. Weszło mu to w nawyk, bo tak w jego życiu było od zawsze. Czekał na skoki. Nie zareagował więc, gdy Bruno i Olga odeszli.

Spadochroniarnia mieściła się w budynku przylegającym do hangaru. W obszernym pomieszczeniu na półkach leżały spadochrony. W szafach znajdowały się kombinezony, buty i kaski. Pośrodku stał duży brezentowy stół w kształcie trapezu służący do układania spadochronów.

Igor kończył właśnie przygotowania do skoków i akurat zakładał latające skrzydło, kiedy obok niepostrzeżenie stanęli Bruno i Olga. Spojrzał na przybyłych.

– Szykujcie się, bo Heniek na pewno na nas wygląda!

– Tak, tak, już się zbieramy! – przytaknął Bruno, wyjmując akcesoria spadochronowe. – Aha – dodał jeszcze – chciałbym z tobą później pogadać.

Będziesz miał trochę czasu?

– Jasne! Nigdzie mi się nie spieszy. – Igor chętnie się zgodził.

Olga w ekspresowym tempie ubrała się w biały kombinezon i założyła buty odpowiednie do skoków, a gdy ten strój uzupełniła szczelnie dopasowanymi okularami i kaskiem, była należycie przyszykowana. Miała za sobą ośmioletni trening, toteż już po chwili ze spadochronem na plecach ogłosiła:

– Panowie, jestem gotowa!

Mężczyźni, jak na zawołanie, odwrócili się do Olgi. Igor zażartował:

– Ty gotowa! I my też! Kto żyw, z drogi! Wzdłuż i wszerz!

Roześmiali się, choć śmiech Brunona zabrzmiał mało przekonująco. Targało nim rozgoryczenie, ale faktycznie, jako spadochroniarz, tak jak pozostała dwójka, czuł się pewnie. Każde z nich wykonało jak dotąd ponad tysiąc skoków.

Z kabiny cessny spoglądał w ich kierunku Mawski. Ponaglił ich, machając ręką. Przyspieszyli kroku i szybko znaleźli się na pokładzie. Bruno zamknął drzwi. Usiedli na podłodze.

– Do nieba? – usłyszeli zwyczajowe pytanie pilota.

– Do nieba! – odpowiedzieli chórem.

Samolot ruszył w kierunku pasa startowego. Tam się zatrzymał. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało Mawskiemu, że należy wykluczyć najmniejsze ryzyko, więc ponowił próbę silnika. W skupieniu drobiazgowo wychwytywał wszelkie niuanse pracującej maszyny. Zwiększył obroty silnika. Cessna rozpoczęła start. Po kilkuset metrach uniosła się do góry, a potem wznosiła coraz wyżej. Musiała osiągnąć pułap tysiąca metrów.

Przyzwyczajeni do hałasu wewnątrz samolotu, w ogóle go nie słyszeli. Maksymalnie skupiali się na swoim zadaniu. Liczyło się tylko ono. Padła

komenda:

– Jesteśmy na kursie zrzutu!

To był sygnał do rozpoczęcia skoków. Bruno otworzył drzwi.

***

Poker twardo warował pod tablicą. Obok przechadzał się instruktor spadochronowy, Sławek Rys, który zdążył porozkładać na trawie brezentowe płachty. Teraz nie spuszczał z oczu krążącej cessny i wiedział, że trochę to jeszcze potrwa. Popatrzył na Pokera. Podziwiał tego psa.

– No, piesku, odrobinę cierpliwości. Uszy do góry! – pocieszył go.

Poker, z uszami jak zwykle do góry niczym dwa radary, nie zwracał na niego uwagi. Rys lekko rozczarowany stanął na wprost i próbował na wesoło:

– A kuku, Pokerku! A kuku!

Owczarek zachowywał się tak, jakby niczego nie słyszał ani nie widział. Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Cip, cip, cip! Miau, miau, miau! – Dwoił się i troił.

Niestety, nic nie wskórał. Podjął jeszcze jedną próbę. Zaczął wywijać rękami jakieś esy-floresy i tajemniczym głosem wypowiadał słowa:

– Abrakadabra, abrakadabra. Ocknij się, Pokerze!

Ten pomysł też okazał się chybiony, bo pies i tak zdawał się nieobecny.

– No wiesz, a ja myślałem, że z ciebie bystrzacha! Nie to nie! Nie chcesz ze mną pogawędzić, to twoja strata. – Rys zrobił niezadowoloną minę.

W tym samym momencie Poker zaszczekał. Jedno spojrzenie do góry wszystko wyjaśniło.

– Jesteś psem na medal! Zawsze w ciebie wierzyłem! Zuch!

Sławek Rys w lot odczytał komunikat owczarka. Na niebie pojawiły się właśnie trzy ciemne punkty. Stawały się coraz większe, aż nagle jeden po drugim zawisły na spadochronach. Z daleka można było rozpoznać latające skrzydła. Na pomarańczowym spadała Olga, na białym – Bruno, a na żółto-zielonym – Igor.

Igor pierwszy miał koło w swoim zasięgu. Najpierw ściągnął kołki, żeby wyhamować prędkość opadania, a zaraz potem zaczął sterować linkami. W końcu z pełną determinacją dotknął piętą centralnej części koła spadochronowego. Zgarnął spadochron i zszedł z koła. Do lądowania przygotowywał się już Bruno. Biały spadochron wykonywał niewielkie ruchy, szybko wyhamował i skierował się ku kołu. Sekundy wystarczyły, żeby skoczek poczuł pod stopami elastyczne podłoże. Ostatni skok należał do Olgi, która wykazała się zimnokrwistym uporem. Zapanowała nad sobą i spadochronem do tego stopnia, że trafiła dokładnie w samo centro. Natychmiast tablica, która wyświetlała jej wynik, zagrała triumfalne fanfary.

Instruktor zbliżył się do skoczków. Każdemu podał rękę.

– Olga, super! Jesteś debeściarą! A wy, chłopaki, też bardzo dobrze. Obu wam zabrakło po centymetrze. Tak trzymać!

Taka motywująca aprobata nagradzała udany wysiłek. Przyjęli ją ze zrozumieniem.

Wszyscy w gruncie rzeczy zgadzali się z Rysem.

– No i jak wam poszło? – usłyszeli znajomy głos.

To Mawski szedł w ich stronę i z daleka dopytywał się o rezultaty skoków.

– Na Olgę nie ma mocnych. – Bruno rozłożył ręce.

– To szczera prawda – dodał Igor. – Nie mamy szans!

– Nie bądźcie tacy skromni – zrewanżowała się dziewczyna. – Już nie raz daliście mi w kość!

Bez komentarza wysłuchał tych przekomarzań, a potem zapytał instruktora:

– Sławku, a jak z techniką skoków? W porządku?

Ten nie miał żadnych wątpliwości.

– W stu procentach. Gdybym starał się czegoś doszukiwać, to bym się zwyczajnie czepiał.

– W takim razie jeszcze jedno. – Pilot, podchodząc do Pokera, napomknął jakby od niechcenia. – Czy dzisiaj kończymy, wracamy do domu i grzecznie do łóżeczka? Jeżeli macie ochotę, lecimy, a jeśli nie, jutro też jest dzień. – Pogłaskał psa.

Zanim Bruno i Olga zareagowali, wyprzedził ich Igor.

– Jestem na tak! – rzucił szybko.

Wydawało się, że ta deklaracja załatwiła sprawę.

– Oczywiście, że jesteśmy na tak! – przyłączyła się Olga.

Bruno zdystansował się. Nie zaprzeczył, ale również nie wyraził chęci. Igorowi dało to do myślenia, więc zastosował obiektywną, według niego, metodę. Entuzjastycznie zawołał:

– Mam propozycję! Niech los rozstrzygnie! Orzeł albo reszka! Orzeł – skaczemy! Reszka – nie skaczemy! Kto jest za? Kto przeciw?

Nikt nie był za i nikt nie był przeciw. Panowała cisza. Czekali na to, co się zaraz zadzieje, ponieważ skoczek trzymał już w ręku monetę pięciozłotową.

– A gdzie aplauz, moi kochani? Nie słyszę! Wielka szkoda, ale dajmy się wypowiedzieć losowi.

Z szerokim uśmiechem na ustach podrzucił monetę do góry. Pięciozłotówka poleciała wysoko, zakręciła się, zawirowała i spadła na trawę, ocierając się o czubek buta Mawskiego.

– Heniu. – Igor wykorzystał tę sytuację. – Oddajemy się w twoje ręce. Spójrz i powiedz, co widzisz?

– Widzę orła. – Pilot dość nisko się pochylił. – Podejdźcie tu i sami zobaczcie.

Wynik rzutu monetą był bezdyskusyjny. Nie wymagał dalszego rozstrzygnięcia. Bruno zebrał się w sobie.

– Co my byśmy bez ciebie zrobili? – Podniósł monetę i podał koledze.

– Moja błyskotliwość jest na wagę złota! – zażartował Igor.

Mawski położył palec na ustach, popatrzył na spadochroniarzy i powiedział:

– Po pierwsze, zajmijcie się choć przez kilka minut Pokerem. Zasłużył na to. Wzorowo się zachowuje. Cały czas waruje pod tablicą! Po drugie, mknijcie do spadochronów, błyskotliwie je ułóżcie i błyskotliwie podążajcie do samolotu.

– Już się robi, panie dowódco! – Igor najpierw przyjął postawę żołnierza wykonującego rozkaz, ale dosłownie za moment dodał: – Proponujemy, Heniu, żebyś błyskotliwie udał się do kawiarenki i uraczył się błyskotliwą kawą ze śmietanką i cukrem.

Pilot zamierzał odwzajemnić to poczucie humoru, ale Rys mu przeszkodził.

– Czy w swojej błyskotliwości, Henryku, zabierzesz mnie na tę błyskotliwą kawę?

– Z przyjemnością – odparł Mawski i, powoli idąc w stronę kawiarenki, dowcipnie dopowiedział: – Chodźmy, Sławeczku, czym prędzej chodźmy, bo od tych błyskotliwych przebłysków ktoś tu jeszcze wywinie orła.

Gdyby siła psiego wzroku wywiercała dziury w brzuchu, to Bruno miałby taką na wylot. Poker przeszywał go swoimi bystrymi oczami gotowy do zabawy. Piłeczka nęciła i wabiła, ale się nie ruszał. Podniósł się dopiero wtedy, gdy usłyszał komendę.

– Do mnie, Poker!

Bruno stał z wyciągniętą ręką. Drugą klepał się po udzie. Wtedy pies wystartował jak strzała. Piłeczka śmignęła w powietrzu na bardzo krótko, bo po kilku susach zakończonych energicznym podskokiem powracała niesiona przez szczęśliwego psa. Tej zabawie nie byłoby końca, gdyż Poker tryskał niespożytą energią. Z łatwością chwytał zabawkę i posłusznie odnosił do czasu, aż skoczek zaprowadził go na miejsce pod tablicą i nakazał tam pozostać.

Ułożenie spadochronów nie zajęło zbyt wiele czasu. Mieli wprawę. Zrobili to metodycznie i rzetelnie. Kiedy z latającymi skrzydłami na plecach wracali do cessny, minęli się z uśmiechniętym Rysem, który zmierzał do koła spadochronowego.

– Widzę, że u was wszystko na swoim miejscu. No, to do boju, orły! – Kciukiem uniesionym do góry motywował spadochroniarzy.

Igor odpowiedział takim samym gestem.

Zanim weszli na pokład samolotu, Bruno zatrzymał się. Spojrzał na Wamisa i ściszonym głosem poważnie oznajmił:

– Dręczy mnie problem, ale nie chcę teraz o tym mówić. Mam prośbę, skończymy na tym wylocie. Pomyślałem, że może mógłbyś pojechać do mnie dzisiaj po skokach. Zależy mi na tym.

Igor ani przez chwilę się nie zastanawiał.

– Rozumiem – odpowiedział prędko i, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, dodał: – Ten wylot i kończymy, a potem jedziemy do ciebie.

– Nie ma co przedłużać – popędzała Olga. – Spójrzcie, Heniu jest zwarty i gotowy!

Po chwili samolot ruszył ze stojanki. Wszystko toczyło się utartym rytmem. Wykonali po jednym skoku. Spadochroniarka ponownie wyprzedziła o centymetr aeroklubowych kolegów, instruktor Sławek znowu nie żałował dobrych słów, a pies nienagannie czekał na swoim miejscu.

Mawski należał do osób, z którymi Poker chętnie współpracował. Nie znosił monotonii, toteż wkrótce po lądowaniu dotrzymywał psu towarzystwa, podczas gdy skoczkowie zajmowali się spadochronami. Zwierzak nie odpuszczał ani pilotowi, ani piłeczce. Był w swoim żywiole.

Zabawa dobiegła końca w momencie, kiedy spadochroniarze uporządkowali swoje ekwipunki. Podeszli w trójkę do Mawskiego. Olga z miną anioła przystanęła najbliżej.

– Mamy do ciebie prośbę. – Złapała oddech i kontynuowała: – Gdybyś nie miał do nas żalu, to byśmy podziękowali ci za dzisiaj.

Wyczuwał, że coś wisi w powietrzu, więc zareagował z wyrozumiałością.

– Nie ma sprawy! Nie przejmujcie się. W razie czego dzwońcie! O każdej porze!

Popatrzył na nich. W dalszym ciągu stali. Było oczywiste, że potrzebowali paru dodatkowych słów zachęty. Załatwił to w kilka sekund.

– No, młodzieży, co tak stoicie? – zapytał. – Nie wiecie, którą nogą zacząć? Powiem wam: prawą! W tył zwrot! Odmaszerować!

– Zameldujemy się szybciej, niż myślisz! Masz to jak w banku! A za dzisiaj jeszcze raz dziękuję. – Igor żegnał się uściskiem ręki.

Odetchnęli z ulgą, gdyż Mawski rozstawał się z nimi w przyjaźni. Dodał im otuchy, mówiąc:

– Gnajcie do swoich spraw. Bywają w życiu rzeczy ważniejsze. Zahangaruję cessnę i pędzę do domu.

Nie zdążył odejść, gdy usłyszał Sławka Rysa.

– Heniu, poczekaj! Idę z tobą! Pomogę ci!

Odwrócił się i wyraźnie zadowolony przez chwilę zacierał ręce.

– Z nieba mi spadłeś, Sławeczku! – szczerze się cieszył.

Skoczkowie szli do spadochroniarni. Przed nimi Poker niósł swoją zabawkę. Bruno uznał, że to dobry moment na krótką rozmowę.

– Słuchaj, winien ci jestem wyjaśnienie. – Trącił łokciem bok kolegi.

– Jeżeli akurat teraz odczuwasz taką potrzebę – zachęcił go Igor i ciekaw, o co chodzi, mówił dalej: – Zresztą najlepiej będzie wyrzucić to z siebie. Zamieniam się w słuch.

– Zniknęła moja mama. – Bruno przystanął. – Muszę ją odnaleźć. Wiem, że mogę ufać Oldze, ale wiem, że tobie również. Stoję pod ścianą i nie mam pojęcia, jak się przez nią przebić. Może wspólnie coś wymyślimy.

Na twarzy Igora prześcigały się emocje. Zaskoczenie, współczucie i oburzenie demonstrowała żywa mimika. Zmarszczył groźnie czoło i ogłosił tonem twardziela:

– Nie załamuj się. We trójkę mamy siłę!

– Dziękuję – odpowiedział Bruno, ale nie był w stanie dodać nic więcej. Takiej reakcji się spodziewał. Nie zawiódł się.

Olga z wypiekami na policzkach przysłuchiwała się rozmowie. Nie wtrącała się. Nagle jednak jakby dostała olśnienia.

– Bruno, a telefon? – zawołała. – Jedźmy natychmiast do pana Tytusa! Zapomniałeś?

– Sam już nie jestem pewny, czy pamiętałem, czy zapomniałem. Na szczęście ty nie pozwolisz mi o niczym zapomnieć. – Z wdzięcznością

najpierw spojrzał na Olgę, a potem zaczął tłumaczyć koledze: – To wszystko takie zagadkowe. Wyobraź sobie, że znienacka pojawił się samochód mamy. Oczywiście bez niej. Jakieś czarodziejskie hokus-pokus sprawiło, że stoi sobie przed domem. No i jeszcze chyba tylko za sprawą czarodziejskiej różdżki do kabrioletu wskoczył telefon. Wcześniej, dałbym sobie ucho urwać, tam go nie było. – Głos Bruna wyrażał niemoc i rozgoryczenie.

– Doskonale cię rozumiem. – Igor uciął szybko.

Podniósł obie ręce do góry i naprężył muskuły.

– Widzisz to? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź, z naciskiem podkreślił: – Już po tym złoczyńcy! Jego godziny są policzone! Dopadniemy go!

***

Tytus Kopski siedział w fotelu. Minę miał nietęgą. Przeżywał to, co się wydarzyło. Przez jakiś czas nie odzywał się do przyjaciela. Analizował w myślach przykre zdarzenie na drodze. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły. Właściwie bez nadmiernego trudu układał kolejne epizody od momentu, gdy ruszył za mężczyzną w żółtej czapce, do chwili, w której upewnił się, że Jakub Gawicz jedzie za nim. A dalej pustka, kompletna amnezja, której nie potrafił zaradzić. Stary przyjaciel, który siedział na sąsiednim fotelu, spokojnie opowiadał. W najdrobniejszych detalach relacjonował to, czego był świadkiem. Nie omieszkał też pocieszyć Kopskiego.

– Nie martw się, to tylko chwilowa niepamięć. Wkrótce przypomnisz sobie to, na czym ci zależy. Koniecznie musisz wypocząć, a złamana ręka wygoi się w kilka tygodni. Idę o zakład, że dasz sobie radę. Jak cię znam,

pokażesz figę z makiem wszelkim przeszkodom. Chociaż, w razie czego, jestem do dyspozycji. Nie zapomnij!

– Nie czaruj mnie! – Kopski odezwał się chłodno. – Moja złamana ręka, twój uszkodzony samochód, no i szansa, którą miałem! Rozumiesz? Mogłem dorwać faceta! Zależało mi na tym! Bardzo chciałem pomóc! A teraz klapa! Proszę cię, nie słodź mi. Lepiej wymyśl coś.

Gawicz nie wyrywał się z odpowiedzią. Przez chwilę milczał, a potem z pełną powagą powiedział:

– Obiecuję wszystko przemyśleć, ale ty musisz zadbać o kondycję. Sam nic nie zdziałam, dlatego…

Nie dokończył, bo rozległ się dzwonek domofonu.

Nie ostrzegł gości Kopskiego, w jakim stanie go zastaną. Wpuścił ich do domu i wszedł do salonu ostatni. Bruno i Olga zatrzymali się tuż za progiem salonu z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Panie Tytusie, co się stało? Jak się pan czuje? – Olga zmartwiła się wyglądem mężczyzny.

Bruno równie zaskoczony ręką w gipsie i opatrunkiem na policzku uznał, że należy nieco złagodzić niezbyt przyjemną atmosferę, więc zażartował:

– Czyżby był pan amatorem wschodnich sztuk walki? Widzę, że nie najgorzej panu poszło. Na pierwszy rzut oka ma się pan całkiem nieźle.

Kopski zareagował z ironicznym przekąsem.

– Nie da się ukryć, że jestem przodującym karateką. Zastosowałem swój autorski chwyt – powiedział uszczypliwie. – A to tylko taki drobiażdżek! – Wskazał na gips i pstryknął palcami zdrowej ręki. Powtórzył pstryknięcie i sfrustrowany mówił dalej: – W taki oto sposób, jak na zawołanie, ręka będzie zdrowiuteńka! Zaraz sprawdzę, bo może już jej nic nie dolega!

Bruno i Olga, którzy nie znali prawdziwej przyczyny obrażeń, poczuli się trochę onieśmieleni jego zdenerwowaniem i zamilkli. Kopski zreflektował się bardzo szybko.

– Przepraszam, nie miejcie do mnie żalu. Siadajcie, proszę! – zaproponował. – Nie kłopoczcie się moim zdrowiem. Powrócę do dobrej formy.

Bez słowa usiedli przy stoliku, gdzie w filiżankach czekała gorąca kawa, a Gawicz stawiał właśnie mleko.

– Bruno! – Sąsiad chrząknął, jakby chciał pozbyć się kluchy blokującej mu struny głosowe. – Słuchaj, chłopcze. – Ściskanie w gardle zelżało. – Liczę na to, że mnie zrozumiesz. Musiałem to zrobić. Chciałem jak najlepiej, ale się nie udało. Całe szczęście, że mój stary przyjaciel, zresztą nie pierwszy raz, nie odmówił mi pomocy.

Popatrzył na Gawicza, jednak ten milczał, bo wiedział, że jego poturbowany kolega powinien pozbyć się balastu leżącego mu na sercu.

Kopski relacjonował:

– Widziałem mężczyznę najprawdopodobniej zamieszanego w zaginięcie twojej matki. Bez Jakuba nie byłbym w stanie tego dokonać. To on prowadził obserwację, a ja czekałem w aucie na sygnał. Ten facet, tak jak przewidywałem, pojawił się przed waszym domem. W żółtej czapce i białych butach. Później dzięki tej czapce miałem pewność, że to on. Wszedł do domu. Nie trwało to długo, a kiedy wychodził, niósł jakiś pakunek.

Dostrzegł w oczach Brunona bezmiar zdumienia. Nie umknęło mu także, że młody mężczyzna siedzi od dłuższej chwili jak skamieniały. Wypowiedź nabierała coraz bardziej dramatycznego charakteru.

– Jakub trzymał rękę na pulsie! Był moim drogowskazem! Pojechałem za tym człowiekiem! Na krótko mi zniknął, a potem wyjechał jeepem zza krzaków. Białym jeepem! Żółta czapka podróżowała białym jeepem!

Miałem go przed sobą, a tyły zabezpieczał Jakub i nagle na masce mojego samochodu wylądowało duże zwierzę! Jakub twierdzi, że jeleń… I tak się to skończyło… Chciałem pomóc, a poniosłem porażkę. Nie pamiętam niczego, co by nam się przydało. Pamięć mnie zawodzi. Po prostu urwał mi się film! Samochód uszkodzony, ja też, i żeby chociaż było warto, a tu nic!

– Nie mów, że nic. – Gawicz podał przyjacielowi filiżankę. – Przypominam ci, że ja tam byłem. Przypominam też, że zderzyłeś się z potężnym jeleniem. Poza tym mniej więcej pamiętam, gdzie się ta kraksa wydarzyła. A to już coś jest! Trzeba iść tym tropem.

Przed młodymi stała nietknięta kawa. Zupełnie o niej zapomnieli. Przykra atmosfera wypełniała salon. Bruno zszokowany i zarazem skonsternowany, ale jednocześnie pełen podziwu dla sąsiada zareagował tak, jak sytuacja tego wymagała.

– Panie Tytusie – odezwał się łagodnie. – Miał pan dużo szczęścia. Mogło być dużo gorzej. Aż strach o tym myśleć. Bardzo panu dziękuję, że zaangażował się pan w poszukiwanie mojej mamy. Szkoda tylko, że nas przy tym nie było.

– Wiem, wiem, ale żadnej pewności nie miałem, że w taki sposób wszystko się potoczy, a czas nas po prostu gonił. – Sąsiad wytłumaczył się całkiem racjonalnie.

– Rozumiem i nie mam pretensji. – Bruno go uspokoił i zwrócił się do Gawicza: – Panie Jakubie, niezmiernie jestem wdzięczny.

– Zrobiłem to naprawdę chętnie – z sympatią odpowiedział Gawicz.

Olga mocno wstrząśnięta toczyła ze sobą walkę. Nie zabierała głosu, trzymała emocje na wodzy. Atmosfera była wystarczająco napięta, więc wszelkie dodatkowe impulsy jeszcze bardziej by ją zaostrzyły. Zawsze potrafiła okiełznać swoją energię. Była kobietą racjonalną, dlatego nie traciła czasu, tylko szukała sensownego rozwiązania. Od razu zwróciła

uwagę na to, co powiedział Gawicz, i uznała, że istnieje całkiem realna szansa posunąć sprawę do przodu. Zastanawiała się jedynie, czy nadszedł odpowiedni moment. Prędko doszła do wniosku, że pojawiła się szansa i najlepiej będzie zadziałać najszybciej, jak to możliwe. Podeszła do okna. Na zewnątrz powoli zapadał zmierzch. Jego bladoszare okruchy swoim zwykłym, nieśmiałym tempem dopiero zaczęły wszędzie się sadowić. Zanosiło się na to, że dobra widoczność potrwa jeszcze wystarczająco długo. Jak bumerang powracała ta sama myśl. Odwróciła się do mężczyzn. Siedzieli z pochmurnymi minami. Zbliżyła się do nich i klasnęła.

– Nie popadajmy w melancholię! – Zabrzmiało to tak dobitnie, że wszyscy trzej natychmiast z dużym zainteresowaniem popatrzyli na Olgę. – Mam propozycję! – kontynuowała. – Moglibyśmy dzisiaj, pod warunkiem, że zrobimy to prędko, wybrać się tam, gdzie pan Tytus zderzył się z jeleniem. Mam przeczucie, że to słuszny krok. Liczę na pana Jakuba, że skojarzy to miejsce. Nie ruszymy się jednak, jeżeli pan Tytus nie czuje się na siłach. Czy da pan radę? Czy to nie będzie zbyt duży wysiłek?

Czekali na decyzję i spodziewali się wyłącznie jednej. Nie zdziwili się więc, kiedy usłyszeli:

– No to już, jedziemy! Nie odkładajmy tego!

Sąsiad nie dość, że wstał z fotela, to, mówiąc te słowa, energicznie skierował się ku wyjściu.

W tym samym czasie w samochodzie zaparkowanym przed domem Igor i Poker wzajemnie dotrzymywali sobie towarzystwa. Pies położył łeb na kolanach spadochroniarza i oddawał się miłym pieszczotom, których jego towarzysz, drapiąc go za uszami, nie skąpił. Kiedy wreszcie odezwało się zniecierpliwienie, Igor z ulgą zauważył, że budynek opuszczają cztery osoby. Byli wśród nich Bruno i Olga. Nie próbował dopytywać o szczegóły, gdy Bruno zdecydował zaprowadzić psa do domu matki, a na tylnym

siedzeniu usiadła Olga z jednym z mężczyzn. Przedni fotel zajął drugi, z ręką w gipsie. Rozpoznał w nim sąsiada Bromskiej. Powściągnął swoją ciekawość, ale gdy tylko mercedes ruszył, Bruno wszystko mu pokrótce objaśnił.

Kopski z nadzieją na przełom uparcie patrzył w okno samochodu. Był na najwyższych emocjonalnych obrotach. Powrót na feralne miejsce mógł uwolnić go od blokady pamięci. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobieństwo jest niewielkie, mimo to maksymalnie się koncentrował i nieustannie wytężał wzrok. Liczyło się wyłącznie to, co widział w przedniej szybie auta.

Jechali powoli drogą, której pobocza gęsto porastał las. Bruno nie przyspieszał, prowadził auto spokojnie. Mrok delikatnie kładł się na przydrożną zieleń. Opuścił szybę i wnętrze samochodu wypełniło się rześkim zapachem. Jechali w milczeniu, gdy nagle Kopski zbliżył głowę do szyby, przetarł oczy i ze zdumieniem krzyknął:

– Widzicie to, co ja? Spójrzcie! Tam, na wysokości brzóz, jest jeep! Cholera! To biały jeep! To na pewno on! Włączył prawy migacz! Zaraz będzie skręcał do lasu! Widzicie?

Skonsternowani spoglądali to na spoconego Kopskiego, to na ścianę lasu. Rzeczywiście kilka wysokich brzóz wyróżniało się na tle świerków i sosen. Niestety żadnego białego samochodu nie było, więc całkowicie osłupiali, nie potrafili wykrztusić słowa.

Bruno zwolnił i zjechał na pobocze. Zatrzymał mercedesa, otworzył drzwi i wyszedł.

– Wysiądźcie na chwilę. Przewietrzymy się – zachęcił.

Opuścili samochód trochę poirytowani zachowaniem sąsiada, który nie przestawał powtarzać:

– To był on! To on jechał tym białym jeepem! To on!

Uważali, że przeszarżował. Milczeli, ale on nie odpuszczał i natrętnie pytał:

– Dlaczego nic nie mówicie? Straciliście słuch? A co z waszymi oczami? Też źle? – Nerwowo dreptał obok auta i uparcie zapewniał: – Nie pomyliłem się! Na sto procent! To jest właśnie to miejsce!

A kiedy zatrzymał wzrok na przyjacielu, ten jednym susem doskoczył do niego, chwycił za ramiona, potrząsnął nim i powiedział:

– Uspokój się! Wszystko jest w porządku! Wierzymy ci. Zaczekaj tutaj, muszę coś sprawdzić.

Szedł bez pośpiechu z pochyloną głową. Nie podniósł jej nawet na krótki moment. Oddalał się, ale nie odszedł zbyt daleko. Raptownie się zatrzymał, jakby napotkał niespodziewaną przeszkodę.

Kopski patrzył na Gawicza z rosnącym zaciekawieniem, a kiedy ten kucnął, aż syknął z przejęcia, a Igor swoim zwyczajem zagaił z lekkością dowcipnisia:

– Aj! Aj! Aj! Jesteśmy świadkami świeżo odkrytego talentu detektywistycznego!

Żart pozostał bez echa. Jedynie Bruno kciukiem w dół pokazał, że w tych okolicznościach to niewypał. Usłyszeli głośne wezwanie.

– Chodźcie tu szybko!

Nie szli, tylko biegli. O mało co, a z impetem wpadliby na Gawicza, który całą swoją uwagę skupiał na fragmencie asfaltowej nawierzchni. Zobaczyli wyraźne ślady hamowania i nieregularną plamę cienkiej warstwy piasku, spod którego gdzieniegdzie przeświytywała sczerniała krew. Stali jak zahipnotyzowani. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowali się na miejscu wypadku. Słowa były zbędne.

Pierwszy ocknął się Kopski. Spojrzał w stronę przytłumionych mrokiem, lecz nadal rozpoznawalnych brzóz. Miał przeświadczenie, że nie

błądzi. Dotychczasowa ostrożność Brunona szybko przerodziła się w wiarę, że sąsiad się nie myli. Nie zwlekał i bez żadnego komentarza zarządził:

– Podjedźmy tam!

Kiedy tylko samochód wjechał z powrotem na jezdnię, Gawicz dobitnie podkreślił:

– Los nam sprzyja. Mój przyjaciel odzyskał pamięć. Możemy ufać, że dobrze nas wiedzie!

– Bez dwóch zdań! – prędko potwierdziła Olga zadowolona, że jej pomysł nie okazał się chybiony.

Kopski nie zdążył jeszcze pozbierać myśli, więc ograniczył się do zdawkowego „Dzięki!”.

Dotarli do brzóz i chociaż zmierzch stawał się coraz gęstszy, koniecznie chcieli sprawdzić, co się za nimi znajduje. Kierowca skręcił, przejechał kilkanaście metrów i nie próbował dalej. Co prawda światła reflektorów pokazywały ślady dowodzące tego, że ktoś tamtędy jeździł, ale auto mogłoby nie pokonać leśnego, trawiastego i nierównego terenu. Wyszli na zewnątrz z nadzieją, że trafią na jakąś wskazówkę. Niestety, okazało się to trudne, a po kilku minutach wręcz niemożliwe, bo gdzie nie spojrzeli, tam zderzali się z ciemną ścianą mroku na tyle nieprzeniknioną, że Bruno zdecydował:

– Słuchajcie, wielka szkoda, ale nie ma sensu się tu dzisiaj błąkać po omacku. Musimy zaczekać do jutra. Trzeba tu wrócić. Najważniejsze, że ruszyliśmy z miejsca.

Zgadzali się z tą diagnozą. Bez sprzeciwu wracali do samochodu. Wkrótce zaparkowali na ulicy Pięknej, jak każdego wieczoru zupełnie opustoszałej. Żegnali się zmęczeni, ale nie zrezygnowani. Zanim Kopski z Gawiczem doszli do furtki, Olga zerknęła na Brunona i szepnęła:

– Pamiętaj o telefonie.

– Przyznam ci się, że znów zapomniałem – powiedział i zaraz zawołał: – Zupełnie wypadł mi z głowy telefon mamy! Mogę go zabrać?

Sąsiad uśmiechnął się i nie bez kozery z tolerancją potraktował tę lukę w pamięci.

– Tak to czasem bywa. Raz się pamięta, innym razem nie. Najważniejsze tak naprawdę jest to, żeby sobie w samą porę przypomnieć.

– Szczera prawda. Nic dodać, nic ująć.

Bruno zgodził się, ale wolał nie drążyć tego tematu. Z pomocą przyszedł mu Poker, który akurat zaczął szczekać. Usłyszeli go wyraźnie.

– Ciekawe, co u Pokera? Chyba się zniecierpliwił – zastanawiał się.

Kopski zerknął na dom Bromskiej i krótko skwitował tę obawę.

– Na pewno czeka już przy drzwiach.

Po paru minutach w towarzystwie sąsiada Bruno wracał do samochodu. Wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję. Niech pan dba o siebie.

– Do zobaczenia. Nie czekaj, gdybyś potrzebował pomocy. Służę na razie tylko jedną ręką, ale Jakub ma dwie, czyli razem dysponujemy trzema. Jak by nie liczyć, to więcej niż twoje dwie! – Trochę pokrętnie i żartobliwie przekonywał w nadziei, że syn Bromskiej nie będzie się sugerował złamaną ręką.

I znowu szczekanie psa uwolniło Brunona od deklaracji, której oczekiwał sąsiad. Kopski wycofał się i nie nalegał, a Bruno otworzył drzwi mercedesa i zapytał:

– Wytrzymacie jeszcze kilka minut? – Nie usłyszał odpowiedzi, więc wyjaśnił: – Wolałbym iść sam. Postaram się nie przedłużać.

Olga trafnie wyczuła jego intencje. Rozumiała, że potrzebował być sam na sam ze sobą w domu rodzinnym, szczególnie w tych arcytrudnych

okolicznościach.

– Idź! Idź! Nie przejmuj się! Damy radę – uspokoiła.

Poker przywitał swojego właściciela w holu, skomląc i radośnie kręcąc się w kółko. Razem obeszli cały dom. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak zwykle, bez żadnych niespodzianek. Dopiero pod koniec uwagę zwróciła otwarta garderoba. Doskonale pamiętał, że ostatnio widział ją zamkniętą. Zajrzał do środka. Część ubrań wisiała w uporządkowanym szeregu, a inne starannie poskładane leżały na półkach. Nie był w stanie ustalić, czy czegoś brakuje. Zainteresował się szafką z butami. Obuwie stało gęsto w kilku rzędach, ale w samym środku najniższego rzucała się w oczy pusta przestrzeń. Wyglądało na to, że zniknęła jedna para.

Na stoliku w salonie tak jak poprzednio znajdował się album, ale natychmiast zauważył różnicę. Teraz przednia, tytułowa część okładki była niewidoczna, a przecież nie zapomniał, że odkładał album, czytając tytuł napisany własnoręcznie przez matkę.

Sięgnął po album i usiadł w fotelu. Zamknął oczy. Karuzela traumatycznych myśli kręciła się nieznośnie. Zacisnął pięści. Nie planował kapitulacji.

Najpierw musiał zmierzyć się ze wspomnieniami utrwalonymi na fotografiach.

Na pierwszej, bardzo starej, kilkuletnia jasnowłosa dziewczynka stała pod dębem z koszyczkiem pełnym żołędzi. Wzruszył się na myśl, jak mocno od zawsze jego mama kocha te drzewa. Potem zatrzymał się na zdjęciach z wczesnej młodości matki i ojca, a ślubna pamiątkowa fotografia rodziców wywołała uczucie tęsknoty za obojgiem. Przeglądał kolejne, na których cała rodzina wyglądała na szczęśliwą i, jak dobrze pamiętał, tak faktycznie było. Na przedostatniej stronie pojawiła się fotografia wyjątkowa w każdym calu. Na pierwszym planie rodzice i Poker, a w tle

czerwony kabriolet. Rodzice roześmiani i Poker z wywieszonym językiem też jakby się uśmiechał. Nie mógł oderwać się od tego zdjęcia, był nim dogłębnie poruszony.

Jeszcze raz przekartkował album, żeby cofnąć się do tej fotografii, która stanowiła zagadkę.

Na jednej ze środkowych stron rzucało się w oczy puste miejsce po zdjęciu. Dowodziły tego resztki zeschniętego kleju. Rozważał dwie opcje: albo matka je usunęła, albo to sprawka nieznajomego. Żaden wysiłek intelektualny nie mógł być w tej sytuacji owocny. Odłożył album.

Powrócił z Pokerem do samochodu. Usiadł za kierownicą, oparł głowę o zagłówek i milczał. Ciszę przerwał Igor.

– Halo! Halo! Jesteś tu, Bruno? Co z tobą?

Nie było żadnego odzewu. Olga spróbowała zadziałać.

– Jak ci poszło? Masz jakąś koncepcję? Opowiadaj!

Odczekała trochę, ale nie wykrztusił ani słowa. Postanowiła ponownie go zmotywować.

– Brunonku, proszę, wyrzuć to z siebie. Chcemy ci pomóc. Jeżeli nie pozbędziesz się tego ciężaru, nie dasz nam szansy.

Położył ręce na kierownicy, westchnął i wybuchnął:

– To mnie totalnie dołuje! Nie poddam się! Nigdy! Niby wszystko w domu w porządku, ale brakuje butów mamy i zdjęcia w albumie! Co do zdjęcia, to nie będę się strasznie czepiał, ale gdy chodzi o buty, to sądzę, że ten człowiek zabrał je ze sobą. Może wziął też jakieś ubranie. To bardzo prawdopodobne. Muszę go dorwać! Nie odpuszczę!

– Bruno! – Olga bezpardonowo się wtrąciła. – Rozumiesz, co nam mówisz? Na pewno wiesz, co powiedziałeś? Jeżeli nie, to ci to uświadomię. Przekazałeś nam świetną wiadomość! Twoja mama żyje! Z jakiego innego powodu ktoś zabierałby jej buty?

– Olga ma rację. – Igor spokojnym tonem usiłował wpłynąć na kolegę. – Twoja mama żyje i nie może być inaczej. Chłopie, bierzmy się do roboty! Nie będzie nam jakiś niegodziwiec zatruwał rodzinnego powietrza! – zakończył siarczyście.

– W takim razie jedziemy do mnie! – zareagował Bruno. – Zgadzam się z wami! Moja mama żyje! Tak, tak, nie mylicie się! – Nerwowo się roześmiał.

W tym samym momencie owczarek, który siedział z tyłu, niespodziewanie przysunął kudłaty łeb do jego głowy, wyciągnął długi język i polizał po uchu. Bruno od razu się rozczulił.

– O, mamusiu, jakie to wspaniałe, że Poker jest ze mną. Wielkie dzięki za tę dobrą psinę.

Pies sprawił, że poczuli ulgę. Nastrój nabrał optymistyczniejszych akcentów. Bruno postanowił zrobić drobne zakupy, a przede wszystkim, co dumnie ogłosił:

– Poker zasłużył na smakołyk. Kupię mu wędzone ucho.

Igor zwietrzył okazję.

– Kup dużą czekoladę z orzechami – poprosił. – Powodu na razie nie wyjawię. Powiem później.

– Tylko jedną? – dociekał kolega. – Przecież wszyscy lubimy czekoladę z orzechami.

– Jedną, ale nie przypisuj temu banalnej potrzeby. Zresztą ten rarytas nigdy nie bywa banałem. – Igor stronił od szczegółów.

– Jasne, ucho, czekoladę i coś do jedzenia – podsumował Bruno.

***

Aromat zapiekanek był tak nęcący, że dosłownie rzucili się na nie. Zniknęły w mgnieniu oka. Gorąca herbata wydawała się cudownym eliksirem.

Popijali ją z prawdziwą przyjemnością. Poker też oddawał się smakowitym rozkoszom. Leżał na materacu pochłonięty świńskim uchem, którym z początku się bawił, ale w krótkim czasie po uchu nie było ani śladu.

Ze względu na późną porę Olga zrobiła słabą kawę z mlekiem. Postawiła dzbanek na stoliku i zachęciła:

– Kawa dobrze nam zrobi, bierzcie się za nią! – Potem skupiła uwagę na Igorze i zagadnęła go: – Czy odkryjesz ten czekoladowy sekret? Bo chyba mam déjà vu…

– Nie, nie! – Igor błyskawicznie zaprzeczył. – Nie krocz tą drogą! Wszystko w swoim czasie. Teraz, dopóki jest szansa, żeby się do kogoś dodzwonić, bo czas ucieka, nie wolno czekać.

Bruno już trzymał telefon w ręku i zaczął drążyć:

– Mów, do kogo. Nie zdziwię się, jeżeli typujesz tę samą osobę co ja. Mów, nie każ mi dłużej żyć w niepewności!

Igor przełknął kolejny łyk kawy i powiedział:

– Jestem pewien, że celujemy w tego samego człowieka. To oczywiste, że nikt nam nie jest bardziej potrzebny niż Heniu. Nie jestem zbyt odkrywczy, prawda? Też na to wpadłeś?

– Pilot i samolot to para, która ma ponadstandardowe możliwości, a doświadczony pilot i samolot mogą mieć dla nas kluczowe znaczenie. Gdyby Heniu się zgodził, to sytuacja zmieniłaby się na naszą korzyść! – powiedział z przekonaniem Bruno.

Olga skwapliwie pokiwała głową i wręcz entuzjastycznie przypieczętowała te rozważania.

– Heniu nadaje się jak mało kto! Ma kilka tysięcy godzin nalotu! Jest profesjonalistą. To przecież całe jego życie! Nie ma sensu strzępić języków, trzeba natychmiast z nim porozmawiać!

Osaczyła Brunona bezkompromisowym spojrzeniem.

– To na co jeszcze czekasz? – zapytała i spojrzała na zegarek. – Minęła dwudziesta druga. Może się nie położył.

– Tak, tak, Olga ma rację – zapewnił Igor. – Heniu prawdopodobnie jest jeszcze na chodzie. Najwyżej nie odbierze.

Bruno nie zamierzał dłużej dyskutować. Wybrał numer Mawskiego. Połączenie uzyskał w kilka sekund i od razu przystąpił do rzeczy:

– Halo! Przepraszam, że zawracam ci głowę w środku nocy, ale wierz mi, że sprawa jest ważna i poważna. Mamy wszyscy troje ogromną prośbę. Czy mógłbyś jutro rano przyjechać do aeroklubu? Powiedzmy, około ósmej? Bardzo nam zależy!

Do uszu przysłuchujących się nie docierała odpowiedź, jednak ostatnie usłyszane zdanie utwierdziło ich w przekonaniu, że pilot nie odmówił.

– Dziękuję ci! Do zobaczenia jutro! – Bruno pożegnał swojego rozmówcę i rozłączył się.

– A teraz nastąpi kolejny punkt programu! – ogłosił Igor.

Wstał, wyprostował się i przeciągnął. Olga straciła cierpliwość.

– Nie kombinuj, tylko gadaj! – zażądała stanowczo. – Maltretujesz nas! Jesteś bez serca… no i… jak dotąd bez czekolady – dodała z rozbrajającym uśmiechem.

– Dobrze, dobrze, wyjaśniam, w czym rzecz. – Igor znowu usiadł w fotelu, patrząc na koleżankę. – Intuicja cię nie zawiodła, bo czekolada powróci w roli nagrody dla zwycięzcy. Proponuję pokera i z góry was przepraszam, że tym razem wcale nie chodzi o czekoladę, ale ponieważ jesteśmy łasuchami czekoladowymi, to będzie to taka psychologiczna podpórka. Resztę zdradzę po pokerze.

Bruno klepnął się ręką po czole i zawołał:

– Jak mogłem na to nie wpaść! Przecież zawsze przy pokerze wspieramy się czekoladą. Muszę się poprawić, trzema czekoladami, ale

szczerze mówiąc, dzisiaj w ogóle nie mam na to ochoty. Jestem wypompowany. To nieodpowiedni moment.

Wypowiadając ostatnie słowa, spojrzał z wyrzutem na kolegę. Ten jednak upierał się przy swoim zdaniu.

– Nie masz racji. – Pokręcił głową. – Zaufaj mi. Wiem, co robię. Zgódź się.

Nie było reakcji. Zdarzało się, że Bruno i Olga grywali z Igorem. Traktowali to jak niezobowiązującą rozrywkę. Kto wygrał, to wygrał, a nagroda była dla każdego, i na dodatek taka sama – tabliczka czekolady. Czasami podczas kiepskiej pogody tak spędzali wolny czas. Jednak teraz ten pomysł wydał im się po prostu nie na miejscu. Nie odzywali się do siebie, każdy patrzył w inną stronę.

Olga, nie do końca przekonana, przeczuwała, że kryje się za tym coś więcej. Postanowiła dać Igorowi szansę.

– Może warto spróbować. Igor często miewa celne pomysły. Tu raczej nie chodzi o samą przyjemność. Zagrajmy! – poprosiła.

Bruno odpuścił, nie chciał odmówić. Wiedział też, że Igor rzeczywiście niejednokrotnie sprawdził się jako skuteczny pomysłodawca. Przystał na tę prośbę, choć niechętnie.

– Poddaję się. Macie liczebną przewagę. Niech będzie tak, jak chcecie.

Usiedli przy stoliku w ustronnym kącie salonu. Na okrągłym blacie leżały dwie kasetki. W jednej mieściła się talia kart, a w drugiej żetony. Igor przetasował karty, a Bruno włożył do puli dużą ciemną stawkę. W jego ślady poszła Olga, kładąc małą ciemną. Igor, zaczynając od Brunona, który siedział z lewej, rozdał każdemu po dwie karty.

Cisza osiągnęła punkt krytyczny. Pokerowy nastrój raził kamiennymi twarzami graczy. Cała trójka wpatrywała się w swoje karty. Mijały długie minuty. Determinacja sięgała zenitu. Nikt nie okazywał żadnych emocji.

Kolejne minuty ciągnęły się w nieskończoność. I naraz Bruno rzucił karty. Spasował.

Atmosfera gęstniała coraz bardziej. Igor wyjął z talii trzy karty i na środku stolika pojawił się flop. Olga dała do zrozumienia, że się wstrzymuje. Postanowiła czekać. Jej decyzja spowodowała, że Igor podbił stawkę, dodając do puli żetony dużej wartości. Bez wahania dołożyła taką samą stawkę. Sprawdzała. Igor walczył dalej, poszerzając flopa o czwartą kartę. Na środku stolika leżał teraz turn. Olga nie spieszyła się. Zmrużyła oczy i z zimną krwią spoglądała to na turn, to na swoje karty. Wszystko wokół zupełnie nie istniało. Znieruchomiała, a jej twarz emanowała chłodem. Zakomunikowała, że gra o wszystko. Wstrzymała oddech. Lubiła ryzyko.

Igor trwał jeszcze w grze, jeszcze dał sobie trochę czasu na sprawdzenie, jakie ma szanse, ale dość szybko zorientował się, że jest na straconej pozycji. Uznał, że powinien spasować. Rzucił karty, pogratulował przeciwniczce i wstał od stolika.

Bruno, zmęczony natłokiem wydarzeń mijającego dnia, z ulgą pochwalił:

– Masz dzisiaj farta, Olguniu.

– To prawda – wszedł mu w słowo Igor. – Najlepsza w skokach, najlepsza w pokera. Szczęściara!

Patrzył na koleżankę i mówił dalej:

– Jesteś kobietą do zadań specjalnych. To mnie oczywiście w ogóle nie dziwi. Chciałem tylko się upewnić. Wykazałaś, że w sytuacjach wymagających szczególnych predyspozycji jesteś najodporniejsza. Dzięki tobie szansa odnalezienia pani Bogny może znacząco wzrosnąć, a zanosi się na to, że łatwo nie będzie.

Bez zająknięcia sprostała oczekiwaniu kolegi.

– Jeżeli tak faktycznie się okaże, zawalczę. – W jej głosie nie było ani krzty wątpliwości. – Jestem otwarta na wszelkie koncepcje. Postaram się na maksa!

Igor miał zamiar zamienić jeszcze kilka słów z kolegą, ale zrezygnował, gdy usłyszał jego słowa.

– Wycofuję swoje fochy.

– Nie ma sprawy – odpowiedział i zmienił temat. – A gdzie czekolada dla zwyciężczyni?

Bruno pobiegł do kuchni i dosłownie po chwili wrócił.

– Oto zasłużona nagroda! Brawo! Jesteśmy z ciebie dumni! – Wręczył jej tabliczkę.

Olga odłożyła ją na stolik. Popatrzyła na mężczyzn. Porozumiewawczo mrugnęła i zaczęła kusić:

– Ślinka już wam cieknie, co? Przyznajcie się! Nie podzielę się, dopóki nie wyjawicie prawdy. Zamieniam się w słuch.

– Szczerze skruszony łakomczuszek przyznaje się, że koniecznie musi zaraz zjeść kawałek czekolady. – Igor pogłaskał się po brzuchu.

– Przyjmuję to przejmujące wyzwanie. – Skutecznie podkręcała nastrój. – Czekam na drugiego czekoladożercę.

– Nie mniej szczerze i nie mniej skruszony łakomczuch błaga o chociaż jedną kosteczkę! – Bruno starał się nie popsuć atmosfery.

Przez cały dzień każde usłyszane i wypowiadane przez niego zdanie kończyło się kropką do złudzenia przypominającą jego matkę. Niewiele więcej go interesowało, ale zdawał sobie sprawę, że Olga i Igor bardzo się starają. Nie mógł tego zepsuć.

– Mój żołądek zaczyna tańczyć oberka! Błagam! – dopowiedział.

Dłużej nie czekała. Rozerwała papierowe opakowanie, otworzyła folię aluminiową, przełamała czekoladę na trzy części.

– Proszę! Smacznego! – zachęciła.

W ekspresowym tempie z czekolady nie została nawet kruszyna.

– Czas na mnie. Kładźcie się. – Igor szykował się do wyjścia. Spojrzał na Brunona i z troską spytał: – Dasz radę zasnąć? – Od razu też zaczął go uspokajać: – Olga cię ukołysze. Nie martw się. Wszystko się dobrze poukłada.

Podał rękę koledze, cmoknął koleżankę w policzek. Zatrzymał się na moment przy śpiącym Pokerze, który akurat otworzył oczy i uniósł odrobinę ogon, jakby chciał pomachać na pożegnanie. Zmęczenie jednak wygrało, bo ogon prędko oklapł na materac, a pies spał w najlepsze.

Sen, mimo bagażu doświadczeń mijającego dnia, nadszedł, ledwo przyłożyli głowy do poduszek…

***

Na skraju lasu rósł gąszcz jeżynowych krzewów. Nie stanowiły większej przeszkody. Przedzierał się przez kłujące i kaleczące pędy. Odrywał je od siebie gołymi rękami. Nie odczuwał bólu, nie zauważał głębokich zadrapań i kropel krwi. Jeszcze kilka ostrych szarpnięć i wskoczył w wysoką trawę. Tak wysoką, że sięgała mu do brody. Sunął wśród trawiastych łanów. Pokonywał je ze spokojem. Miał wrażenie, że płynie. Z każdym krokiem zbliżał się do pustej przestrzeni z dębem pośrodku. Wyraźnie widział już stare, potężne drzewo, a pod nim kilkuletnią jasnowłosą dziewczynkę, która co chwilę się pochylała. Jeszcze kilka susów i dziewczynka spojrzała w jego stronę. Rozchyliła piąstki swoich rączek i uśmiechnęła się. Żołędzie posypały się na trawę. Nie zwlekał. Jeden zdecydowany ruch i już trzymał

ją w objęciach. W lesie rozległ się radosny śmiech. Śmiał się Bruno, śmiała się dziewczynka. Tubalnym dźwiękiem śmiał się dąb.

Mocno przytulił dziecko. Unieśli się ponad łany trawy. Popłynęli w leśne przestworza łagodnym lotem…

Ktoś dotknął jego ramienia i lekko potrząsnął. Z trudem otworzył oczy. Zobaczył twarz młodej kobiety. Nie rozpoznawał jej. Ponowne potrząśnięcie i dobrze mu znany głos.

Powrócił do realiów.

– Co ci się śniło? Z czego się śmiałeś? Co cię tak ubawiło? Obudziłeś mnie! – natarczywie wypytywała.

Usiadł i z tajemniczą miną wyszeptał:

– Znalazłem mamę. To była ona.

VI

Męska dłoń niezdarnie powędrowała w kierunku głowy i w okolicy prawego ucha natknęła się na daszek czapki, która zsunęła się do tego stopnia, że zasłoniła połowę twarzy. Na samym czubku nosa podrygiwały okulary. Dłoń nabrała wigoru i czapka usadowiła się szczelnie na górnej części głowy, a zauszniki okularów znalazły się na swoim miejscu.

Gdzieś z tyłu dochodził stłumiony, zmęczony oddech. Zaniepokoił się, nie w pełni świadomy, w jakich okolicznościach się znajduje. Lekka szarość, która przenikała przez otwór przypominający okienko, sugerowała, że budzi się dzień. Na zewnątrz melodyjnym świergotem odzywał się ptak. Nie był w stanie przypomnieć sobie nazwy tego śpiewaka. Głowa ciążyła, a mgliste myśli krążyły bezładnie. Zdołał usiąść i opuścić nogi na klepisko. Spojrzał w kierunku, z którego dobiegał niespokojny szmer czyjegoś oddechu. Na krześle majaczyła postać kobiety z ukrzyżowanymi rękami. Powoli odzyskiwał świadomość. Przypomniał sobie, co to za miejsce, gdzie się znajduje i kim jest ta kobieta.

Musiał się przewietrzyć, odświeżyć niegasnące tęsknoty. Wstał, poprawił czapkę, upewnił się co do okularów i nieco chwiejnym krokiem wyszedł. Leśne powietrze ocuciło go niczym poranny prysznic. Anemiczna

popielatość nieśmiało ustępowała jasności letniego świtu. Chodził dookoła szałasu, nabierał sił. W końcu przystanął przy grubym pniu sosny i oparł się o niego plecami.

– Już czas odkryć karty – mówił do siebie. – Jeszcze nie zaraz, ale na pewno dzisiaj. Nie będę dłużej bawić się w ciuciubabkę. Może wystarczająco dostała w kość… a jeśli nie, to… – mruknął pod nosem, rozglądając się, czy aby ktoś go nie słyszy.

Stał tak jeszcze przez kilkanaście minut, rozważając dalsze poczynania. Na początek postanowił wstąpić do wynajętego mieszkania. Słońce świeciło coraz odważniej, kiedy wychodził z lasu. Jeep czekał dobrze zamaskowany ciasnym szpalerem drzew. Wkrótce jechał pustą drogą. Był spokojny i pewny siebie. Dzisiaj miało się wszystko rozstrzygnąć. Wierzył, że nic mu nie przeszkodzi i nie ma sensu dłużej zwlekać. Będzie tak, jak zdecydował. Ona (wolał nie przywoływać jej imienia) jest tylko słabą, niemłodą kobietą, więc z dużym prawdopodobieństwem nie będzie w stanie dłużej się opierać.

W mieszkaniu zaparzył mocną kawę. Usiadł z kubkiem w ręku przy biurku. Z szuflady wyjął czarno-białą fotografię wykonaną przed wieloma laty. Wpatrywał się w nią długo. Zamyślił się tak dalece, że zapomniał o kawie. Dopijał ją letnią, właściwie było mu to zupełnie obojętne.

– Twoja siła to pozór! – powiedział głośno.

Roześmiał się zadowolony, bo wpadł, jak mu się zdawało, na genialny pomysł. Miał głębokie przeświadczenie, że każdą kobietę da się zmanipulować. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny i będzie mógł zrobić zakupy. Pobliskie centrum handlowe otwierano od siódmej. Uznał więc, że do tego czasu zdąży oddać się swojemu ulubionemu zajęciu. Na blacie biurka położył czystą kartkę, a z ceramicznego pojemnika pełnego długopisów wybrał jeden. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i trwał w

skupieniu. Nie miał wątpliwości, o czym należy napisać. Był jak w transie. Powtarzał półgłosem zredagowane frazy. Odłożył na moment długopis i wyciągnął nogi. Odczekał krótką chwilę, a potem dwukrotnie przeczytał tekst. Na jego twarzy malowała się satysfakcja.

Sięgnął do szafy po papierową teczkę, wyjął częściowo zapisaną kartkę. Patrzył na nią, kiwając z aprobatą głową. Włożył z powrotem. Dołożył tekst napisany tego poranka oraz czarno-białą fotografię. Znowu nienaturalnie się roześmiał przekonany, że pułapka, jaką zastawił, jest inteligentna i z pewnością okaże się skuteczna.

Wszedł do łazienki. W wiszącym nad umywalką lustrze oglądał twarz. Przesunął palcami po wąsach. Doszedł do wniosku, że nie są mu już potrzebne. Decyzja była nieodwołalna, a po kilku ruchach elektryczną maszynką zarost pozostał tylko wspomnieniem. Z zadowoleniem zerknął w lustro jeszcze raz. Zanim opuścił łazienkę, zdjął z półki wodę kolońską, ale odstawił ją na miejsce. Wycofał się z użycia zapachowej przynęty. Otrząsnął się z niesmakiem na myśl o tragikomedii. To całkowicie wystudziło jego emocje. Wyszedł z mieszkania.

Kiedy parkował przed centrum handlowym, zawahał się. Żądza posiadania jednak przeważyła. Opuszczał auto, planując zakupy. Stanął w pół drogi, ale szybko ruszył. Jedynie niedużej szerokości chodnik oddzielał go teraz od głównego wejścia do okazałego budynku. Nie mógł, nie chciał i nie zamierzał ponieść porażki. Za daleko zabrnął.

***

Ciało miała zdrętwiałe od stóp do głowy. Po całonocnej bezsenności czuła się słaba. Przywiązane do haków ręce bardzo ciążyły. Knebel ociekał śliną. Próbowała go wypluć, ale nie dawała rady. Blada, z podsinionymi i

podkrążonymi oczami oraz opuszczoną głową nie była w stanie ani płakać, ani rozmyślać nad swoim położeniem.

Poranne światło skąpo przedostawało się do wnętrza chaty. Mimo to ujawniło ponurość tego miejsca. Obskurna prycza, butelka z niewielką resztką alkoholu leżąca na surowej uklepanej ziemi oraz pajęcze sieci z czyhającymi na swe ofiary pająkami napawały obrzydzeniem.

Stawała się coraz bardziej apatyczna. Wyczerpanie tak dawało się we znaki, że zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością. Niespodziewanie usłyszała głos.

– Spójrz tylko! Jakaś szopa!

Natychmiast otworzyła oczy. Zastanawiała się, czy się przesłyszała, czy może ma omamy słuchowe.

– Chyba niedawno ktoś ją sklecił – odezwał się ten sam męski głos.

– Po co takie coś w środku lasu? – dziwiła się kobieta.

Na te słowa podniosła głowę. Czujność wzięła górę. Pojawiła się iskra nadziei. Zaczęła nerwowo oddychać. Odnosiła wrażenie, że jej serce chce wyskoczyć z piersi i wołać o ratunek. Usiłowała najpierw chrząknąć, potem mruknąć i jeszcze pisnąć, lecz głęboko wciśnięty knebel nie pozwolił wydobyć głosu. Nieznacznie poruszyła zesztywniałymi stopami. Zależało jej, żeby postukać w klepisko, ale sparaliżowanej stresem, nie starczyło siły.

– A może zajrzymy do środka?

Ktoś szarpnął klamką. Wzdrygnęła się. Drzwi nie ustąpiły. Przeszył ją dreszcz zimna, a za moment oblał strumień gorąca. Ręce, których prawie nie czuła, drgnęły. Mocno zacisnęła pięści, jakby miała zamiar trzymać kciuki za to, że się uda. Prędko zwątpiła.

– Daj spokój. – Mężczyzna się odcinał. – Może tutejszy leśnik zmontował to sobie. Nie będziemy się włamywać.

Cisza nie wróżyła niczego dobrego. Bromska przestała się łudzić, bo mężczyzna nie zmienił zdania.

– Chodź, idziemy. Tam, za polaną, znajduje się mój sekretny grzybowy raj! Będziesz pod wrażeniem – powiedział.

Łzy płynęły obficie z oczu kobiety. Bezradna i bezsilna powtarzała w myślach: niech to się wreszcie skończy… niech to się wreszcie skończy… niech to się…

***

Kopski był już od godziny na nogach. Siedział właśnie przy śniadaniu. Odkąd pamiętał, kawa zbożowa z mlekiem i tosty z dżemem truskawkowym składały się na jego posiłek o tej porze dnia. Przygotowanie śniadania nie sprawiło problemu mimo unieruchomionej lewej ręki. Sprawna prawa ręka i toster załatwiały sprawę. Oprócz tego sprawna prawa ręka oraz różne domowe przedmioty w połączeniu z determinacją pozwoliły się samodzielnie umyć i ubrać. Wydarzenia poprzedniego dnia to go ekscytowały, to wprowadzały w refleksyjny nastrój. Stres powoli przestawał dominować i nadszedł czas wyciągania wniosków. Zapatrzony na dom sąsiadki połykał kęsy tostu i odruchowo popijał je ciepłą kawą.

Wstał od stołu i podszedł do okna z widokiem na posesję Bromskiej. Teraz wszystko widział dokładniej. Skupił uwagę na samochodzie. Czerwony kabriolet czekał na właścicielkę. Ten obrazek napawał smutkiem. Zmartwiony ciężko westchnął.

Wyszedł przed dom. Nic nie zakłócało porannego spokoju. Zanosiło się na gorący dzień. Krzewy hortensji i róż obsypane były kwiatami. Nie podlewał ich wczoraj, toteż po kilku minutach wędrował między nimi z pełną konewką. Poił je strumieniem wody z piątej już konewki, gdy usłyszał nadjeżdżający samochód. Zwykła ludzka ciekawość kazała

przerwać podlewanie, żeby nie przeoczyć pojazdu. O poranku na ulicy Pięknej w Kobierzu auto było zjawiskiem sporadycznym. Samochód spacerowym tempem przejeżdżał na wprost Kopskiego, który stał jak sparaliżowany i nie wierzył w to, co widzi. Biel jeepa i żółta czapka na głowie kierowcy wprawiły go w niemałe osłupienie.

Postanowił dokończyć podlewanie, ponieważ różany krzew nie otrzymał należnej porcji wody. Potem chciał zatelefonować. Ledwo się schylił, gdy znowu najpierw usłyszał, a tuż po tym zobaczył tego samego jeepa. Wyprostował się i znieruchomiał, ale nie uciekł od emocji. Tego było za wiele. Odstawił konewkę i biegiem wrócił do domu.

Wybrał numer Gawicza, który jak zwykle zarzucił go pytaniami:

– Co u ciebie, Tytusie? Masz ochotę pogwarzyć? Wszystko w porządku? Jak się czujesz?

Chwila na głębszy oddech przyjaciela pozwoliła Kopskiemu wytłumaczyć powód, dla którego zadzwonił.

– Skup się i posłuchaj! Ogólnie rzecz ujmując, czuję się dobrze. To teraz mało ważne. Tylko mi nie przerywaj, proszę! Wyobraź sobie, że przed paroma minutami widziałem białego jeepa! Jechał sobie jakby nigdy nic moją ulicą! To się w głowie nie mieści! Aż mnie zamurowało! Bezczelnie, żeby nie powiedzieć demonstracyjnie, przejechał obok mojego i Bogny domu aż dwa razy! – mówił silnie wzburzony.

– Tytusie! – Przyjaciel zareagował niedowierzaniem. – Nie jeden biały jeep na tym świecie! Nie denerwuj się tak, jakbyś zamiast swoich ślicznych róż ujrzał pokrzywy po pas.

Kopski nie dawał jednak za wygraną i udowadniał, że ma całkowitą słuszność.

– Ależ mam w stu procentach rację! Faktycznie biały jeep to nie biały kruk, ale biały jeep z kierowcą w żółtej czapce to raczej rzadkość. Masz

racjonalny kontrargument? Wytężam słuch! Jak się zapatrujesz na moje podejrzenie? Przestałeś bagatelizować, prawda? – nie rezygnował.

Po drugiej stronie telefonu zaległo milczenie. Kopski z uczuciem zwycięzcy nie poganiał. Okazało się, że słusznie, bo usłyszał:

– To zupełnie zmienia ocenę sytuacji. Biały jeep i żółta czapka na twojej ulicy to nie zwykły przypadek. Co proponujesz?

– Nie wiem, czy dysponujesz wolnym czasem, ale gdybyśmy wybrali się w tamto miejsce w lesie, to może się nam poszczęści. Przyjedziesz po mnie? – zapytał Kopski z nadzieją.

Reakcja na tę prośbę nastąpiła, zanim zdążył cokolwiek dopowiedzieć.

– Mój drogi. – Gawicz poważnie potraktował nową informację. – Tu nie ma co się dłużej zastanawiać. Trochę się ogarnę, zjem śniadanie i ruszam do ciebie.

Sąsiad Bromskiej wzmocniony tą decyzją lekko się rozluźnił i żartobliwie zakończył:

– W takim razie niech ci się z tego pośpiechu śniadanie nie pomyli z obiadem! Mocno wierzę, że nie będę tutaj ślęczał aż do kolacji!

– Halo! Halo! Jesteś tam jeszcze? – Gawicz nie rozłączył się.

– Tak, tak. Mów, co ci leży na wątrobie. – Kopski był gotów go wysłuchać.

– Zapomniałbym o czymś. To ważne! Zresztą, gdybyś nie zatelefonował, to ja i tak bym to zrobił. Jak tylko dzisiaj wstałem, kusiło mnie, żeby wyskoczyć po gazetę. Nękało mnie i nękało. Nie potrafiłem od tego uciec, więc kupiłem nasze „Kobierzowskie Echa”. Na pierwszej stronie czerwonym drukiem, posłuchaj, czytam:

„Poszukiwany porywacz i oszust. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że więził dwie kobiety, a sześć oszukał na kwotę bliską pół miliona złotych. Prosimy poszkodowanych o zgłoszenie się na tutejszy komisariat policji.

Rysopis podejrzanego: około metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupła budowa ciała, wiek sześćdziesiąt – sześćdziesiąt pięć lat. Charakterystyczne cechy ubioru: żółta czapka z daszkiem, ciemne przeciwsłoneczne okulary, białe sportowe obuwie”.

– Nie dam rady dłużej tego słuchać! – Kopski bezpardonowo przerwał. – Włosy zjeżyły mi się na głowie! Makabra! Żarty się skończyły! To może być on! Bromska jest w strasznych opałach! Zbieraj się! Biegiem!

– Za pięć minut wyjeżdżam! – usłyszał krótką deklarację.

Chociaż był mocno roztrzęsiony, przygotował kilka kanapek z masłem orzechowym. Drżącą ręką niezdarnie owinął je papierem śniadaniowym. Starał się stłumić nadmiar trudnych emocji. Wypił szklankę chłodnej wody mineralnej, a potem zaparzył mocną kawę. Kanapki i termos powędrowały do niewielkiej torby listonoszki. Na koniec z szafy w holu wyjął lornetkę. Zastanawiał się przez moment, czy to trafiony pomysł. W dalszym ciągu podenerwowany machnął ręką i doszedł szybko do wniosku, że trudno przewidzieć. Nie da się również wykluczyć, że lornetka się przyda. Zawisła więc zaraz na szyi. Nie zwlekając, z całym tym ekwipunkiem pospiesznie opuścił dom.

***

Otulony dorodną zielenią oraz kolorowymi kępami kwiatów budynek prezentował się doskonale. Zachwycając się nim, mężczyzna przypomniał sobie, że wnętrze domu, urządzone praktycznie i gustownie, sprawiało równie przyjemne wrażenie. Samochód zaparkowany na podjeździe pasował do miłego obrazka. Pragnął się nim nacieszyć. Rozmarzonym wzrokiem ocenił swój wybór jako najlepszy z najlepszych i z szansą na satysfakcjonującą realizację. Przejechał ulicą raz i drugi. Nic nie zmąciło

jego pozytywnego nastawienia. Starsza osoba na sąsiedniej posesji w ogóle się nie liczyła.

Sielankowy obraz ulicy Pięknej powoli się zacierał, bo kierowca wjeżdżał teraz w gęstwinę drzew. Z auta musiał zabrać spory bagaż i przebyć z nim niełatwy odcinek leśnych ostępów. Pozawieszał na sobie, co tylko się dało, a resztę wziął do rąk. Przypominał juczne zwierzę. Pokonywał las, nie zważając na utrudnienia. Nie zatrzymał się ani razu. Czas uciekał, więc nie tracił go na odpoczynek. Gra, którą toczył, miała swój rytm i swoje tempo.

Gdy wszedł do szałasu, siedziała na krześle. Nic wewnątrz się nie zmieniło. Przy ścianie umieścił przytaszczone ze sobą pakunki. Wyciągnął z ust uwięzionej przemoczony śliną knebel. Odwiązał obie ręce. Opadły przy wtórze bolesnego jęku. Chwycił kobietę pod pachy i postawił.

Kiedy zbliżał się do wyjścia, usłyszał łoskot upadającego ciała. Nieprzytomna Bromska leżała na klepisku. Podszedł, przykucnął i przyjrzał się niezdrowej bladości jej twarzy oraz zsiniałym ustom. Wziął ją na ręce i wyniósł na zewnątrz. Położył w cieniu leszczyny. Stanął naprzeciw i czekał, aż dojdzie do siebie. Wkrótce otworzyła oczy. Poszedł do chaty, skąd często na nią spoglądał.

Poruszyła się i uniosła ręce. Położyła je z powrotem na trawie i, wspierając się na nich, usiłowała się podnieść. Nie dała rady. Leżała na wznak i przypatrywała się gąszczowi leszczynowych liści oraz nie całkiem dojrzałym orzechom. Dosłownie zachłystywała się świeżością lasu. Nie myślała o tym, co się stanie. Teraz towarzyszyło jej uczucie ulgi i ukojenia. Nadzieja znów się do niej przytuliła.

Mężczyzna krzątał się w chacie. Nie zakładał niespodzianek ze strony Bromskiej. Była zbyt słaba. Zerkał jednak często w kierunku leszczyny i uspokojony robił to, co zaplanował. Rozstawił nieduży turystyczny stolik, a

obok dwa krzesła. Na blacie położył jednorazowy talerz z rozmaitymi ciastkami. Rurki z budyniem, kruche babeczki z musem jabłkowym i czekoladowe makaroniki wyglądały bardzo apetycznie. Przy dwóch małych talerzykach stały duże kubki z kawą z automatu zabezpieczone przed wystygnięciem plastykowymi przykrywkami. Zamierzał zaprosić kobietę na pogawędkę przy kawie. Pamiętał, że w przeszłości przepadała za łakociami.

Bromska czuła się coraz lepiej. Leżała spokojnie. Obserwowała, co się dzieje, i czerpała siły z dobroczynnej energii lasu. Oddychała zachłannie, wspierając się wspomnieniami o rodzinie. Coś twardego zaczęło ją uwierać w plecy. Przewróciła się na bok, wysunęła przed siebie ręce, oparła o ziemię i, zaciskając usta, z bolesnym grymasem na twarzy usiadła.

Znalazł się przy kobiecie, zanim zdążyła wykonać kolejny ruch. Pomógł jej wstać. Wziął ją pod rękę i bez pośpiechu zaprowadził do chaty. Posadził na jednym z krzeseł. Sam usiadł na drugim. Otworzył obydwa kubki. Nałożył po ciastku na talerzyki i zachęcającym gestem zaprosił do poczęstunku.

Wyczuła presję i dziwaczność tych okoliczności. Ta słodka atmosfera miała podejrzany wymiar. Wstrzymywała się z nadmiernie nerwowymi odruchami. Doskwierały jej zmęczenie i głód, a przed nią leżał ratunek. Postanowiła skorzystać. Z apetytem zjadła jedno, a potem następne ciastko. Nieznajomy poprzestał na pierwszym.

Uzbroił się w cierpliwość. Na razie działo się tak, jak oczekiwał. Trzecie ciastko na talerzyku kobiety tym bardziej przywoływało poczucie komfortu. Wychodził bowiem z założenia, że liczba zjedzonych ciastek przełoży się na uległość Bromskiej.

Nadszedł czas na następny krok. Z tekturowej teczki wyjął starą fotografię i położył przed kobietą. Wyraz jej twarzy zmienił się nie do

poznania. Jeszcze przed chwilą kredowo blada, oblała się purpurowym rumieńcem. Przygryzła wargi i wytrzeszczyła oczy. Długo patrzyła na fotograficzną niespodziankę, aż wreszcie wzięła zdjęcie do ręki, odwróciła i znalazła to, czego się spodziewała. Do czterech narożników przywierały plamy zeschniętego kleju. Odłożyła zdjęcie bez komentarza.

Zamierzał stopniować poziom emocji. Siedział z nogą założoną na nogę i popijał kawę. Z miną upozowaną na skromną, ale zadziorną, patrzył kobiecie prosto w oczy. Przyszedł czas na następny akt jego, jak mu się zdawało, wyrafinowanej gry, toteż miejsce fotografii zajęła kartka. Zadowolenie z minuty na minutę rosło, bo choć tekst był krótki, zaobserwował, że przeczytała go kilkakrotnie. Nie miał wątpliwości, że łapczywie pochłaniała wierszowane wyznanie. Z rozmarzeniem powtarzał świeżo napisany wiersz. Doskonale go pamiętał. Trwał w poetyckim uniesieniu, ledwo słyszalnie szepcząc:

– Twoje oczy
moimi czerpałem.
Twoje usta
przytulałem zachłannie.
Twoje słowa
pieściłem pocałunkami.
Twój uśmiech…
Był…
Czy powróci?

Nakręcał się, ale skutecznie kontrolował zachowanie. Starał się być powściągliwy. Przede wszystkim oczekiwał wylewnej reakcji. Niestety, na próżno. Liczył na kobiecą wrażliwość. Szybko przekonał się, że tkwił w

błędzie. Bromska najpierw skupiła się wyłącznie na kartce leżącej na stoliku. Potem, ku zdumieniu mężczyzny, ostentacyjnie sięgnęła po rurkę z budyniem i wyglądało na to, że je ją z apetytem. Chwyciła kubek i małymi łykami delektowała się kawą.

Nie tak to sobie wyobrażał. Miał nadzieję na przełom, który ułatwi kontynuowanie planu. Na tym etapie nie uzyskał żadnego postępu. Gorączkowo szukał pomysłu na pokonanie blokady i uświadomił sobie, że tylko metoda wstrząsowa może złamać upór. Kobieta wykazywała zadziwiającą odporność. Tę przeszkodę zamierzał pokonać.

Zsunął żółtą czapkę głęboko na swoje czoło. Podrapał się w tył głowy i, trzymając za daszek, przesunął ją na właściwe miejsce. Obojętnie rozejrzał się dookoła. Energicznie zatarł dłonie. Kamień spadł mu z serca, bo wiedział już, co zrobić. Chytry uśmieszek wykrzywił mu usta. Mógłby pójść o zakład, że tę żelazną siłę charakteru za chwilę zacznie zżerać rdza i że nie wytrwa ona w obojętności. Wyjął z kieszeni telefon, wybrał numer i oczekiwał na połączenie.

A Bromska przeżywała katusze. Najpierw zdjęcie wyrwane z albumu. Była przekonana, że tej właśnie fotografii brakuje w rodzinnym albumie. Emocje wystawiały jej wytrzymałość na próbę. Nerwowo zastanawiała się, dlaczego ten kadr sprzed wielu lat ma znaczenie. Rzeczywiście darzyła go sentymentem ze względu na okoliczności, w jakich był wykonany. Teraz jednak i przywołał dobre wspomnienia, i wzbudził falę podejrzeń. Na dodatek wiersz. Czuła ogromną frustrację, chociaż z poezją żyła w przyjaźni. Nie była w stanie rozstrzygnąć, czy potraktować go jak podstęp, ironię, prośbę o pomoc, czy może ostrzeżenie. Miała pewność nienormalności sytuacji i nie zamierzała okazać choćby minimum zaufania temu dziwnemu człowiekowi.

Siedziała przy stoliku, udając, że to, co zobaczyła, nie zrobiło na niej wrażenia. Nie chciała okazywać uczuć, które ze sporym prawdopodobieństwem mogły być zrozumiane jako słabość. Nie wolno było na to pozwolić. Uznała, że postępowanie z rezerwą może zapewnić bezpieczeństwo. Powróciła do swojej pierwotnej decyzji. Nie ma takiej siły, żeby się poddała.

Zapatrzona w kubek, który cały czas trzymała w ręce, wydawała się w ogóle niezainteresowana obecnością mężczyzny. Flegmatycznym ruchem przyłożyła kubek do ust i w momencie, gdy przełykała ostatnie krople kawy, o mało co zakrztusiłaby się. W telefonie usłyszała głos Brunona. Rozpoznała go natychmiast. Jej syn niezbyt uprzejmie mówił:

– Halo! Halo! Kto dzwoni? Co to ma znaczyć? Halo! Co to za wygłupy? Komu brakuje odwagi się odezwać? Halo! Nie będę dłużej czekać…! Goń się, wariacie!

Zapanowała kompletna cisza, ale telefon jak przyklejony dalej tkwił przy uchu kobiety. Odwzajemniła się z furią, bo w ułamku sekundy, zanim mężczyzna zdążył cofnąć rękę, jak w amoku z wściekłością pochwyciła zębami kawałek jego dłoni. Poczuła przykry smak krwi, ale nie puszczała. Zacisnęła zęby z całej siły. Złapał ją za włosy i silnie potrząsnął. Otworzyła usta.

To nie był krzyk, a przeraźliwe wycie. Zgiął się w pół, machał ręką, rozpryskując krew. Sycząc z bólu, podnosił ją i opuszczał. Klepisko prędko zaczęło połyskiwać czerwonymi krwistymi kropkami.

Asekuracyjnie nie ruszała się od stolika. Zdawała sobie sprawę, jak ryzykownie nadwątlone i niepewne stało się jej położenie. Metaliczny posmak w ustach budził odrazę. Przyprawiał o mdłości. Musiała się go pozbyć. Kiedy zaczęła wypluwać krwistą ślinę, mężczyzna rzucił się w jej kierunku i pchnął ją na pryczę. Spocony oraz wewnętrznie oszalały z bólu i

złości bezpardonowo ją skrępował. Mokry jeszcze knebel utkwił ponownie w ustach uwięzionej.

Dopiero teraz obejrzał ranę. Duży strzęp odgryzionego ciała w okolicy prawego kciuka wisiał na kawałku skóry. Rozejrzał się po wnętrzu szałasu. Wzrok zatrzymał na walającej się pod ścianą uszarganej sukni. Nie miał wyboru, dlatego wyszukał najmniej brudny fragment i oddarł dość długi pasek. Z nadzieją zerknął na butelkę. Podniósł ją i odetchnął z ulgą. Na dnie, co prawda w szczątkowej ilości, znajdował się alkohol. Skrapiał ranę do ostatniej kropli, wydając przy tym dźwięki przypominające piskliwy syk. Z trudem owinął rękę. Pomagając sobie zębami, uporał się ze związaniem końców szmacianego bandaża. Adrenalina pracowała na jego korzyść. Z satysfakcją, ze względu na warunki, ocenił zabezpieczenie rany.

Wyszedł na zewnątrz i zamknął drzwi do chaty na klucz. Zdegustowany tym, co się wydarzyło, pocieszał się, że i tak pokazał swoją władzę. Przecież to on doprowadził ją do bezsilności. Leży przywiązana do pryczy, zamknięta w chacie i nie jest w stanie nic uczynić. Za to on decyduje o wszystkim. Wszystko zależy wyłącznie od niego. Jej życie również.

Odetchnął głęboko. Powoli wychodził z traumy. Las działał regenerująco. Nie oddalał się od chaty. Spacerował w pobliżu i rozważał dalsze posunięcia. Stanął przy kępie paproci. Zamyślił się, pokręcił przecząco głową i powiedział:

– Nie zrezygnuję. Nie ma mowy! Zapomnij o tym!

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, obejrzał się na chatę i wyciągnął przed siebie lewą rękę zaciśniętą w pięść. Powróciła siła i wiara. Nawet zraniona dłoń przestała doskwierać.

Zbliżał się do polany otoczonej urokliwym szpalerem różnorodnych drzew, krzewów i paproci. Błogi, leśny spokój przerwało krakanie przelatujących nad polaną dużych czarnych ptaków. Coś tajemniczego było

w tej parze kruków. Nie odrywał od nich oczu, ale tuż za pierwszymi leciały kolejne trzy. Krakały tak głośno, jakby zapowiadały same katastrofy. Brzmiały i wyglądały złowieszczo. Nie wierzył w przesądy, ale ten widok nie napawał go optymizmem. Kruki to kruki. Niech żyją swoim życiem, a on swoim. Zawrócił, zamierzając rozpracować do końca Bromską.

Miał do chaty już jedynie kilka metrów, gdy najpierw zaniepokoił go odgłos czyichś kroków, a po chwili rozmowa kobiety i mężczyzny. Nie odważył się pójść dalej. Stanął.

Naraz zza pobliskiej sosny wyłoniły się dwie postacie. Niosły kosze pełne grzybów. Nie miał chwili do stracenia. Szybko wycofał się i ukrył za leszczynami. Znajdował się w bezpiecznej odległości. Przez szczeliny między gałęziami widział, co się dzieje. Zamarł, gdy usłyszał:

– Słuchaj. – Kobieta zwróciła się do mężczyzny. – Cały czas niepokoi mnie ta szopa. Jej tu być nie powinno.

– A mnie to mało interesuje, ale zgadzam się, że to trochę dziwne. W środku lasu raczej nie stawia się takich przybytków. – Mówiąc to, mężczyzna podszedł do chaty.

Poklepał ręką surowe drewno. Przyłożył ucho i odczekał krótką chwilę. Kobieta pokazała na górną część ściany.

– Spójrz, wygląda jak okienko. Może udałoby się tam zajrzeć. Jak sądzisz? – Przez moment milczała, ale prędko zaproponowała: – Gdybyś mnie podniósł, to…

Mężczyzna nie zainteresował się tym pomysłem. Lekceważąco machnął ręką. Sięgnął po swój koszyk, dając do zrozumienia, że ma inne zdanie.

– Agatko, nie zgadzam się! Co chcesz zobaczyć? Kłusowników? Nigdy by w ten sposób nie postąpili. Oni czynią zło podstępnymi, ukrytymi sposobami. A tu mamy prawie wszystko jak na dłoni!

– Pewnie masz rację. – Kobieta powoli się dystansowała. – Tyle tylko, że „prawie” pozostawia wiele domysłom – dodała, złapała za klamkę i spróbowała otworzyć drzwi.

– Agato! – Mężczyzna wyraźnie się niecierpliwił. – Proszę! Już przerabialiśmy dzisiaj temat tej szopy!

– Uważam, że zbyt pobieżnie. – nie dawała jeszcze za wygraną.

Nie kontynuował rozmowy. Z koszykiem w ręku oddalał się od chaty. Chwilę później szedł w towarzystwie kobiety.

Mocno wystraszony wyszedł, gdy zapanowała idealna cisza. Odczekał jeszcze, chowając się za rozłożystym świerkiem. Zawsze uważał, że las to mnóstwo ustronnych zakamarków. Przekonał się jednak, że takie miejsca mogą stać się dostępne dla nieproszonych gości. Ta dodatkowa komplikacja podpowiadała, że czas zakończyć zabawę w podchody. Dotkliwy ból dłoni robił się nieznośny. Na szmacianym opatrunku czerwienił się spory zaciek. Dalsze zwlekanie stwarzało zbyt duże ryzyko.

***

Nie roztkliwiała się nad sobą. Pochłonęła ją wewnętrzna walka ze wspomnieniami z przeszłości. Nie dość, że zaskoczył ją licealną fotografią, to wiersz stanowił dodatkową zagadkę. Intuicja podpowiadała, że jest blisko rozwiązania tej tajemnicy. Cofnęła się pamięcią do czasu, kiedy uczęszczała do liceum. Minęły lata i nie wszystko pamiętała. Jakieś mgliste wspomnienia, a wśród nich mało precyzyjnie usytuowane okoliczności i postaci. Z oczywistych względów trafiała na przeszkody. Upływ czasu zrobił swoje i nie dziwiła się temu, choć… Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Nagła, bardziej realistyczna migawka z przeszłości podpowiadała, w czym może tkwić problem. A gdy dołożyć do tego wiersz, całość tworzyła

całkiem sensowne, ale trudne do uwierzenia wyjaśnienie. Jeszcze raz potrząsnęła głową, wątpiąc w to, co jej przyszło na myśl.

Natrętnie powracała do niej myśl o mężczyźnie w żółtej czapce i przeciwsłonecznych okularach. Nie było go teraz przy niej, ale wszędzie go widziała. Zamknęła oczy, a mimo to nie zniknął. Przypomniała sobie, że nastąpiła zmiana w jego zachowaniu i kto wie, czy nie w wyglądzie. Okoliczności rozwijały się w tak nieprzewidywalny sposób, że nie umiała określić tej różnicy. Dzięki dużej spostrzegawczości zazwyczaj zapamiętywała nawet drobne szczegóły, teraz jednak wysiłek ich przywołania spełzł na niczym. Zaczęła zastanawiać się, czego może się spodziewać. Niepewność zdominowała myśli. Nie trwało to długo, ponieważ z zewnątrz dobiegły ją głosy, które słyszała wcześniej. Ci sami ludzie znowu skoncentrowali swoją uwagę na szałasie. Leżała jak kłoda, gdy podjęli próbę otwarcia drzwi. Chciała, żeby spokojnie odeszli. Od siły jej psychiki mogło zależeć ich bezpieczeństwo.

Leśna cisza ukoiła Bromską. Ogarnęła ją senność. Zapadła w płytką drzemkę. Nie mogła przewidzieć, że powróci do rzeczywistości, na nowo witając się z nadzieją. Otworzyła oczy i wytężyła słuch. Gdzieś w oddali dało się słyszeć znajomy dźwięk. Kojarzyła go z warkotem lecącego samolotu. Odkąd Bruno został skoczkiem spadochronowym, kibicowała lotnictwu. Lubiła zaglądać do kobierzowskiego aeroklubu. Mogłaby pójść o zakład, że nadlatywał samolot. Głośny, charakterystyczny dźwięk silnika z maksymalną mocą rozbrzmiewał krótko nad szałasem. Pytania, które sobie zadawała, mnożyły się jedno za drugim: Czy była to aeroklubowa maszyna? Czy leciał nią Bruno? Czy trwają poszukiwania? Czy nadchodzi ratunek? Nie zamierzała wymyślać innych powodów. Żyła nadzieją.

Drzwi szałasu otworzyły się, a do środka wszedł mężczyzna… bez żółtej czapki i dużych przeciwsłonecznych okularów.

VII

Włosy zaczesane do tyłu, lekko szronkowate i półdługie, związane miał w kitkę. Twarz z dużymi brązowymi oczami i gęstymi, regularnie zarysowanymi brwiami na pierwszy rzut oka sprawiała sympatyczne wrażenie. Brakowało wąsów nad wydatnymi ustami. To był ten szczegół, którego nie umiała ustalić. Choć lata zrobiły swoje, z łatwością wytypowała kolegę licealistę z kitką i dobrymi oczami. Pamiętała go jako miłego chłopaka. Tożsamość mężczyzny szokowała. Nie od razu pogodziła się z faktem, że uwięził ją dawny znajomy. Kilkukrotnie spoglądała na jego dłonie i szybko przestała mieć złudzenia. Przybrudzony, przesiąknięty krwią opatrunek dowodził, że to nikt inny. Siłą woli walczyła ze stresem. Kilka głębokich oddechów przyniosło ulgę i pozwoliło zapanować nad sobą.

Obserwowała, jak mężczyzna zamyka od wewnątrz drzwi na klucz, jak ze stolika zdejmuje wszystko oprócz tekturowej teczki. Wyzywająco patrzyła mu w oczy, gdy podchodził do pryczy i uwalniał ją z więzów, a potem gdy sadzał na jednym krześle, a sam zajmował drugie.

Odezwał się pierwszy.

– Czy jesteś zaskoczona, Bogno? Myślę, że mnie rozpoznałaś. Porozmawiajmy.

Nie miała ochoty na żadną rozmowę. Czuła głęboką urazę, ale rozsądek przeważył.

Gra się toczyła, więc należało, dopóki się da, trzymać nerwy na wodzy. Zaczęła całkiem swobodnie.

– Jakie miłe spotkanie, Piotrze. Po prostu wymarzone. Oto przede mną Piotr Bird. O niczym innym po tylu latach nie mogłabym marzyć.

Uśmiechnęła się z lekkim przekąsem, lecz nie kończyła.

– Chciałabym powiedzieć, że się cieszę, bo dawno się nie widzieliśmy, ale to nie byłaby prawda. Natknęliśmy się przecież na siebie w księgarni. Myślałam, że to przypadek, ale teraz jestem pewna, że było inaczej. Nie rozmawialiśmy wtedy jak starzy przyjaciele. Atakowałeś mnie, a ja nie rozumiałam, o co ci chodzi. Wytłumacz mi, jaki masz problem. Co zamierzasz? Skąd się w ogóle tutaj wziąłeś? Jeżeli dobrze pamiętam, mieszkasz daleko stąd. Powiedz, co cię sprowadza?

Zamilkła. Poprawiła się na krześle. Niedbale wyciągnęła przed siebie nogi… Nic więcej nie mogła zrobić. Usłyszała głos Birda.

– W księgarni rzeczywiście powinienem był zachować spokój. Nic na to nie poradzę. Tak wyszło. Powspominajmy. Na tym właśnie mi zależy. Pamiętasz, jak było nam ze sobą dobrze?

To pytanie mocno zniesmaczyło Bromską. Natychmiast zareagowała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Niczego nie insynuuj! Faktycznie naszą licealną koleżeńską relację cechowały pozytywne więzi. Istniała między nami nić porozumienia. Tyle i tylko tyle!

Nie rezygnował. Uśmiechał się przymilnie.

– A nasze spotkania po zajęciach? Zapomniałaś, ile dla nas znaczyły?

– Pamiętam je, owszem. Masz rację, były nietuzinkowe. To jednak wcale nie znaczy, że łączyło nas coś więcej niż młodzieńcze pasje. Sądzę,

że nawiązujesz do naszych poetyckich spotkań. – Bromska przywołała fakty sprzed lat.

Niespokojnie się poruszył, chrząknął, strzepnął ze spodni pyłek, którego tam nie było, i opanowanym głosem odpowiedział:

– Wydaje mi się, że masz wybiórczą pamięć. Nie chodziło tylko o wiersze. Dawałaś mi do zrozumienia, że liczysz na więcej. A poza tym wiesz, to bardzo intrygujące, że tutaj, w tym miejscu, popisałaś się talentem recytatorskim. Zaimponowałaś mi. Moja ballada o motylach w twoich ustach to prawdziwy rarytas. Dlaczego ją jeszcze pamiętasz? Bo taka wyjątkowa? Czy może dlatego, że twoje uczucia do mnie są wciąż aktualne?

Na odpowiedź musiał poczekać. Nie mogła wykpić wynurzeń Birda, ponieważ rezultaty mogły się okazać fatalne. Każde słowo miało niebagatelne znaczenie. Zaczęła poważnym tonem.

– Piotrze, wysłuchaj mnie. Zawsze byłam i nadal jestem miłośniczką literatury, a poezję uwielbiam. Jak potrafiłam, tak wspierałam cię w poetyckiej przygodzie. Wtedy sądziłam, że to przygoda. Wiem, że wydałeś tomik poezji. Wiersz, który dzisiaj dałeś mi do przeczytania, potwierdza twoje zdolności. Życzę ci sukcesów. To prawda, że ballada o motylach żyje we mnie. Powinieneś wiedzieć, z jakiego powodu. Troska o świat przyrody jest dla mnie priorytetem. Znam cię jako wrażliwego chłopaka. Nie wierzę, żebyś się tak bardzo zmienił. Pozwolisz, że przypomnę ci końcowy fragment twojej mądrej ballady?

Nie przeciwstawił się tej propozycji. Z uwagą słuchał koleżanki. A ona znowu, patrząc mu w oczy, mówiła:

– Gdzie ten dom na przedmieściach,
trudno wytłumaczyć,

ale warto park lub ogród
tam zobaczyć.
Na pachnących kwiatach
ujrzysz piękne motyle.
Podziwiaj je,
póki jeszcze jest ich tyle!

Wysłuchał uważnie, ale nie interesowała go rozmowa na ten temat. Wyjął z teczki fotografię i położył przed licealną koleżanką.

– Po co to robisz? – zapytała. – Ta fotografia jest sentymentalną pamiątką i powinna powrócić tam, skąd ją wziąłeś. Do mojego rodzinnego albumu. Czemu to ma służyć? Co mi sugerujesz?

– Niewiele – odparł. – Ale zobacz, kto stoi obok ciebie. Przypominasz sobie nazwisko? To przecież szmat czasu!

Ociągała się. Czuła, że mężczyzna osacza ją emocjonalnymi sidłami. Nie chciała tego. Kierowała się głównie instynktem przetrwania, a ten podpowiadał, że należy wykorzystać każdą szansę, żeby bezpiecznie dotrwać do uwolnienia. Nieodparcie w to wierzyła.

– Po mojej lewej stronie, Piotrze – zwróciła się do Birda – przecież to ty! Dlaczego pytasz? A widzisz, kto znajduje się po mojej prawej? Domyślam się, że niekoniecznie będziesz chciał sobie przypomnieć. Słuchaj więc i zapamiętaj, że to Marek Bromski. Na pewno wiesz, że Marek jest moim mężem i, choćbyś zaklinał rzeczywistość, nie zmienisz tego! To mój mąż!

Reakcja mężczyzny była do tego stopnia żenująca, że Bromska siedziała niebywale skonsternowana. Było jej ogromnie przykro. Śmiał się do rozpuku, w kółko powtarzając:

– Mój mąż… mój mąż… mój mąż… mój mąż… – krztusił się histerycznym śmiechem i kontynuował: – mój… mój… mój… mój!

Niewiele brakowało, a by się rozpłakała. Choć nigdy dotąd nie doznała uczucia nienawiści, to w tej sytuacji zapałała najszczerszą do tego, który urządził sobie zabawę z jej życia. Nie wytrzymała, podniosła się z krzesła, pochyliła nad nim i krzyknęła:

– Zamknij się, i to już! Natychmiast przestań! Jesteś zwyczajnym zwyrodnialcem! I żebyś raz na zawsze zakodował sobie, że Marek był moim mężem, jest nim i nigdy, przenigdy to się nie zmieni! Powtarzam jeszcze raz: milcz!

Nerwowy chichot rozlegał się jeszcze w chacie, ale z sekundy na sekundę słabł, aż zupełnie ustał.

Z satysfakcją spoglądała na mężczyznę. Taki chojrak, a nie potrafił odeprzeć ataku. Skulił się na krześle i łypał w jej kierunku.

Krótko cieszyła się przewagą, bo role się odwróciły. To właśnie Bird schylał się teraz nad nią i zaczepnie pytał:

– No to gdzie masz tego swojego Mareczka? Ptaszki ćwierkały, że na jednej z chmurek robi ci codziennie „pa, pa”! A może tym ptaszkom coś się pokręciło? No… nie bądź taką bohaterką i nie rób ze mnie frajera! Twój mężuś ma teraz dużo wolnego czasu, jak to się potocznie mówi, na tamtym świecie.

Nie dawała się dłużej prowokować. Czekała na rozwiązanie zagadki dotyczącej powodu jej przetrzymywania. Czuła, że ten moment się zbliża. Najpierw przebłysk wspomnień o mężu utrwalił ją w przekonaniu, że musi być silna, a później znowu przywołała jego życiowe motto. Nie poddawaj się! Walcz! – powtarzała w myślach. W taki sposób wzmacniała swoją motywację. Skutecznie i tym razem. Poza tym przeczuwała, że tajemnica wkrótce przestanie ją ograniczać, bo wszystko okaże się jasne.

Patrząc gdzieś w przeszłość i stukając palcami o blat stolika, robiła wrażenie, że cokolwiek Bird zrobi czy powie, przyjmie to z obojętnością.

Prędko przekonała się, jak bardzo się myliła. Mężczyzna bez słowa wyjaśnienia położył przed nią kartkę z wydrukowanym tekstem. Połykała oczami wyraz po wyrazie i była coraz bardziej wstrząśnięta. Miała przed sobą rozwiązanie zagadki. Czytała:

„Decyzja o darowiźnie

Ja, Bogna Bromska, przekazuję aktem darowizny działkę wraz z położonym na niej domem w Kobierzu przy ulicy Pięknej Piotrowi Birdowi legitymującemu się…”.

Litery na kartce zaczęły wirować, tańczyć, skakać, biegać, aż w końcu pouciekały. Doznała szoku. Jak w obłędzie darła kartkę. Zaciekle z początku rozrywała na większe kawałki, żeby później rozdrobić je na miniaturowe strzępki. Potem zgarnęła je ze stolika i rozrzuciła z dużym rozmachem po wnętrzu szałasu.

– Ty draniu! – krzyczała. – Nigdy! Wybij to sobie z głowy! Jak śmiesz! Przebrałeś miarkę!

Z dystansem obserwował wzburzoną kobietę. Nie był zaskoczony. Właściwie tego się spodziewał. Chwycił ją za rękę i silnym ruchem posadził na krześle. Bez cienia skrępowania wyjął z teczki kartkę. Był przygotowany na taką ewentualność. Znowu przed sobą miała tę samą ofertę. Obok leżał długopis.

Rozsiadł się wygodnie na krześle i trwał w oczekiwaniu. Nie miał zamiaru przegrać. Uzbroił się w cierpliwość. Postanowił nie naciskać zbyt mocno. Dał jej trochę czasu na pozbierane myśli.

Siedziała jak głaz, mimo że aż kipiała ze złości. Nie miała pojęcia, co się może wydarzyć. Zaparła się w sobie, nie zamierzając kiwnąć palcem.

– Dobrze, Bogno, miejmy to za sobą. – Kobieta usłyszała podejrzanie uprzejmą zachętę. – A teraz grzecznie się podpisz. Pomyśl, czy to nie jest świetny pomysł, żebyśmy zamieszkali razem. Bardzo podoba mi się twój dom. Jest tylko jeden warunek. Dom ma należeć do mnie. Sama się przekonasz, że jeżeli się postaramy, będzie nam ze sobą dobrze.

Nie wierzyła w to, co słyszy. Poznała powód, dla którego mężczyzna siedzący naprzeciw nie zrobił jej dotąd poważniejszej krzywdy. Ta przyczyna stanowiła szansę, która będzie istniała tak długo, dopóki nic nie podpisze.

Ze wstrętem spojrzała na Birda. Zlekceważyła jego żądanie. Nie bała się.

– Jak wiesz – zaczęła łagodnie – to dom mój, mojego męża i syna. Tak było, tak jest i tak będzie. Przykro mi, ale nie mogę spełnić twojej prośby. Bez względu na to, co jeszcze wymyślisz, nie zmienię zdania. A teraz zastanów się, w jaki sposób z tego, co wykombinowałeś, wybrnąć.

– Nic z tego. – Wziął długopis do ręki. – Widzisz ten długopis? Podpiszesz się nim. Nie ma innej opcji. Jeśli nawet nie teraz, to i tak to zrobisz. Dopóki tego nie uczynisz, będziesz zamknięta. Nie zwlekaj za długo, bo znajdę inny sposób, żeby cię przekonać.

Przez chwilę potrzymał długopis w górze, przesunął nim przed oczami kobiety, kilka razy pstryknął i odłożył na kartkę. Potem, patrząc na nią, wykonał ręką w powietrzu zygzak, który można było zrozumieć tylko w jeden sposób: „podpisz”.

Nie zamierzała dłużej w tym uczestniczyć. Wstała, odsunęła krzesło. Usiadła na brzegu pryczy, a potem się położyła. Odwróciła głowę. Miała dosyć widoku tego złego człowieka. Była gotowa na spętanie. Zamknęła oczy, przestała się denerwować. Walka się nie skończyła. To pewne, że się nie podda.

Spoglądał to na zwój sznura, to na dawną koleżankę. Mógł zaprzepaścić swoje starania. Musiał znaleźć inne wyjście. Przybrał pozę wyluzowanego. Niedbale rozstawione nogi i opuszczone ręce, które kołysały się lekko od czasu do czasu, miały informować, że ma to gdzieś. Tak jednak nie było. Usilnie poszukiwał rozwiązania bez użycia drastycznej metody tak długo, jak się da, do oczekiwanego finału. I nagle jakby doznał olśnienia. W ferworze zaistniałych okoliczności zapomniał o czymś, co ze sobą przywiózł. Dziecinnie proste, a może okazać się strzałem w dziesiątkę!

Podszedł do torby opartej o ścianę i wyciągnął metalowy kubek. Wrócił do stolika. Postawił kubek na środku.

– Mam propozycję – zwrócił się do kobiety. – Usiądź przy stoliku i zobacz, co się tu znajduje. – Postukał palcem w naczynie. – Powinnaś to szybko skojarzyć z naszymi miłymi spotkaniami. Chodź, chodź! Czeka cię prawdziwa niespodzianka. Chciałem sprawić ci przyjemność.

Podniosła się, chociaż wietrzyła podstęp. Kubek, zwykły przedmiot, nic szczególnie przyjemnego nie przypominał. Gdy zajęła miejsce przy stoliku, a Bird potrząsnął kubkiem, zaczęła pojmować, co miał na myśli. Z wnętrza kubka dochodziło znajome stukanie.

– Chyba już jesteś w domu? Co? – dopytywał. – Nasza ulubiona gra w kości.

Zachowywała się powściągliwie. Nie odpowiedziała od razu. Wyciągnęła rękę po kubek. Otworzyła wieczko. Zobaczyła sześć kostek z oczkami. Tak, miał rację. To była sama przyjemność. Z tęsknotą przypomniała sobie, że ten, kto przegrał, stawiał lody. Biegli więc do najbliższej lodziarni. Zazwyczaj nie kończyli na jednej porcji. Kieszonkowe pozwalały objadać się lodami do woli.

– O co chcesz zagrać? Będziemy się bawić jak dawniej? Czy może stawka jest dużo poważniejsza? – dociekała, zdając sobie sprawę, że nie o

zabawę tutaj chodzi.

– Pobawmy się tak po prostu, a przy okazji zagrajmy o twój dom. Zobaczymy, komu los będzie sprzyjał. Mamy takie same szanse – przekonywał.

Zdołała odszukać w pamięci szczegóły tych licealnych igraszek. Sprawiały im dużo radości. Śmiechu i przekomarzań zawsze było co niemiara. Stało się rutyną, że najczęściej wygrywał Piotr. Wtedy to nie miało znaczenia. Teraz dla niej gra z licealnym kolegą stanowiła ryzyko, a dla niego to ostatnia deska ratunku. Tak mogło się zadziać, ale nie musiało. Pomyślała, że to zwyczajny naiwniak. Nawet jeżeli wygra, to i tak nic mu to nie da, bo nie istnieje siła, która zmusi ją do podpisania aktu darowizny.

– Dobrze – zgodziła się.

Zapanowała cisza. Z minami wytrwałych graczy szykowali się do kościanej batalii.

Niespodziewanie usłyszeli nad sobą warkot lecącego samolotu. Spojrzeli jednocześnie do góry. Bromska natychmiast odwróciła uwagę mężczyzny.

– To na co czekasz? Po ile rzutów? – uściślała reguły.

– Wystarczy po pięć. Kto będzie zapisywał liczbę punktów? – doprecyzowywał.

– Wszystko jedno. Przecież nikt tu nikogo nie oszuka. Będziemy patrzeć sobie na ręce. Ty zapisuj – nie targowała się.

Zdecydowała, że zagra, i nic poza tym. Gdyby mogła, powiedziałaby, że ma to w nosie. Samolot znowu zwiastował nadzieję.

Atmosfera gęstniała. Bromska borykała się z niepewnością jutra, a Bird ugrzązł w żądzy posiadania. Każde z nich było więc na swój sposób zdeterminowane, aby osiągnąć cel.

Zawartość kubka pierwsza wyrzuciła Bromska. Kostki rozpierzchły się po całym stoliku. Odczytała liczby oczek: 1, 1, 2, 6, 4, 1.

Zapisał, podliczył i oznajmił:

– Masz piętnaście.

Pierwszy rzut Birda zaowocował większą liczbą punktów. Bromska odczytała:

– 2, 3, 4, 1, 2, 5.

Zanotował, podsumował i poinformował:

– Dla mnie siedemnaście.

Drugi rzut przyniósł kobiecie poprawę sytuacji dzięki punktom: 3, 3, 4, 3, 2, 4.

Bird pochwalił:

– No, no, szczęśliwa dziewiętnastka!

Gdy skorzystał ze swojej kolejki, jego punktacja również uległa poprawie dzięki: 6, 2, 4, 1, 5, 2, które skrupulatnie zliczył i otrzymał dwadzieścia.

Po trzecim rzucie emocje narastały. Bromska zyskała 4,4,1,4,3,2, które powiększyły jej stan posiadania o osiemnaście. Rywal kobiety zdobył dwadzieścia cztery punkty, ponieważ wyrzucił: 5,4,5,5,3,2.

Czwarte podejście nie dawało przewagi Bromskiej, gdyż kostki pokazywały: 6, 5, 1, 1, 3, 4. Z zadowoleniem powiedział:

– Dla pani całe dwadzieścia punktów.

Sam uzyskał korzystny wynik. Zsumował 4, 4, 4, 4, 3, 6 i uśmiechnął się, bo dwadzieścia pięć punktów zapewniało mu przewagę.

Ostatnia runda miała zdecydować o zwycięzcy. Wyrzuciła kostki z wypiekami na twarzy. W kilka sekund rumieńce stały się ogniste, ponieważ

zobaczyła: 6, 6, 5, 6, 6, 5 i usłyszała z ust wyraźnie spochmurniałego rywala:

– Zdobyłaś trzydzieści cztery punkty.

W dużym napięciu po raz ostatni wstrząsnął kubkiem. Liczył na łut szczęścia, ale kiedy kostki znieruchomiały, stracił rezon. Odczytał liczbę oczek: 3, 2, 3, 2, 4, 2. Suma wyniosła szesnaście i nie napawała optymizmem. Przeczuwał porażkę, chociaż łudził się, że szansa nadal istnieje. Należało jeszcze podliczyć wszystkie zdobyte punkty. Zrobili to wspólnie. Kobieta z trudem opanowywała emocje, a mężczyzna był u kresu wytrzymałości. Nie akceptował wygranej kobiety, a ona siedziała przy stoliku potulnie, nie podnosząc głowy. Wynik: dla niej 106 punktów, a dla Birda 102, zapowiadał poważniejsze opały. Nie zależało jej na wygranej, ale to ona otrzymała wsparcie od losu. Teraz też na takie liczyła.

Stanął obok i ostro nakazał:

– Wstawaj! Już!

W rękach trzymał sznur.

VIII

Bruno nie mógł spać. Kręcił się, przewracał, było mu niewygodnie, stale coś mu przeszkadzało. Wreszcie usnął, ale obudził go dokuczliwy ciężar na klatce piersiowej. Prędko zorientował się, w czym problem. Kiedy otrzymał silne uderzenie w brodę, pochwycił piętę, delikatnie uniósł i nie puszczał. Od razu ucisk na piersiach ustąpił.

W sypialni było już widno. Ścienny zegar pokazywał dziesięć minut po godzinie piątej. Zamierzał wydostać się spod Olgi, nie budząc jej. Odchylił kołdrę. Kobiecą nagość przywitał niezmiennie zafascynowany. Parkiet zastukał znajomo. Poker zbliżał się do łóżka. Miał taki zwyczaj, że pierwszy poranny sypialniany odgłos stawiał go na nogi.

– O nie! Nie będziesz podglądał! – szepnął psu przekornie.

Ręką zasłonił Pokerowi oczy, zszedł ostrożnie z łóżka i okrył kobietę.

– Nic nie widziałeś! Zapamiętaj! – Pogroził palcem. – A poza tym tylko pozazdrościć. Śpi jak suseł. Też bym tak chciał.

Siedział przy biurku. Oparł się rękoma o chłodny blat. Od dłuższej chwili nieprzerwanie patrzył na drewniane pudełko. Korciło go, żeby zajrzeć do środka. Przez lata godził się z jego sekretem. Szanował intymność tego przedmiotu. Wiedział od matki, że ojciec przechowuje tam ważne dla siebie zapiski. Wahał się jeszcze. Zerknął na śpiącego Pokera.

Zajrzał do sypialni. Olga, przykryta kołdrą po same uszy, głęboko spała. Patrzył na nią z czułością. Wrócił do biurka.

– Tato – wyszeptał do fotografii w srebrzystej ramce. – Chyba nadszedł moment, żebym bliżej poznał twój świat. Myślę, że powinienem zrobić to zaraz. A w ogóle, tato, trzymaj dzisiaj za nas kciuki. Bądź z nami!

Wyciągnął rękę po kasetkę i drżącym ruchem postawił blisko siebie. Właściwie spodziewał się wyłącznie dobrego. Jego ojciec był pozytywnym człowiekiem. Miał jednak dużą tremę. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, pies trącał go nosem w nogę. Uwolnił zatrzask. Drewniane wnętrze wypełnione było po brzegi poskładanymi w małe kostki kawałkami różnokolorowego papieru. Włożył tam palce i nieśmiało przemieszał. Powtarzał tę czynność kilkukrotnie. Nie spieszył się, odczekał chwilę, a potem wyjął jedną z karteczek. Powoli, jak w zwolnionym tempie, rozłożył i pieszczotliwie wygładził załamania. Nie był zaskoczony tym, co zobaczył. Znał pasje, zainteresowania oraz dojrzałość ojca. Przeczytał:

> *„Jest taka cierpienia granica,*
> *za którą się uśmiech pogodny zaczyna”.*
>
> Czesław Miłosz

Tato! Jestem pod wrażeniem. – Bruno pomyślał wzruszony. – Masz rację – dodał szeptem. – Każdy ból wcześniej czy później się kończy i to jest początek lepszego.

To było w stylu ojca. Innego go nie znał. Z refleksją i sympatią przypatrywał się zdjęciu. Ocknął się, gdy powtórzyło się trącanie w nogę. Przypomniał sobie o Pokerze, który natarczywie dopominał się uwagi.

– Spokojnie, wypuszczę cię – uspokoił psa. – Ale wiesz co? Mam propozycję nie do odrzucenia. Może sprawdzimy, jaką życiową mądrość ty wywęszysz. – Spojrzał pytająco.

Owczarek wsłuchiwał się w te słowa, przekrzywiając ciemną, kudłatą głowę. Bruno odłożył na bok karteczkę. Schylił się i na dywanie wylądowały pozostałe.

– Pokerze – zwrócił się do psa, głaszcząc po grzbiecie. – Teraz wszystko zależy od twojego mokrego nosa. To ważne! Wybierz! – Pokazał rozsypane kolorowe papierki.

Początkowo pies nie zareagował. Spojrzał na dywan, później przyglądał się swojemu właścicielowi, jednak gdy ten ponowił komendę, skoncentrował się głównie na rozrzuconej zawartości kasetki. Bruno przykucnął. Psi nos wycelował w niebieską karteczkę. Mężczyzna od razu po nią sięgnął, położył na biurku, wyprostował i powiedział:

– Słuchaj z uwagą. Przeczytam, co wybrałeś.

Czytał z niedowierzaniem. Coraz wolniej i coraz ciszej wypowiadał słowa tekstu:

„Cokolwiek planujesz albo wyśnisz, możesz to zaczynać.
Śmiałość ma w sobie geniusz, moc i magię”.

Powtórzył słowo „wyśnisz”. Położył rękę na łbie zwierzęcia i odezwał się tajemniczym głosem.

– Nie mogę uwierzyć w to, co przeczytałem. Miałem sen… W tym śnie widziałem mamę… Odnalazłem ją… Wyobraź sobie taki zbieg okoliczności. Po prostu przypadek. Dziwny przypadek!

Mówił z dużym przejęciem i z każdą chwilą głośniej.

– Te sentencje, które mój tata przechowywał, są życiowymi drogowskazami. Oznacza to, że mamy brać sprawy w swoje ręce. Nie wolno się ociągać! Spełnijmy jego wolę!

Drewniane pudełko powróciło na biurko. Bruno kiwnął na Pokera.

– Chodź, wypuszczę cię na dwór.

Gdy odwrócił się od drzwi, z sypialni wychodziła właśnie Olga. Przecierała oczy, jakby z trudem dochodziła do siebie.

– Och, co za miłe spotkanie! – Popatrzył na nią z uwielbieniem. – Czy nie jest pani za chłodno w tej cieniutkiej, powiedzmy, prawie niewidocznej koszulce? Czy dobrze widzę? Ma pani gęsią skórkę?

Podeszła blisko i mocno się przytuliła. Potem odpowiedziała:

– Proszę pana, przy panu nigdy nie odczuwam chłodu. A ta gęsia skórka? Hm, no niech pan pomyśli…

– Proszę mnie nie kusić! Jemy śniadanie i jedziemy na lotnisko, a po drodze wstąpimy do księgarni. Aha, a gęsią skórką zajmiemy się później. Zgoda? – Pocałował Olgę.

– Zgoda, zgoda. Idę do łazienki. – szybko zaakceptowała wszystko, co zaproponował.

Ktoś zastukał. Bruno nie był zaskoczony, bo Poker, kiedy chciał wrócić do domu, siadał przed drzwiami i uderzał w nie łapą, dopóki mu nie

otworzono. Tym razem też tak było. Owczarek szybko usłyszał zachętę:

– No, chodź, chodź, piesku.

Machając przyjaźnie ogonem, wszedł do środka. Apetyt dopisywał tylko jemu. Schrupał miskę karmy, napił się wody i usiadł w pobliżu stołu, przy którym Olga i Bruno jedli kanapki, popijając kawą z mlekiem. Wmusili w siebie po jednej kromce. Na więcej nie mieli ochoty.

Kiedy wychodzili z domu, zegar wybijał siódmą. Dzień zapowiadał się pięknie. W samochodzie zajęli te co zawsze miejsca i wkrótce dotarli na parking przy centrum handlowym.

***

Alicja Talska rozmawiała z klientem. Trzymała w ręce okazałą książkę i, uprzejmie się uśmiechając, pokazywała młodemu mężczyźnie fragment tekstu. Ten potrząsał ze zrozumieniem głową. Dostrzegła zbliżających się, więc zwróciła się do niego:

– Proszę się zastanowić. To bardzo ciekawa pozycja. Na chwilę pana przeproszę. Zaraz wrócę. – To powiedziawszy, już witała znajomych: – Dzień dobry, jak miło państwa widzieć. Co z panią Bogną? W porządku? – zapytała zafrasowana.

– Mamy nadzieję, że tak. Niestety, niewiele wiemy. Wierzymy, że dzisiaj wszystko się wyjaśni.

Bruno nie mógł powiedzieć nic więcej. Spojrzał z życzliwością na kobietę.

– Pani Alicjo, przyjechaliśmy po książkę. Gdyby była pani tak uprzejma. Przepraszam, ale trochę nam się spieszy. Właśnie w związku z mamą.

Ekspedientka nie przedłużała rozmowy. Otworzyła szufladę i wyjęła niedużą książeczkę. Podała.

– Proszę, to jest książka, o którą prosiła pańska mama. Niełatwo było ją odszukać, ale poszperałam, i oto ona. – Na chwilę zamilkła, ale zaraz poprosiła:

– Bardzo się martwię. Proszę dać mi znać. Bardzo proszę.

– Oczywiście, na pewno zadzwonimy – obiecała Olga.

– Odezwiemy się – potwierdził Bruno i, machając książką, zapewnił: – Mama się ucieszy!

W samochodzie pooglądał książkę. Była niedużego formatu, dość cienka. Szybko ją przekartkował. Strony migały wierszami. Cofnął się do okładki. Nazwisko autora nic mu nie mówiło.

– Słyszałaś kiedyś o Piotrze Birdzie? – Spojrzał na Olgę. – Poecie? – uzupełnił.

Pokręciła przecząco głową.

– Nigdy. Ani o Piotrze Birdzie poecie, ani w ogóle o Piotrze Birdzie. A jaki tytuł ma ten tomik? – zaciekawiła się.

– Tytuł jak tytuł, autor wie, o co mu chodziło. „Sto snów”, taki tytuł. – Zerknął na numer ostatniego wiersza. – Tu jest sto wierszy. – Podniósł książkę do góry.

– Hm… – mruknęła. – A przeczytaj, kiedy ten zbiorek został wydany?

– Wydanie pierwsze, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty. Dawno temu. – Postukał palcami w okładkę. – Po co mamie ta poezja? Dlaczego jej na niej zależało? Trochę zastanawiające.

Zamyślił się na krótko, ponieważ Olga prędko przerwała ciszę.

– Nie zagłębiaj się w to. I tak nic nie wymyślisz. Tylko twoja mama jest w stanie to wytłumaczyć. Na pierwszy rzut oka ma to związek z jej przeszłością. – Dotknęła ręki Brunona i poprosiła: – Jedźmy, proszę. Nie marnujmy czasu.

***

Mawski był na lotnisku na godzinę przed umówionym spotkaniem. Zawsze w razie potrzeby pojawiał się wcześniej. Hołdował zasadzie: nie spóźniać się. Wchodził właśnie do hangaru. Widok samolotów i szybowców sprawdzał się w roli cudownego leku na wszystkie bolączki codziennego życia. Położył dłoń na skrzydle cessny. Tuż za nim cicho weszli szybownicy Jarek i Andrzej. Nie chcieli przeszkadzać, przyjęli więc postawę wyczekującą. Trwali w bezruchu. Mimo to pilot łatwo wyczuł ich obecność, bo odwrócił się, uśmiechnął i powitał znanym stwierdzeniem:

– Cześć, chłopaki! Ważna informacja: dzisiaj czmychamy w krzaki!

Podrapał się po czole, rozłożył szeroko ręce na znak, że nie będzie innego wyjścia. W lot pojęli, że jest do rozwiązania problem. Jarek wyszedł Mawskiemu naprzeciw.

– Panie Henryku, dobrze, że pan pamięta, że jakby co, to my też w te krzaki! Będziemy pucować nasze maszyny i w każdej chwili możemy dać nura w chaszcze, jeżeli tylko się przydamy – wyraził gotowość pomocy.

Mawski z aprobatą poklepał obu po ramionach i podkreślił:

– Gramy w jednej drużynie! Dzięki! Trzymam was za słowo. Na razie nic więcej nie wiem. Róbcie swoje, a ja idę na kawę.

W aeroklubowej kawiarence roztaczał się zapach świeżo zaparzonej kawy. Zza kontuaru, za którym od lat królowała pani Anna, dochodziła przyjemna muzyka. Kobieta ustawiała filiżanki na półce przypominającej dwa samolotowe skrzydła. Poprawiła margerytki w wazonie i serdecznie przywitała pilota.

– Dzień dobry, panie Heniulku. Oczywiście kawa ze śmietanką dla pana? Nie ma to jak zacząć dzień porządną kawą. Prawda? – Z sympatią spojrzała na mężczyznę.

– Tak, tak, pani Aniu, ma pani rację. Poproszę kawę ze śmietanką i cukrem. Przyda mi się taki rozruch. Pani Aniu – przypieczętował zamówienie – dzisiaj koniecznie full kawy i full cukru, że o śmietance nie wspomnę.

Pani Anna świetnie znała gusty stałych klientów. Bez zdziwienia przytaknęła:

– Wiadomo, słodka szatanica. Już robię, panie Heniu. Proszę usiąść. Zaraz podam.

Kilka pierwszych łyków smakowało wybornie, ale gdy w drzwiach kawiarenki znalazł się Igor Wamis, ulubiony napój zszedł na drugi plan. Pilot z wyraźną ulgą przywołał młodego mężczyznę do siebie, pokazał na krzesło i zawołał:

– Pani Aniu, jeszcze jedną kawę poproszę!

Spojrzał na Wamisa i przeszedł do rzeczy:

– To opowiadaj, Igorze, w czym problem.

– Sprawa jest bardzo poważna.

Spadochroniarz zaczął mówić o okolicznościach tajemniczego zniknięcia Bromskiej. Mawski słuchał w coraz większym napięciu. Nie przerywał.

– Wiele wskazuje na to – kontynuował Wamis – że matki Brunona trzeba szukać w okolicy tutejszego lasu albo w samym lesie. Naszym zdaniem należy rozpocząć od wytropienia białego jeepa, a następnie drobiazgowo przeczesać kawał lasu. Właściwie to mniej więcej orientujemy się, w jakim rejonie szukać auta.

Zamilkł i wyczekująco patrzył na Mawskiego. Ten sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego. Jednym haustem wypił resztę ciepławej jeszcze kawy. Zerknął na kawiarniany zegar. Było po ósmej.

– Zaczekajmy, zaraz tu będą. Wtedy powiem, co zrobimy. – Pilot zaspokoił ciekawość swojego rozmówcy.

Rzeczywiście upłynęło zaledwie kilka minut i zziajany Poker wchodził do kawiarenki. Gdy Mawski poklepał ręką kolano, pies podszedł do stolika.

– Oj, piesku! – Podrapał psa za uchem. – Co my teraz poczniemy? Obiecuję, że się postaramy.

Bruno z Olgą się dosiedli, a Poker wszedł, starym zwyczajem, pod stolik, rozłożył się i zasnął.

Mawski z początku badawczo obserwował Brunona. Bez trudu odczytał emocje, których spadochroniarz nie próbował maskować. Troska i niemoc uzewnętrzniały się do tego stopnia, że decyzja pilota mogła być tylko jedna. Nigdy nie odmawiał pomocy. Był człowiekiem empatycznym. Od niego zależało teraz najwięcej. Być może również los Bromskiej. W swoim stylu, żeby nie potęgować i tak głębokiego stresu, zakomunikował:

– No to co, chłopaki? Czmychamy w krzaki? – Spojrzał na spadochroniarkę i natychmiast się poprawił: – No to co, chłopaki i dziewczyny? Czmychamy w leszczyny!

Odetchnęli z ulgą. Henryk Mawski zadeklarował wsparcie. W dalszym ciągu nie było jednak odważnego, żeby się odezwać. Oczekiwali propozycji.

– Kurczaki, młodzi! Ruchy! Ruchy! – Ta dyspozycja zabrzmiała energetyzująco.

W sekundę zmotywowani decyzją pilota, dużo przytomniej wsłuchiwali się w to, co miał im do powiedzenia. Zasłuchani niczym w wizje guru wierzyli w każde słowo, a on informował:

– Najpierw wykonamy lot rozpoznawczy. Zaczniemy od białego samochodu. Jeżeli dopisze nam szczęście i go wypatrzymy, to dalsze szanse będą o wiele większe.

Wziął sprawę w swoje ręce, toteż energicznie wstał, demonstrując, że najwyższy czas podjąć konkretne działanie. Wychodząc, uśmiechnął się.

– Głowy do góry! Zawalczymy! – Miał świadomość, że bez wiary w skuteczność mało co się udaje, więc dopingował: – Nie rozmieniajcie się na drobne. Mamy siłę. Idę po samolot, a przy okazji może zorganizuję opiekę dla Pokera. Za piętnaście minut startujemy. Czy ktoś ma inne zdanie?

Wiedział, że postawił pytanie retoryczne. Nie spodziewał się odpowiedzi. Wszyscy pospiesznie opuszczali kawiarenkę.

W hangarze w dalszym ciągu przebywali Jarek i Andrzej. Na widok pilota przestali zajmować się szybowcami.

– Dobrze, że jesteście. – W głosie Mawskiego dało się wyczuć nutę ulgi. – Mam prośbę, zaopiekujcie się psem. Sytuacja jest wagi ciężkiej. Muszę polatać ze spadochroniarzami. Powód wyjawię wam później, bo teraz czas nagli. Mogę na was liczyć?

Szybownicy nie mieli wątpliwości, że żadna alternatywa nie wchodzi w grę. Mawski nigdy o nic nie prosił z błahej przyczyny. Jarek podszedł do jednej z szafek, otworzył ją i wyjął piłeczkę. Włożył do kieszeni spodni, mówiąc:

– To jasne jak słońce!

Andrzej zapewnił równie skwapliwie:

– Zajmiemy się. Nie ma problemu.

– Kamień przestał mi tu ciążyć. – Pilot położył dłoń w okolicy serca w geście podziękowania i zapytał: – Pomożecie mi wypchnąć samolot?

Cessna wyjechała z hangaru, kierując się na stojankę. Zbliżała się tam również spadochronowa ekipa i pies. Owczarek jak zawsze nie stwarzał problemu, bo kiedy zobaczył ulubioną zabawkę, bez najmniejszego oporu, prowadzony na smyczy przez Jarka, szedł do miejsca służącego niekiedy za

wybieg. Andrzej odwracał jego uwagę od rozłąki z Brunonem, obiecując atrakcje.

– Pokerze – komunikował – wybiegasz się za wszystkie czasy, gwarantuję! – I uzupełniał: – A piłeczka może sobie podskakiwać. Dopóki jej pozwolisz.

Mawski przeprowadził próbę samolotu. Silnik pracował bez zarzutu. Cessna wykołowała na pas startowy, a pilot przypomniał pasażerom:

– Słuchajcie, jeżeli coś podejrzanego zauważycie, dajcie znać. Gdyby udało się zlokalizować obiekt, wracamy na lotnisko i podejmujemy dalsze decyzje. Nie możemy popełnić błędu. Rozwaga to podstawa.

– Tak jest, panie kapitanie! – usłyszał chóralną reakcję.

Przez chwilę zapanował lżejszy nastrój. Lubił współdziałać z młodymi. Udzielała mu się ich świeżość. Powrócił zapał nie mniejszy od tego sprzed lat. Ponowna kontrola silnika wypadła pozytywnie. Znał dobrze ten samolot. Miał wieloletnie doświadczenie, ale nie należał do rutyniarzy. Spadochroniarze ufali mu i czuli się z nim bezpiecznie.

Zdecydował o starcie. Cessna z potężnym, równobrzmiącym warkotem ruszyła po pasie. Po kilkuset metrach zgrabnie uniosła się do góry. Zmierzała w stronę lasu przylegającego do Kobierza.

Na początek postanowił przyjrzeć się obrzeżom. Z kabiny widział już kilkunastohektarowy zadrzewiony obszar roztaczający się szeroką połacią zieleni. Leciał pewny swego. Spoglądał na prawo i lewo. Znienacka, w momencie, kiedy spojrzał do przodu, niczym fatamorgana pojawił się przed nim inny samolot. Nadlatywał idealnie prosto na nich.

Mawskiemu zmroziło krew w żyłach. Liczyły się sekundy. Ostrzegawczo krzyknął:

– Trzymajcie się!

Natychmiast dodał gazu i gwałtownie skręcił w prawo. Zdążył odbić w krytycznym momencie, dosłownie w ostatniej chwili. Głęboko odetchnął. Dawno nie odczuwał takiej ulgi. Najgłośniej jak potrafił, zapytał:

– Wszyscy cali?

– Cali, mistrzu! – dobiegło z pokładu.

Jeszcze raz wziął głęboki oddech. Poczuł się lepiej. Byli o krok od katastrofy. O mały włos, a zderzyłby się z taką samą cessną. Zareagował w samą porę. Pokazał jedną ze swoich najlepszych lotniczych twarzy.

Na pokładzie nikt nie komentował tego niebezpiecznego zdarzenia. Byli wdzięczni losowi, że przy wolancie siedział pilot o żelaznych nerwach i świetnym refleksie. Szybko ponownie przypomnieli sobie najważniejszy cel lotu. Skupili się na zadaniu. Gdyby nie fakt, że przebywali wewnątrz samolotu, to właśnie teraz las znajdował się o rzut kamieniem. Mogli dzięki temu więcej zobaczyć. Pilot krążył nad leśnym skrajem. Gęste kępy wierzchołków drzew i krzewów dość szybko im umykały.

Pierwszy oblot nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. Nic nie zwróciło ich uwagi. Mawski nie odpuszczał. Powtórnie przelatywał nad pasem okalającym las. Minimalnie obniżył wysokość lotu. Po raz drugi przemierzyli przestrzeń nad asfaltową jezdnią dzielącą gąszcz drzew na dwie części. Spadochroniarze ochłonęli. Cała trójka pieczołowicie przyglądała się miejscu, które wskazywał Kopski.

Bruno mocno wytężał wzrok. Od czasu do czasu nerwowo mrugał. Raptem coś przykuło jego uwagę tak bardzo, że otworzył oczy najszerzej, jak to było możliwe. Jeszcze jedno krótkie spojrzenie i na pokładzie rozległ się krzyk:

– Jest! Jest! Jest! Tu! W tej dużej postrzępionej kępie! Tam się coś bieli! Zobaczcie!

Nie musiał powtarzać. Olga i Igor przysunęli nosy do szyby. Mawskiemu też zdawało się, że wytropił skrawki bieli.

– Chyba coś jest! – Krzykiem przedarł się przez warkot silnika.

Olga, wyraźnie podekscytowana, zyskała pewność, że mają rację. Z góry kępa drzew wyglądała jak koronkowa biało-zielona serwetka. To było jedyne takie miejsce. Białe ciapki wyróżniały się na tle zieleni.

– Ja też widzę! To nie może być nic innego! Mamy jeepa! – krzyknęła wniebogłosy.

– Sto procent, Heniu! Na sto procent! Nie ma co się dłużej certolić! – entuzjastycznie potwierdził Igor.

Henryk Mawski potrafił podejmować szybkie decyzje, więc zawołał:

– Dobra! Bierzemy teraz cały las pod lupę. Rozglądajcie się. Przeskanujemy go wzdłuż i wszerz!

Gdyby loty koszące nad zadrzewionym terenem należały do bezpiecznych, to właśnie teraz pokazałby swój kunszt lotniczy. Nie zaryzykował. Wystarczająco, jak uznał, nisko oblatywał kobierzowski las. Planował gęstymi kręgami od skraju do środka rozpoznać ten obszar. Pogoda, jak na zamówienie, znacząco ich wspierała. Nic nie powinno umknąć uwadze. Pokonywali krąg za kręgiem zdeterminowani, z pełną wiarą, że warto, że się uda. Optymistycznie pokrzykiwali:

– O! Sarny! Trzy sarenki! I jeszcze jedna!

Albo:

– Widzicie grzybiarzy? Chyba idą z koszykami!

Ktoś inny:

– Zachwycająco pięknie! Uroczo!

Nie patrzyli na siebie. Ważne było wyłącznie to, co w lesie. A pilot półgłosem powtarzał:

– Kurczaki! Dalej, no, dalej! Niech się wreszcie coś zadzieje! Jak długo jeszcze? Proszę!

Przy ostatnim słowie spojrzał na czyste błękitne niebo. Prosił. I jakby na jego prośbę akcja zaczęła nabierać tempa. W momencie, kiedy cessna przelatywała nad centralną częścią lasu, Igor klasnął z emocji i zawołał:

– W środku lasu stoi jakaś klitka! To nieprawdopodobne! – czym prędzej opisywał to, co widział. – Popatrzcie, po lewej stronie duża polana, a po prawej sporo krzewów leszczyny. Chyba to leszczyna. A to leśny okaz pomiędzy polaną a leszczyną! Tam jest jakiś szałas, czy chatynka. Nieważne, jak zwał, tak zwał! Widzicie to samo czy męczą mnie omamy?

– Mam to na celowniku. – Bruno szybko zapewnił kolegę. – To nie jest normalne. Nie spotkałem się dotąd z czymś takim w naszym lesie.

Olga, równie zaskoczona, porządkowała domysły kolegów.

– Tu tego nie rozstrzygniemy – powiedziała. – To trzeba sprawdzić, ale żeby to zrobić… – Odwróciła głowę w stronę kabiny i krzyknęła: – Heniu, przyjrzyj się temu cudowi natury! Między polaną a leszczynami! Co robimy?

Mawski nie opuszczał tego rejonu, krążył nad dziwnym wybrykiem architektonicznym i przyglądał się otoczeniu. Głośno komentował to, co usłyszał i oglądał:

– Mówicie, że między polaną a leszczynami? Leszczynami? Rzeczywiście, to mogą być leszczyny. W takim razie nie ma co kombinować. Co ja dzisiaj do was powiedziałem? Chłopaki i dziewczyny, czmychamy w leszczyny! Prawda? Biorę to za dobrą monetę. Wracamy na lotnisko!

Kiedy wychodzili z samolotu, Poker pędził w ich kierunku z piłeczką w zębach. Na nic się zdało przywoływanie. Jarek i Andrzej nie nadążali za

psem, który manifestował radość, biegając dookoła Brunona, podskakując i popiskując. Dopiero wygłaskany przez wszystkich po kolei, uspokoił się.

Mawski stanął przy szybownikach. Byli jeszcze potrzebni, więc zaczął od słów:

– Widzę, że wyśmienicie sprawdzacie się nie tylko w roli lotników, ale też opiekunów Pokera. Jestem wdzięczny, a będę bardziej, jeżeli popilnujecie go jeszcze przez kilkanaście minut. Macie czas?

– Nie ma sprawy. – Jarek chętnie się zgodził.

– Robi się, panie Heniu. – Andrzej też nie wnikał.

W tym momencie pies, jakby wiedział, o co chodzi, stanął między nimi. Nikt się takiemu zachowaniu nie dziwił. To był wyjątkowy pies.

Cała ekipa samolotowa udała się do kawiarenki. Mocna kawa nabierała teraz wartości lampki sylwestrowego szampana. Miała wykrzesać maksymalnie dużo pozytywnej energii. W kawiarnianym zaciszu zamierzali podjąć ważkie decyzje. Okoliczności ponaglały.

Pani Anna w iście ekspresowym tempie podała kawę i zniknęła na zapleczu. Świadomi przełomu uprawdopodobniającego odnalezienie Bromskiej rozważali na razie wyłącznie w swoich myślach różne warianty dalszego postępowania. Jeden z nich był nie do odrzucenia, ale nikt nie wychodził z propozycją! Czekali na inicjatywę Mawskiego. Ten przełknął właśnie ostatni łyk kawy, z powagą popatrzył na spadochroniarzy i ostrzegł:

– Wiecie, że to nie zabawa. Tu idzie o ludzkie życie. Nie ma nic ważniejszego, ale może być bardzo niebezpiecznie. Nie wolno niczego bagatelizować i w żadnym razie nie można stchórzyć. Weźcie to sobie do serca. A teraz czekam na konstruktywny pomysł!

Upływające minuty piekielnie się dłużyły. Pilot z miną medytującego mędrca utkwił wzrok w tarczy ściennego zegara. Bruno i Igor patrzyli na siebie. Obaj liczyli na wewnętrzną siłę Olgi i jej kobiecą intuicję. Obaj

mieli pewność, że z ich trojga ona ma najlepsze predyspozycje do wykonania najtrudniejszego zadania. Z kolei spadochroniarka od samego początku tkwiła w przekonaniu, że wie, co należy zrobić i kto tego dokona. Twardo spojrzała najpierw na pilota, a potem na Brunona i Igora, i oznajmiła to, czego oczekiwali:

– Jestem zdecydowana skoczyć na polanę. Nie odstąpię od tego. Uważam to w tych warunkach za możliwe do wykonania. Podejmę się tego ryzyka. Nie ma innej drogi. Znam siebie, uda mi się. Dostanę się do tej leśnej szopy i spróbuję się zorientować, czy ktoś w niej przebywa. Jeżeli się okaże, i oby tak było, że jest tam mama Brunona, natychmiast powiadomię chłopaków.

Pilot dał sobie jeszcze chwilę. Wszyscy trwali w napięciu. Z uporem powtórzyła:

– Heniu, nie odmawiaj. Zaufaj mi. Jesteś naszą szansą. Z tobą nam się uda. Nie odmawiaj, proszę.

Nikt więcej nie naciskał i nie przyspieszał decyzji Mawskiego. Powinien ją podjąć suwerennie. Zdawali sobie z tego sprawę.

Odpowiedzialność pilota odgrywała kluczową rolę. Wiedział, jaki ciężar bierze na swoje barki. Odmowa nie wchodziła w rachubę.

– Wiesz, co, Olgo… – spojrzał w jej oczy – z tobą to będzie zwyczajny pikuś!

– A wy? – Prawie na baczność postawił spadochroniarzy. – Co wy tu jeszcze robicie? Ogarniacie problem?

Obaj podnieśli się z krzeseł. Bruno uporządkował:

– Bierzemy Pokera, jedziemy poszukać jeepa i tam oczekujemy sygnału od Olgi. Czy tak będzie dobrze?

Mawski pokiwał głową. Ręką pokazał, że czas wychodzić.

Cała czwórka wiedziała, że nie ma odwrotu. Trudno było przewidzieć, czy nie wpakują się w tarapaty, ale przeważyła pozytywna motywacja. Od lat przestrzegali zasady: bez ryzyka nie ma sukcesu.

Wyszli przed kawiarenkę. Pilot zatrzymał się po kilku krokach.

– Stójcie! Chciałem wam coś jeszcze powiedzieć. – Podszedł do skoczków. – Jeżeli nie znajdziecie auta, to nie będzie oznaczało, że na tym koniec. Bezwarunkowo czekacie na informację od Olgi. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

– Tak. To zrozumiałe! Będziemy na posterunku. Oczywiście do czasu, aż dowiemy się tego, co niezbędne do dalszego działania. Jak sobie życzysz – zapewniał Bruno.

Usatysfakcjonowany Mawski, z lekko rozjaśnioną twarzą, wziął Olgę pod rękę i zarządził:

– Moi drodzy, zagęszczajmy. Zagęszczajmy! Ruszamy, orły! Wy! – Tu spojrzał na spadochroniarzy. – Po Pokera i do lasu! Ty! – zwrócił się do kobiety. – Do spadochroniarni, a ja czekam w cessnie.

***

Znajdowali się teraz w samolocie tylko we dwoje. Pilot za sterami, a spadochroniarka na podłodze. Wystartowali płynnie, bez żadnych niespodzianek. Skupieni, każdy na swoim zadaniu, nie rozmawiali.

Mawski był ciekaw, czy w dalszym ciągu ustalona wcześniej kępa drzew wyróżnia się białymi plamkami. Zaczął od tego miejsca. Nie musiał zbytnio wytężać wzroku, bo na tle zieleni białe ciapki kontrastowały z otoczeniem. To mu wystarczyło. Skręcił w lewo i skierował samolot ku newralgicznej części lasu. W krótkim czasie leciał nad polaną, ale wtedy dostrzegł kogoś idącego opodal. Ta okoliczność stanowiła przeszkodę. Postanowił zniknąć z pola widzenia tego człowieka i nabrać większej

wysokości. Nie spieszył się. Najmniejszy błąd mógł być fatalny w skutkach. Powracał w okolicę polany, bacznie się rozglądając. Tym razem nic go nie zaniepokoiło. Nadszedł właściwy moment na skok.

Do uszu Olgi dotarła komenda:

– Jesteśmy na kursie zrzutu!

Kobieta otworzyła drzwi samolotu. Wzięła głęboki oddech. Wysunęła nogi na zewnątrz i, wytężając wszystkie siły, runęła w dół. Przez kilka sekund spadała bezwładnie, po czym energicznie przyjęła płaską pozycję. Opadała teraz poziomą sylwetką z rozłożonymi szeroko rękami i nogami. Nie zważała na strugi powietrza, które bezlitośnie smagały jej policzki. Miała właściwe wyczucie czasu podczas skoku i w odpowiedniej chwili sięgnęła ręką do tyłu po pilocik. Wyciągnęła go jednym zdecydowanym ruchem. Usłyszała całą gamę dźwięków otwierającego się spadochronu. Zawsze odbierała je jak niezwykłą melodię zapowiadającą pomyślność skoku. Czasza spadochronu rozłożyła się pomarańczowym baldachimem, a Olga zawisła pod nim nogami w dół. Miała jeszcze do pokonania około stu metrów, by zrównać się z wierzchołkami drzew rosnących wokół polany. Starała się sterować linkami na tyle precyzyjnie, by tam bez przeszkód wylądować, nie zahaczając o żadne z nich. Na wysokości kilkunastu metrów jej sytuacja skomplikowała się. Silny podmuch wiatru pchnął ją za daleko w prawo. Zareagowała natychmiast i lewym kołkiem skierowała spadochron bardziej na lewo. Drugi nagły podmuch zakręcił spadochronem za bardzo w lewo, zbyt blisko świerków. Nie poddała się jednak i od razu zadziałała prawym kołkiem, kierując go bardziej w prawo. Zdołała uniknąć zawiśnięcia na drzewie. Z pełną determinacją i skutecznością ściągnęła rękami obydwa kołki jednocześnie. Nastąpił ostatni etap skoku. Tuż nad powierzchnią polany spadochron wyhamował, a Olga stanęła na ziemi.

Uważnie rozejrzała się wokół. Nie działo się nic, co mogłoby jej teraz przeszkodzić. Zdjęła uprząż i czym prędzej zebrała z ziemi pomarańczowy materiał. Musiała go ukryć. Wybór padł na wysokie paprocie porastające fragment lasu tuż przy polanie. Upewniła się jeszcze, czy w kieszeniach kombinezonu ma telefon i nóż. Nieduży nóż w skórzanej pochewce nosiła przy sobie na wypadek nieprzewidzianych sytuacji podczas skoków. Tym razem również mógł się przydać. Poczuła się bardziej komfortowo, gdy okazało się, że telefon i nóż są na swoich miejscach. Spojrzała na drewnianą ni to szopę, ni szałas. Wystarczyło przemknąć obok leszczyn, by znaleźć się na jej tyłach. Tak właśnie uczyniła. Stanęła przy drewnianej ścianie i przyłożyła ucho. Odczekała chwilę, ale na próżno. Nie zrezygnowała jednak. Delikatnie zastukała i za moment zapytała:

– Halo! Jest tam kto? Proszę się odezwać. Halo, czy ktoś znajduje się w tym szałasie? Proszę się odezwać! – powtórzyła.

Cisza zaczęła pozbawiać ją nadziei, mimo to nie poddawała się. Zastukała ponownie.

– Proszę się nie bać. Chcę pomóc! – zapewniała.

I wówczas usłyszała ciche stęknięcie. Każda sekunda potęgowała stres. Olga zachowała jednak zimną krew i nieustępliwie dociekała:

– Pani Bogno, czy to pani? Proszę dać znać!

Nadzieja urzeczywistniała się, bo z głębi szałasu docierały teraz głośniejsze stęknięcia i charczenia.

– Już dobrze! – uspokoiła. – Jestem tutaj i będę w pobliżu. Proszę jeszcze wytrzymać! – Dawała do zrozumienia, że pomoc nadchodzi.

Odsunęła się od ściany, okrążyła szałas i zatrzymała się przy drzwiach. Złapała za klamkę. Nie ustąpiły. Szybko się oddaliła, zdając sobie sprawę, że ona również może znaleźć się w dużo gorszym położeniu. Postanowiła znaleźć kryjówkę, w której poczeka i skąd jednocześnie będzie miała oko

na chatę. Weszła pomiędzy okazałe krzewy jałowca. Przykucnęła, wyjęła telefon i napisała: „W chacie ktoś jest. Wymaga pomocy! Nie zwlekajcie!”.

Wiadomość wysłała do Brunona. Teraz pozostało jej czekać. Nie była pewna, kto wydawał te cierpiętnicze odgłosy. Tak czy inaczej, ta osoba potrzebowała ratunku.

Telefon zapikał, dając znać o SMS-ie. Przeczytała: „Jesteśmy w drodze. Trzymaj się!”.

Odetchnęła z ulgą i wygodniej umościła się na trawie. Emocje wibrowały na poziomie wysokich lotów z Henrykiem Mawskim. Nie mogły jednak nad nią zapanować. Zawsze dawała sobie radę. Oddychała swobodniej.

Wpatrzona w chatę i wystawiona na nieprzewidywalne ryzyko zachowywała czujność. Nie wiedziała, czego może się spodziewać, jednocześnie była świadoma, że wszystkiego. Usłyszała czyjeś kroki. Ktoś zbliżał się z miękkim szmerem ugniatanej trawy. Maksymalnie znieruchomiała. Tylko oczy szukające sprawcy tych szelestów biegały w lewo i w prawo. Całkiem skamieniała. Nawet nie drgnęła, gdy go zobaczyła. Wysoki, niemłody mężczyzna, z włosami spiętymi na karku w kitkę, mijał właśnie krzewy jałowca.

Wstrzymała oddech. Nieznajomy zapatrzony w drewnianą chatę szedł wprost na nią. Po chwili zamknął za sobą drzwi.

Po plecach spadochroniarki co rusz przebiegały ciarki. Daremnie nasłuchiwała jakichś odgłosów dochodzących z wnętrza chaty. Bardzo by chciała teraz poznać powód kompletnej ciszy. Była zdecydowana na interwencję. Podkurczyła nogi, ręce położyła na kolana, a na nich oparła podbródek. Tak było wygodniej. Krzewy dość szczelnie otulały jej sylwetkę. Nieduże przesmyki umożliwiały obserwację najbliższej okolicy. Patrzyła na sklecone drewniane zjawisko. Z bliska wyglądało jak klatka.

Pomyślała, że trzeba być niespełna rozumu, żeby tam kogoś przetrzymywać.

Usłyszała szmer, a po chwili odgłosy stukania i przesuwania. Trudno było ocenić, z czego wynikały. Na razie nie zamierzała opuszczać kryjówki. Zastygła w bezruchu z oczami utkwionymi w szałas. Lekko poruszyła się, gdy charakterystyczne skrzypnięcie zapowiedziało, że drzwi się otwierają. Znowu walczyła z gigantycznymi emocjami. Miała wrażenie, że jej głowa rozdęła się jak balon, a serce skacze jak piłka z całą siłą odbijana od ziemi.

Wyszedł przed chatę z grubym sznurem w jednej ręce. Drugą wyraźnie oszczędzał. Od czasu do czasu machał owiniętą dłonią. Z wnętrza wyłoniła się kobieta, na której widok Olga struchlała. Zobaczyła idącą boso Bromską. Przepasana sznurem i co chwilę pociągana, stawiała kroki powoli. Blada, z podkrążonymi oczami poruszała się ostrożnie. Wygniecione spodnie i zmięta bluzka dodatkowo dowodziły jej trudnego położenia. Wydatny knebel w szeroko rozwartych ustach nie pozostawiał złudzeń, że przeżywała horror.

Mężczyzna zatrzymał się, gdy Bromska dotarła w pobliże sosny. Stanął tyłem. Olga zobaczyła kucająca kobietę. Trudno jej było na to patrzeć. Odwróciła wzrok. Na razie nie zachodziła konieczność interwencji. Bromska, mimo że słaba, wymęczona i upokorzona, dawała radę. Ta silna kobieta potrafiła walczyć o swoje. Co do tego Olga miała stuprocentową pewność.

Zerknęła na mężczyznę. Zmarszczyła brwi. Kogoś jej przypominał. Nie odnalazła go w swojej pamięci. Odłożyła to na później.

***

Bruno uścisnął ręce Jarka i Andrzeja.

– Dzięki. Zabieram Pokera. Przed nim poważne zadanie do wykonania. A gdyby któryś z was miał w przyszłości psa i potrzebował pomocy, chętnie dam się wykorzystać.

– Kto wie… To wcale nie jest wykluczone. – Andrzej był otwarty na tę propozycję.

– Aha… – Bruno podrapał się po czole. – Byłbym zapomniał! Mam nadzieję, że mi pomożecie. Potrzebuję na dzisiaj linę do holowania szybowców. Wypożyczycie? Obiecuję, że zwrócę w takim samym stanie.

Liczyli na szczegółowsze wyjaśnienia, ale się nie doczekali. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Odmowa nie wchodziła w grę. W kobierzowskim aeroklubie wszyscy zawsze się wspierali, więc chociaż skoczek nie od razu uzyskał odpowiedź, po chwili wiadomo było, że Jarek zaraz przyjdzie z liną holowniczą.

Nie minęło wiele czasu, a spadochroniarze, odpowiednio wyposażeni, wsiadali do mercedesa. Poker rozłożył się na tylnym siedzeniu. Gdy wjeżdżali na drogę, którą poprzedniego wieczoru pokonywali z Kopskim, odezwał się telefon. Igor już czytał wiadomość i Bruno od razu usłyszał:

– Widzisz, Olga to Olga! Już tam jest! W chacie ktoś czeka na pomoc! Żebyśmy się tylko nie spóźnili!

Był podniecony i rozgorączkowany, ale Bruno uciął jego niepewność.

– Nie kracz! Zdążymy! Odpisz, że jedziemy.

Od miejsca, w którym widzieli białego jeepa, dzieliły ich dosłownie minuty. Docisnął pedał gazu. Prędko przywitał ich rząd brzóz po prawej stronie jezdni. Zwolnił, by zaraz skręcić do lasu. Ujechał tylko kawałek, bo prędko natknął się na puste auto. Stało tuż za drzewami. Nie wierzył własnym oczom.

– Spójrz! – zwrócił się do kolegi. – Wydaje mi się, czy to może samochód Kopskiego? Bardzo mi go przypomina.

– Nie jestem pewien. Ty wiesz lepiej, jakiego samochodu używa sąsiad, ale możesz mieć rację. Takim wczoraj jechaliśmy, tylko czy tym? Sprawdźmy, co się tutaj dzieje! – Igor już otwierał drzwi.

Poker wyskoczył pierwszy i głośnym szczekaniem obwieścił swoją obecność. Ni stąd, ni zowąd zza pobliskich drzew wyszli dwaj mężczyźni. Jeden z nich mówił przyjaznym tonem:

– To my, Pokerku! Poznajesz? Mam nadzieję, że tak. Przecież się lubimy, prawda?

Kopski czuł się bezpiecznie w obecności znajomego psa, ale w tych nieoczekiwanych okolicznościach wolał zachować ostrożność. Owczarek bez trudu go rozpoznał. Obwąchał i pomerdał ogonem. Potem podszedł do Gawicza. I w tym przypadku powitanie przebiegło równie spokojnie.

– Panowie, co tutaj robicie? – Bruno nie krył zdziwienia. – Co z pana ręką? Czuje się pan dobrze? – zainteresował się kondycją sąsiada.

Gawicz wyręczył przyjaciela. Wskazał unieruchomioną kończynę i przekonywał:

– Ta ręka w niczym nie przeszkadza. Nie wiem, jak Tytus to robi, ale sam się myje, sam się ubiera, sam przygotowuje posiłki. Nie ma żadnych przeszkód. Powiem szczerze, to jest facet nie do zdarcia. Pomijając te niezaprzeczalne talenty, dziś wydarzyło się coś, co mnie również zdopingowało, żeby przyjechać w to miejsce. Wytłumacz, Tytusie, w czym rzecz. – Spojrzał zachęcająco.

Kopski podszedł do swojego opla. Otworzył przednie drzwi. Usiadł bokiem na fotelu od strony pasażera, stopy stawiając na trawie. Przygotowywał się do ważnego wyznania. Lornetka zawieszona na szyi zaczęła mu przeszkadzać. Zdjął ją i położył na wycieraczce. Chrząknął, jakby dokuczała mu chrypka. W ruch poszła zdrowa ręka.

Rozemocjonowany wykonywał trudne do określenia gesty i z przejęciem relacjonował:

– Widziałem go dzisiaj! Tego, wiecie, w żółtej czapce, w białym jeepie! Z samego rana przejeżdżał naszą ulicą… To był on! Nie mogłem tego tak zostawić, zbagatelizować. Poprosiłem więc Jakuba. I jesteśmy tutaj. Dopiero co przyjechaliśmy. Bardzo chcemy pomóc! Chodzi o moją najbliższą sąsiadkę! – Jego głos wyraźnie drżał.

Bruno wyglądał na zmieszanego, a ta sytuacja wymagała taktu. Nie przerywał sąsiadowi, gdy ten cały skruszony kontynuował:

– Gwarantuję, że się przydamy. Nie dam rady bezczynnie siedzieć w domu. Nie miej do mnie żalu.

Gawicz postanowił poprzeć przyjaciela. Już otworzył usta, ale w tej samej sekundzie je zamknął, gdyż całkowicie zadowolił się odpowiedzią.

– Co pan mówi, panie Tytusie? Nie mam żalu. Proszę o tym nawet nie myśleć. Cieszę się, że są tacy ludzie jak panowie. Chętnie skorzystam z pomocy.

Niezawodny w okolicznościach wymagających kompromisu Igor podszedł do Kopskiego i złapał za rękę, która nieustannie tańczyła piruety w powietrzu.

– Te ręczne swawole wykorzystamy, gdy zajdzie taka potrzeba! A teraz wstajemy i bierzemy się za bary z jeepem! – Zaczął wyciągać mężczyznę z samochodu.

– OK, OK, momencik! Bez tego się nie ruszam! – Sąsiad podniósł z wycieraczki lornetkę i zawiesił na szyi.

W tym samym czasie Bruno wyjął z bagażnika linę, co zainteresowało Kopskiego.

– Może się do czegoś przyda – przyznał. – Tak jak moja lornetka, na wszelką ewentualność – dodał.

Spadochroniarz zakołysał zwiniętą liną holowniczą i poprawił go:

– Nie, nie na wszelką, tylko na jedyną w swoim rodzaju ewentualność!

Nie ciągnął tego tematu. Wskazał gęsto zarośnięty zagajnik. Żeby tam dotrzeć, należało przebyć trawiasty fragment lasu.

– Popatrzcie! – Gawicz schylił się i przesunął dłonią po trawie przed i za sobą, pokazując dwie równe i niezbyt głębokie koleiny ugniecionej trawy.

– No właśnie! Wygląda na to, że przejeżdżał tędy samochód. Nie jestem jasnowidzem, ale… – Kopski zawahał się. – Nie będę się zagłębiał. Idźmy!

Byli tego samego zdania. Poszli tym śladem. Wpatrzeni w ścianę drzew, ostrożnie, w całkowitej ciszy zbliżali się do celu. Wkrótce stanęli na wprost gęstwiny rozłożystych gałęzi, ciasno splątanych. Na razie nie było jak się przez nią się przedrzeć. Ruszyli dalej po śladach, które z lewej strony okrążały drzewa. Musieli pokonać w ten sposób niemałą odległość, gdy niespodziewanie tuż po tym, kiedy skręcili znowu w lewo, ich oczom ukazał się odmienny widok. Od tej strony świerki i sosny rosły luźniej, pozostawiając dość szeroką wolną przestrzeń. Minęli tę naturalną furtkę do wnętrza zagajnika. Dosłownie po dwóch krokach wszyscy, jak na rozkaz, zatrzymali się. W samym środku stało białe auto. Komentarze były zbyteczne. Podeszli blisko. Bruno chwycił za klamkę tylnych drzwi. Zdziwił się, bo samochód nie był zamknięty.

Skomlenie oraz szczekanie wzbudziło i podejrzenie, i nadzieję.

– Wskakuj – polecił.

Pies błyskawicznie zajął się penetracją tyłu jeepa. Najpierw nie odrywał nosa od podłogi, potem wskoczył na siedzenie i obwąchał je centymetr po centymetrze. Na koniec, ku zaskoczeniu wszystkich, położył się i co chwilę popiskiwał.

– Tym samochodem najprawdopodobniej jechała pani Bogna. – Igor odważył się osądzić.

Nikt się nie sprzeciwił. Też tak uważali. Jedynym skutecznym sposobem, żeby pies wyszedł na zewnątrz, była odpowiednia zachęta.

– Chodź, idziemy do mojej mamy. – Bruno pogłaskał go po łbie i zwrócił się do reszty: – Panowie, ruszajmy! Musimy dotrzeć do mniej więcej połowy lasu. Ja i Igor wiemy, że należy szukać drewnianej szopy, czy jak kto woli: szałasu.

– Tak, tak, zbierajmy się. – Kopski, przygotowany na wędrówkę, dopytywał: – Skąd wiecie o szałasie? I co to ma wspólnego z jeepem?

– Szałas widzieliśmy z samolotu. Olga tam czuwa. Kogoś trzeba stamtąd uwolnić. A jeśli chodzi o auto, to wniosek się raczej sam nasuwa… Po zachowaniu psa niczego innego nie biorę pod uwagę. – Bruno mówił, a pozostali nie wątpili w jego synowską intuicję.

– Zdajmy się na Pokera. On się nie myli. Poprowadzi nas – zapewnił.

Przypiął smycz do obroży i zdecydowanym głosem zakomenderował:

– Szukaj pani!

Gawicz zmarszczył brwi, spojrzał na mężczyznę, a później na owczarka i powiedział:

– Niech prowadzi nas Poker! I to szybko! Czas ucieka!

Komendy nie trzeba było psu powtarzać. Pani to pani. To słowo słyszał wielokrotnie przez bez mała trzy lata. Przywarł nosem do ziemi i rozpoczął poszukiwanie. Od pierwszych kroków pracowicie węszył, a z każdym kolejnym wykazywał coraz większe zaangażowanie. Wiódł grupę w szybkim tempie. Wpatrzeni w psa, nie zwracali uwagi na napotykane ślady. Nie mieli czasu na to, by rozważać, czy przygnieciona trawa, zmiażdżone krzewinki jagód albo nisko położone wachlarze paproci to sprawka zwierzęcia czy człowieka. Ufali psu. Całkowicie zdali się na jego zmysły.

Podążali za nim cali upoceni. Bogactwo roślinności nie ułatwiało tej przeprawy. Serpentynami mijali obficie rosnące dojrzałe świerki i sosny oraz młode olchy. Ocierali się o krzewy jałowców. Przeciskali się między krzakami jeżyn.

Poker sprawdzał się doskonale. Na ugiętych łapach drobiazgowo kontrolował zapachy. Dotykał nosem na przemian runa, gałęzi krzewów i pni drzew. To trwało dopóty, dopóki nie podbiegł do starego dębu. Gruby, chropowaty pień i obszerna rozłożysta korona z krzepkimi jeszcze konarami porośniętymi czapą zdrowego listowia robiły niepowtarzalne wyrażenie. Potęga drzewa zadziałała. Niemo podziwiali ten zjawiskowy widok.

Pies żywiołowo zareagował na teren otaczający dąb. Na początek podbiegł do drzewa, stanął na tylnych łapach, a przednimi oparł się o pień. Skrupulatnie obwąchiwał bruzdowatą korę. Potem kręcił się w kółko pod leśnym kolosem. Wtykał nos w źdźbła trawy i ziemię. Słychać było, jak jego nozdrza zachłannie wciągają powietrze. Przemieszczał się z miejsca na miejsce, zawracał i znowu szukał, aż wreszcie pozostał na tym, które go zajęło najdłużej. Usiadł i patrzył na Brunona.

Mężczyzna sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Zesztywniała sylwetka z zamkniętymi oczami sygnalizowała brak kontaktu z rzeczywistością. Zobaczył właśnie jasnowłosą dziewczynkę. Stała pod dębem z garstkami pełnymi żołędzi. Ujrzał siebie. Przytulał dziecko.

Otworzył oczy. Igor, Kopski i Gawicz osłupiali i wpatrzeni w niego, nie odzywali się.

– Przepraszam. Już wróciłem – powiedział nieco zmieszany. – Uwierzcie mi, moja matka tu była – dodał wyjaśniająco.

Kucnął przed psem i objął go.

– Kocham cię, Pokerze! Jesteś wspaniały! – wyznał z satysfakcją.

Psia łapa natychmiast powędrowała do niego. Uścisnął ją i zaraz wydał komendę:

– Szukaj pani! Szukaj!

Wzruszony Kopski przetarł chusteczką spocone czoło i uciął wszelkie obawy.

– No dobrze. To oczywiste, kto wie najlepiej. Gra się toczy, panowie!

Gdy oddalili się od dębu, Gawicz zatrzymał przyjaciela. Podszedł do niego.

– Zaczekaj – mruknął półgłosem. – Jak się czujesz?

– A jak można się czuć w takim stanie? – Kopski cały czas wycierał czoło. – Nie martw się! Nie jestem słabeuszem. Dam radę – uspokajał.

– Mamy swoje lata. Nic na łapu-capu. Ważne cele najczęściej osiąga się małymi krokami. Tak postępują profesjonalni gracze. Rozumiesz? – Gawicz nie odpuszczał.

Kopski zerknął w stronę spadochroniarzy. Znajdowali się jeszcze w zasięgu wzroku. Uśmiechnął się i zapewnił:

– Znam te twoje fortele, ale muszę się zgodzić. W takim razie ruszajmy. Drobnymi kroczkami. Taka taktyka ma swoje walory. Spójrz, młodzi trochę zwolnili. Zdołamy ich dogonić.

Poker kipiał energią. Z nosem przy ziemi dowodził całą akcją. Wyprzedził wszystkich. Smycz co krótką chwilę gwałtownie się naprężała, a wtedy Bruno podskakiwał i mocno przyspieszał. Igor wypadał z rytmu, ale nadążał, a kawałek z tyłu pozostawali dwaj starsi panowie.

Przemierzali las od ponad godziny. Teraz mijali teren z rzadka porośnięty wysokimi sosnami. Przed nimi pojawił się nieregularny rząd jałowców. Jedne stożkowate, inne proste niczym słupy zasłaniały sporą część lasu. Przystanęli, a Bruno przywołał psa. Trzymał go na krótkim pasku smyczy. Położył palec na ustach, nakazując milczenie. Bezszelestnie

zbliżali się do krzewów. Mieli je już na wyciągnięcie ręki. Atmosfera zgęstniała maksymalnie. Coś nieuchronnego wsiało w powietrzu. Igor zaryzykował. Wsunął głowę pomiędzy dwa najbliższe krzaki i gwałtownymi machnięciami ręki pokazał, żeby przykucnęli. Zrobił tak samo i wyszeptał:

– Jesteśmy na miejscu. Widziałem to drewniane indywiduum. Teraz potrzebny nam kontakt z Olgą.

Bruno wyjął telefon. Wiedział, że rozmowa nie wchodzi w grę. SMS ratował sytuację. Mrugnął porozumiewawczo do kolegi i napisał: „Dotarliśmy”.

Błyskawicznie otrzymał odpowiedź: „Tam jest twoja mama i jakiś facet. Decyzja?”.

Bez wahania odpisał: „Podejdziemy bliżej. Damy ci znać. Musisz wywabić go na zewnątrz. Wtedy zadziałamy”.

Komunikat zwrotny brzmiał jasno: „Tak jest!”.

Popatrzył na współtowarzyszy i wskazał kierunek, w którym będą musieli przemknąć. Kiwnęli głowami na znak, że rozumieją.

Chyłkiem, nisko pochyleni, ominęli jałowce. Chata znajdowała się o kilkanaście metrów od nich. Ukryli się za dwoma świerkami. Bruno położył linę na trawie i wysłał wiadomość: „Już!”.

Odpiął smycz i chwycił obrożę.

Nagle rozległ się wyraźny odgłos stuknięcia o drewnianą ścianę. Zapadła cisza. Za wszelką cenę starali się zachować spokój. Powstrzymywali oddechy. Czekali w pogotowiu.

Drzwi odezwały się ostrożnym skrzypnięciem. Po chwili zza jednego ze świerków wynurzyła się część męskiej głowy. Bruno jednym okiem zauważył mężczyznę, który zamknął chatę na klucz, a następnie rozejrzał się wokół, pochylił i zaczął przypatrywać rosnącej tam trawie. Na chwilę

ukląkł i podniósł pomarańczowy przedmiot. Ponownie rozejrzał się dookoła. Wstał i, idąc bardzo powoli, precyzyjnie przeczesywał najbliższą okolicę.

W kilka sekund spadochroniarz był pewny swego. Rozpoznał pomarańczowe okulary Olgi. Natychmiast zdecydował.

– Bierz go! Bierz go! – powiedział cichym, zimnym głosem.

Ręką wskazał cel i puścił owczarka. Wystarczyło kilka długich skoków, żeby pies dopadł do mężczyzny. Ten, co prawda, rzucił się do ucieczki, ale zwierzęca intuicja nie przewidywała kompromisu. Poker miał w pysku łydkę oprawcy. Przeraźliwy krzyk przeszył las. Długa męska postać jak kłoda zwaliła się na trawę. Pies prędko wskoczył na plecy leżącego i usiadł. Siedział bez ruchu z wiszącym językiem i dyszał do momentu, gdy prawa ręka zaczęła przesuwać się w kierunku kieszeni spodni. Nie miała szansy, bo Poker jednym kłapnięciem zablokował ten ruch. Rozpaczliwe wycie znowu rozniosło się echem po leśnych ścieżkach. Klucz wypadł, ale pies nie wypuszczał owiniętej szmatą i przesączonej krwią dłoni.

Bruno wyprzedził wszystkich. Zaraz po nim dobiegła Olga, a kilka sekund później obok wyhamowali pozostali.

– Siedź! – usłyszał Poker.

Bruno nie pozwolił nikomu oddalić się od złapanego. Nie zamierzał niczego lekceważyć.

– A wy tu stójcie! – Spojrzał na resztę. – Idę po linę. Trzeba drania związać!

– Jak najszybciej. Im prędzej, tym lepiej! – Olga była równie zdeterminowana.

Niedługo Bird stał przed nimi ciasno opleciony od szyi po pośladki, z rękami unieruchomionymi w tym kokonie. Jego twarz była zimna, choć

pulsujące na skroniach żyły sygnalizowały, że toczy wewnętrzną walkę. Mężczyźni z satysfakcją oglądali swoje dzieło.

Bruno, skupiony na odnalezieniu klucza, przeszukiwał miejsce, gdzie Poker zaatakował Birda. Niczego nie znalazł. Natomiast Olga rozgarniała pobliskie kępy trawy. Obiema rękami i bystrymi oczami prześwietlała bujną roślinność. Nagle dostrzegła niewielki fragment czegoś, co wyglądało na kawałek grubszej blaszki. Najpierw wzięła głębszy oddech, następnie usiadła i z celebracją, źdźbło po źdźble, zagłębiała palce w zielone kosmyki. Emocje wibrowały na najwyższych obrotach. Wiedziała, że zwyciężyła, bo w ręku trzymała nieduży, srebrzyście połyskujący klucz. Uniosła go, podskakując i wołając triumfalnie:

– Mam! Mam! Mam!

Bruno kiwnął energicznie w jej stronę i wskazał na chatę. Oboje pędem rzucili się w kierunku drewnianych drzwi. Nie stanowiły teraz żadnej bariery. Dały się łatwo otworzyć.

Uchylali je powoli. Zszokowani stanęli na progu. W szarości wnętrza na ziemi kuliła się bezbronna kobieta. Zawiązane oczy, knebel w ustach, spętane ręce i nogi, splątane, potargane włosy, wygnieciona i przybrudzona odzież robiły przygnębiająco przykre wrażenie.

Spadochroniarz rozpoznał matkę. Podszedł i przyklęknął. Usunął lepki knebel i ściągnął szmatę z oczu. Przyłożył ucho do otwartych ust. Odetchnął z ulgą, gdy ciepło oddechu osiadło na jego policzku.

Słabo chrząknęła i zaczęła intensywniej nabierać powietrza. Podniosła powieki. Utkwiła wzrok w twarzy syna. Łzy musiały popłynąć.

– Mamo! Jestem! Nic ci już nie grozi. – Łagodnie uspokajał i wycierał dłońmi mokrą twarz matki.

Olga wyjęła z kieszeni kombinezonu nóż. Rozcinał wżynający się w ciało sznur najdelikatniej, jak to było możliwe. Bruno ostrożnie podniósł

matkę i posadził na pryczy. Usiadł obok i przytulił ją.

Bromska poklepała parciane okrycie pryczy. Zapraszająco patrzyła na młodą kobietę. Olga chętnie się przysiadła. Przez dłuższą chwilę w skupieniu trzymali się za ręce. Słowa, które wypowiedziała matka Brunona, zabrzmiały wzruszająco.

– Dziękuję wam, dzieci. Moje dobre dzieci… – Głos kobiety jeszcze drżał.

– Wytrzymałaś! Nie poddałaś się! Tata byłby szczęśliwy! – Mężczyzna pocałował matkę.

– A gdyby zobaczył, czego dokonałeś, po prostu pękałby z dumy! – Po matczynemu pogłaskała syna po głowie.

– Mamo, musisz wiedzieć, że nie zostaliśmy sami. Masz siłę wstać? Czeka cię niespodzianka! – zachęcił z tajemniczym uśmiechem.

Kiedy próbowała się podnieść, wziął ją pod rękę i poprowadził do wyjścia. Szła niepewnie, ale gdy zatrzymali się na progu, wstąpiła w nią nowa siła. Wyprężyła się i wyprostowała.

– To nieprawdopodobne! – zawołała i złapała się za głowę.

Tytus Kopski pomachał ręką. Jakub Gawicz ukłonił się w pas. Igor Wamis nie przestawał klaskać. Wszyscy szczerze się śmiali.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Oszołomiona witała się już z Pokerem, który – równie szczęśliwy – natarczywie się łasił.

– Żebyś wiedział, jak się cieszę, że jesteś tutaj. – Czule drapała psa po grzbiecie.

– Mamo, on zasługuje na szczególną pochwałę. Dzięki wyjątkowemu nosowi naszego owczarka szybko cię odnaleźliśmy. – Bruno z wdzięcznością przyłączył się do pieszczot.

Poker uwielbiał takie czułości i całkowicie się im poddawał.

***

Z hangaru wychodzili właśnie szybownicy. Mawski opuszczał akurat cessnę i od razu ich zauważył. Nie miał czasu na ulubioną kawę ze śmietanką. Nie miał zamiaru czekać w niepewności. Krzyknął więc:

– Hej, panowie! Mam sprawę!

Gdy obaj stanęli przed nim, natychmiast zabrał się do wyjaśnień.

– Jadę, kurde, do lasu. Potrzebuję towarzystwa. Reflektujecie?

Jarek nagle dostał ataku kaszlu, a Andrzej zainteresował się zegarkiem.

Pilot, jakby nie dostrzegł tych uników, drążył temat.

– Jeżeli wam nie pasuje, to nie ma problemu. W zaufaniu jednak powiem, że sytuacja jest bardziej niż poważna.

Na moment zamilkł, rozejrzał się dookoła i szeptem tłumaczył dalej.

– Szukamy matki Brunona. Każdy, kto zechce pomóc, jest na wagę złota. Rozumiecie, chłopcy, w dalszym ciągu czmychamy w krzaki. A czy ja albo wy jakieś pokraki?

Na te słowa Jarek i Andrzej spojrzeli na siebie, stanęli na baczność i głośno odpowiedzieli:

– Tak jest, panie kapitanie. Komu trzeba, spuścimy lanie!

Jechali samochodem Mawskiego. Pilot nie błądził. Już wcześniej dobrze rozpoznał cel. Miał doskonałą orientację przestrzenną. Był w tym mistrzem. Lot, który tego dnia wykonał, pozwolił zapamiętać charakterystyczne punkty w odniesieniu do tego najważniejszego w pobliżu polany. Z dużą pewnością siebie zatrzymał samochód przy dwóch, które już tam stały.

– Patrzcie! – Jarek stanął za jednym. – To samochód Brunona! A tego… – kiwnął na drugi – nie potrafię doprecyzować. – Pokręcił głową.

– Ja też. – Mawski przelotnie zerknął na auta. – Zresztą zaraz zobaczycie jeszcze jeden. Na pewno z nikim nie będziecie potrafili go powiązać.

Pilot ruszył tam, gdzie spodziewał się zastać jeepa. Szybownicy podążali za nim. Białe auto stało w tym samym miejscu, w którym zostało zlokalizowane podczas lotu nad lasem.

– Jaka fura! – Andrzej się zachwycił. – Przydałaby się taka. – Głaskał biały lakier.

– Daj spokój! – Jarek nie wykazywał nadmiernego zainteresowania zaletami jeepa. – Co dalej, panie Heniu? – dopytywał Mawskiego.

Ten stał tyłem do auta, na wprost lasu, i maksymalnie skoncentrowany na swoich rozważaniach nie zareagował. Przeszedł kilka kroków do przodu, cofnął się, skierował kawałek na prawo i powrócił do pozycji wyjściowej.

– Idziemy tędy! Prosto! Trzymajcie się mnie! – Wskazał kierunek.

Tak też uczynili. Nie odstępowali mężczyzny, który mimo swych sześćdziesięciu lat poruszał się bardzo energicznie. Jego zapał udzielił się młodym szybownikom. Płynnie pokonywali zalesiony teren. Co pewien czas przystawali, a pilot bacznie rozglądał się i nasłuchiwał. Nic poza dźwiękami lasu nie docierało do ich uszu.

Przechodzili właśnie obok majestatycznego dębu. Nie rósł na tym obszarze drugi tak niezwykły okaz. Pilot po raz drugi wyczuł ponadprzeciętną siłę drzewa. Poranny widok ogromnie rozłożystej korony dębu z podniebnej perspektywy zrobił na nim niebywałe wrażenie. Uśmiechnął się do Jarka i Andrzeja.

– Idziemy w dobrym kierunku. Jesteśmy niedaleko.

Zdążyli przebyć jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy usłyszeli odległe, przytłumione szczekanie psa.

– No a teraz zagadka, panowie! Jak wabi się ten hałaśliwy zwierzak? O! Posłuchajcie! Znowu szczeka. – Pilot skierował uwagę szybowników na znajome dźwięki.

Rzeczywiście szczekanie stawało się coraz wyraźniejsze. Przystanęli. Jarek zaspokoił ciekawość pytającego.

– Panie Heniu, idę o zakład, że to Poker. Trafiłem?

– Też chętnie bym się założył, ale dopóki nie zobaczę, to nie uwierzę. – Pilot ostudził młodego szybownika.

– Wiecie co, ja tak samo, muszę widzieć, żeby dać wiarę, ale w tym przypadku stawiam na Pokera – twardo stwierdził Andrzej.

W geście zwycięstwa obie jego ręce w mgnieniu oka powędrowały do góry. Naprężył je i kilkukrotnie potrząsnął z satysfakcją.

Mawski przyspieszył kroku. Przeczuwał, że są blisko celu. Pies odzywał się teraz głośniej.

Przedarli się przez gąszcz jałowców i jak na komendę stanęli na baczność. Kompletnie zaskoczeni ani drgnęli, bo prosto do nich, ostro ujadając, biegł owczarek niemiecki. Gdy tylko dotknął nosem ręki pilota, momentalnie ucichł. W tej samej chwili sparaliżowani strachem mężczyźni odzyskali pewność siebie. Psi ogon zaczął wywijać w prawo i w lewo, a jeśli istniałaby możliwość zataczania ogonem radosnych kółek, to Poker miałby ich na koncie dużą liczbę. Tak cieszył się ze spotkania przyjaciół.

Zza świerków wyłonił się zaciekawiony Igor i złapał się za głowę.

– Heniu! Chłopaki! Co wy tu robicie? Co za niespodzianka! – Zaskoczony nie mógł się nadziwić obecności aeroklubowych kolegów. – Chodźcie za mną. Szybko! Mamy tego przestępcę! – Z tymi słowami wchodził między drzewa.

Mawski, idąc za spadochroniarzem, dopytywał:

– Co z matką Brunona? Mocno poszkodowana?

– Na szczęście cała i zdrowa, chociaż na pewno przemęczona. Nic jej nie będzie. – Igor uspokajał.

Znaleźli się naprzeciw jasnozielonych leszczyn. Mawski podrapał się po brodzie i westchnął. Przykuły na kilka sekund jego uwagę. Pomyślał o leszczynowym scenariuszu, który zaistniał, zanim jeszcze miał tego świadomość. Z niedowierzaniem westchnął ponownie.

– No już! Wszyscy są tutaj! – Do jego uszu dotarła informacja.

Zobaczył szałas z otwartymi na oścież drzwiami. Kilkanaście metrów obok zauważył Bognę Bromską i trzech mężczyzn. Nie znał żadnego, ale miał pewność, że jeden z nich to porywacz. Uważnie przyglądał się temu, który z obiema rękami opuszczonymi i ciasno przylegającymi do tułowia od szyi po pośladki osznurowany był liną holowniczą, a krótki końcowy jej fragment pełnił rolę postronka. Koniec liny znajdował się w rękach starszego, ale krzepkiego mężczyzny. Obok stał drugi z ręką na temblaku.

– Heniu! – usłyszał pilot i spojrzał najpierw w kierunku chaty, a potem kawałek dalej.

Szybko rozpoznał nadchodzących. To Bruno, który wracał z Olgą z polany, dostrzegł Mawskiego i zawołał:

– Heniu, i ty tutaj? Nie mogę uwierzyć! Jeszcze Jarek i Andrzej? Teraz jest nas tylu, że nie ma mocnych!

– Też tak pomyślałem. – Mawski cieszył się ich widokiem. – Im nas więcej, tym większa siła! Dlatego jesteśmy – dodał z całą stanowczością.

Podszedł do Bromskiej. Znał ją trochę. Czasem zaglądała z mężem na lotnisko, żeby pokibicować synowi. Robiła wrażenie kobiety kulturalnej i sympatycznej. Cenił ją za to, jaką była matką. Bruno opowiadał o niej wiele dobrego.

Uśmiechnęła się do pilota.

– Panie Henryku, bardzo dziękuję – powiedziała cicho.

– Zawsze jestem do usług. Jeszcze przed paroma minutami kamienny ciężar ohydnie mnie blokował, ale teraz czuję się lekki jak piórko. Najważniejsze, że wkrótce wróci pani do domu. – To powiedziawszy, skłonił głowę.

Nie zamierzał w tych okolicznościach zamęczać kobiety. Wyglądało na to, że wiele przeszła.

Ktoś cmoknął go w policzek. To Olga dała upust swej radości.

– Heniu, jesteś po prostu najlepszy! Kto jest w stanie ci dorównać? Pokaż! Nie ma! Taka prawda!

Mawski nie odpowiedział. Pokazał tylko na Jarka i Andrzeja.

– A oni? Oni są jednymi z najwartościowszych facetów, jakich znam! – szczerze się uśmiechnął.

Wzrok pilota padł na Birda, który ze spuszczoną głową stał o kilka kroków dalej. Spętany, bez możliwości swobodnego ruchu, na nic nie reagował. Patrzył w ziemię. Podszedł do niego.

– Taki z ciebie bohater? Nie potrafisz spojrzeć nikomu w oczy? Nie ujdzie ci to na sucho! Masz moje słowo! – dobitnie wyraził oburzenie.

Nie mógł patrzeć na tego człowieka. Odwrócił się w momencie, gdy Bruno ze spadochronem Olgi na plecach i kluczem w ręce przywoływał Pokera. Przypiął psu smycz. Popatrzył na las wokół, jakby się żegnał. Na dłużej zatrzymał wzrok na chacie, a potem zdecydowanie zwrócił się do wszystkich.

– Czas na nas! Przed nami spory kawałek drogi. Gdy dojdziemy do samochodów, zawiadomimy policję. Klucz do szałasu zabieram ze sobą.

Mawski podniósł rękę.

– Mam propozycję! Posłuchacie? – zapytał.

Nikt nie zareagował sprzeciwem. Panowała cisza oznaczająca zazwyczaj aprobatę. Tak też ją odczytał, bo mówił:

– Z ogromnym niesmakiem, ale jednocześnie z przyjemnością, ja i moi koledzy poprowadzimy tego sadystę. Już my go dobrze przypilnujemy! Wy jesteście bardziej wyeksploatowani. Zaopiekujcie się panią Bogną.

– Dobrze. Masz rację. – Bruno zgodził się. – Tylko idźmy całą grupą. Tak będzie bezpieczniej. Wszyscy miejmy się na oku – uzupełnił.

Przodem szli Bruno z matką i Pokerem oraz Olga i Igor. Za nimi Henryk Mawski, mocno trzymając linę, prowadził Birda, którego nie odstępowali Jarek i Andrzej. Ostatni maszerowali Kopski z Gawiczem. Gorsza kondycja Bromskiej ograniczała tempo. Nikomu się jednak nie spieszyło. Dopięli swego i bardzo im zależało, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Nie mogli zaprzepaścić takiej szansy, popełniając choćby najbłahszy błąd. Pilnowali się nawzajem, zerkając co chwilę na towarzyszy. Byli czujni i skoncentrowani. Ukształtowanie terenu kobierzowskiego lasu nie nastręczało nadmiernych trudności. Przemieszczali się dość sprawnie. Szło im nieźle do czasu, gdy nagłym, ostro szeleszczącym szumem obfitego listowia powitała ich leśna potęga – kilkusetletni dąb. Zadziało się wówczas coś niewytłumaczalnego.

Dookoła panował zupełny spokój. I cisza. Jedynie dąb z taką siłą zatargał konarami, że szarpane i miotane liście gęsto posypały się na wędrujących. Najpierw zwolnili, ale po kilku krokach zatrzymali się. Odczuwali niepokój.

Drzewo nie przestawało dudnić i siec chmurami liści. Wiatr rozprzestrzeniał się. Zaczął dosięgać otaczającej go roślinności. Paprocie nisko się kładły. Jałowce i głośno trzeszczące świerki mocno wyginały się na boki.

W dalszym ciągu wszyscy stali. Bronili się przed żywiołem rozłożonymi rękoma i szeroko rozstawionymi nogami. Mawski siłą woli nie

poddawał się porywom i kurczowo ściskał w garści sznur. Poker przywarł do podłoża całym ciałem.

Wiatr ponownie z impetem uderzył w całą grupę. Bird nie był w stanie utrzymać się na nogach. Zachwiał się i upadł. Jeszcze przez chwilę gwałtowne podmuchy dawały się wszystkim we znaki, ale z sekundy na sekundę stawały się coraz słabsze, aż ucichły zupełnie.

Odnosili wrażenie, że dzieje się magia. W milczeniu otoczyli porywacza. Pilot z konsternacją oglądał dłonie. W żaden sposób nie umiał wytłumaczyć sobie, jak to się stało. Nie pamiętał, żeby puścił linę. Kiedy popatrzył na Andrzeja i Jarka, ci wzruszyli ramionami. Też nic nie rozumieli. Porywacz nadal leżał. Poker warował przy nim, wpatrując się nieustannie w Brunona. Nikt nie wykonał ani jednego gestu zachęcającego do pomocy leżącemu.

Niech leży, dopóki sam nie wstanie, taka myśl krążyła wśród świadków tego zdarzenia. Wyczekiwali.

Bird niezdarnie się poruszył. Z trudem oparł czoło o ziemię. Próbował podkurczyć nogi w taki sposób, żeby zdołać klęknąć. Włożył w to wiele wysiłku. Krople potu skapywały z jego nosa. Zacisnął zęby. Maksymalnie wytężył siły. Z mozołem osiągnął cel. Wreszcie stanął.

Mawski znów mocno chwycił sznur. Nikt nie oceniał tego, co się wydarzyło. Onieśmieleni zagadkowością i niezwykłością zdarzenia ruszyli w dalszą drogę. Właśnie zobaczyli pierwsze niewielkie prześwity wolnej przestrzeni. Zbliżali się do skraju lasu.

Nie zdążyli tam dojść, gdy usłyszeli strzępy czyjejś rozmowy i znienacka ujrzeli rozmówców. W ich kierunku szły cztery osoby. Z tej odległości łatwo było się zorientować, że dwie z nich to policjanci. Wkrótce rozmowa stała się wyraźnie słyszalna.

– Antosiu, proszę, nie denerwuj się. – Nieznajoma kobieta zwracała się do mężczyzny idącego obok. – Nie wybaczyłabym sobie, gdyby w tej dziwnej chacie działo się coś złego. Moje przeczucie rzadko mnie myli. – Nerwowo obracała się to w stronę mężczyzny, to w kierunku policjantów.

– Już dobrze, dobrze. Panowie policjanci to sprawdzą. Według mnie okaże się, że jesteś w błędzie. – Nieznajomy okazywał niezadowolenie.

Jeden z funkcjonariuszy wtrącił się do tej rozmowy.

– Proszę państwa, jesteśmy od tego, żeby sprawdzić zgłoszone podejrzenie. Wszystko wyjaśnimy. Proszę nas tam zaprowadzić.

W tej samej chwili drugi policjant zdecydowanie nakazał:

– Proszę się zatrzymać! – Rozłożył ręce szeroko na bok, tworząc zaporę parze rozmawiających.

Kiedy wykonali polecenie, spojrzał na grupę ludzi przemierzających las kilkadziesiąt metrów dalej i krzyknął:

– Proszę stać! Nie ruszać się! – Szybko wytłumaczył partnerowi: – Nie podoba mi się to, co widzę. Oni kogoś prowadzą. Jest związany.

Bez ociągania podporządkowali się rozkazowi i czekali, aż policjanci do nich podejdą. Mawski nadal ściskał w dłoniach linę. Poker powarkiwał na widok obcych, ale Bruno prędko go poskromił. Z jednej strony odczuwali dyskomfort, ale z drugiej doświadczali poczucia ulgi w pełni świadomi, że i tak należało zawiadomić policję o przestępczym incydencie.

Dwaj młodzi policjanci obeszli całą grupę. Z uwagą przyglądali się kolejno każdemu. Padło pytanie:

– Co się tutaj dzieje? Dlaczego ten mężczyzna jest pozbawiony wolności? – Funkcjonariusz w stopniu sierżanta wskazał na Birda, który jeszcze bardziej pochylił głowę.

– Panie władzo! – Tytus Kopski zebrał się na odwagę. – To bandyta, który przetrzymywał tę kobietę – wyciągnął rękę w kierunku Bromskiej – w

drewnianej klatce, w samym środku lasu. Odnaleźliśmy ją i uwolniliśmy, a tego zbira zamierzaliśmy oddać w ręce policji. Dlatego to tak wygląda – dodał, żeby usprawiedliwić okoliczności.

Spojrzał na Brunona, zachęcając go do szerszych objaśnień. Wiedział, że nie ma żartów, bo mogą być potraktowani jak przestępcy. Spadochroniarz świetnie rozumiał, że należy uczciwie wytłumaczyć zaistniałą sytuację.

– To prawda, co powiedział mój sąsiad, pan Tytus Kopski. Uratowaliśmy moją mamę, ponieważ ten mężczyzna ją porwał i więził. Chcieliśmy wyprowadzić go z lasu i zawiadomić policję. Zapewniam, że nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy. Te środki zastosowaliśmy tylko po to, by nie uciekł.

– Aha, jeszcze jedno, proszę pana, mam klucz do chaty. – Bruno wyciągnął z kieszeni klucz i pokazał policjantowi.

Obaj funkcjonariusze przyglądali się niemłodej kobiecie. Dostrzegli w jej oczach cierpienie. Widać było, że fizycznie również jest w kiepskiej formie.

– Czy potwierdza pani te informacje? Czy ten mężczyzna panią uwięził? – zapytał jeden z nich i dociekał szczegółów: – Co mu się stało? – Zwrócił uwagę na dłoń owiniętą zakrwawioną szmatą.

Bromska skinęła głową. Z trudem odpowiedziała:

– Zamknął mnie siłą w ohydnej drewnianej szopie. Znęcał się nade mną. Broniłam się.

– Proszę się nigdzie nie oddalać. – Drugi policjant wydał dyspozycję całej grupie. – Musimy zdecydować, co dalej. Proszę poczekać.

Policjanci odeszli. Przez dłuższą chwilę przyglądali się Birdowi i o czymś dyskutowali. Starali się trzymać taką odległość, żeby nikt niczego nie usłyszał. Wyglądało na to, że przede wszystkim interesują się wyglądem

pojmanego. Nieprzerwanie wodzili wzrokiem po jego sylwetce. Przeciętny obserwator z łatwością zauważyłby, że żółta czapka, białe buty i przeciwsłoneczne okulary cieszą się szczególnym zainteresowaniem policjantów.

W międzyczasie Kopski i Gawicz na przemian trącali się łokciami, spoglądali na sierżantów i na siebie. Doskonale rozumieli, w czym rzecz. Mieli pewność, że policjanci niczego nie przeoczyli. Jeden z nich wyjął telefon. Rozmawiał. Wkrótce wszyscy się dowiedzieli, że trzeba czekać.

Usiedli na trawie, tworząc krąg, wewnątrz którego stali pilot i szybownicy, a w samym jego centrum, w dalszym ciągu nie podnosząc głowy, porywacz.

W tym samym czasie funkcjonariusze podeszli do kobiety i mężczyzny z zainteresowaniem przyglądających się całemu zdarzeniu. Kobieta nie przestawała energicznie gestykulować, a mężczyzna nieprzerwanie marszczył czoło. Po chwili zaczęli koncentrować się wyłącznie na policjantach. Skinęli na znak, że przyjęli do wiadomości ich sugestie i pozostali w tym samym miejscu. Od tej pory sierżanci zajmowali się wyłącznie obserwacją i dozorem osób wyczekujących na kolejne postanowienia.

Ku zaskoczeniu wszystkich już po kilkunastu minutach zbliżało się do nich kolejnych trzech policjantów. Od razu skierowali się do Birda. Uwolnili go z więzów i skuli kajdankami. Nie minęło dużo czasu, a porywacz w asyście policji zniknął za świerkami.

– Proszę się zbliżyć! – Policjant skinieniem ręki przywoływał do siebie całą grupę.

Stanęli w jednym szeregu.

– Spiszemy teraz dane personalne, adresy i dzisiaj jesteście wolni.

Sierżant zatrzymał wzrok na Bromskiej.

– Jak się pani czuje? Czy potrzebna jest pomoc medyczna?

Kobieta spokojnie zaprzeczyła:

– Nie, dziękuję. Jestem wyczerpana. Ale dam radę. Mam dobrą opiekę. – Popatrzyła na osoby, które jej towarzyszyły. – Oni, to moi przyjaciele. – Z naciskiem podkreśliła.

– W takim razie – policjant kontynuował – zapraszamy jutro z samego rana na komisariat. Złożycie zeznania. Poproszę o nazwiska.

Zaczął od Brunona, ale najpierw zaciekawił się jego kudłatym przyjacielem.

– Pierwszy na liście znajdzie się ten grzeczny pies. Jak się wabi i kto jest jego właścicielem?

Owczarek rzeczywiście zachowywał się wzorowo. Nie odstępował swojego pana, który z dumą się nim chwalił:

– To jest Poker, mój pies. Wcześniej należał do mojej mamy. Dzięki niemu było nam dużo łatwiej.

– Ma pan klucz od chaty, w której przetrzymywano pańską matkę?

Funkcjonariusz wyciągnął przed siebie rękę. Klucz po chwili leżał już na jego dłoni, a Bruno zapewniał:

– Zostawiliśmy tam wszystko tak, jak zastaliśmy. – Umilkł, ale za moment dopytał: – Traficie panowie w to miejsce?

– Sądzę, że damy radę. – Sierżant przywoływał właśnie porozumiewawczym spojrzeniem kobietę i mężczyznę. Gdy ruszyli w jego kierunku, obszerniej zaspokoił ciekawość spadochroniarza: – Ci państwo wskażą nam drogę. To ich interwencja spowodowała, że tutaj jesteśmy. A teraz pożegnamy się. Proszę wracać do domu. – Policjant poważnie skwitował okoliczności.

Odwrócił się od stojących i dołączył do drugiego sierżanta oraz pary znającej drogę do szałasu.

Bromska skoncentrowała się na oddalających. Miała pewność, że to ci sami ludzie, którzy zainteresowali się szałasem. Słyszała ich rozmowę. Kojarzyła głosy. Przede wszystkim zapamiętała kobietę zaniepokojoną dziwną leśną architekturą.

– Mamo, chodźmy. – Bruno wyrwał ją z zamyślenia i wziął pod rękę.

Posłuchała syna, ale jednocześnie podzieliła się z nim swoją refleksją.

– Wiesz co, na szczęście zdarzają się tacy ludzie jak ci nieznajomi. Nieobojętni.

– Zgadzam się. – Też tak uważał. – Dobrze, że są.

Stojąca kawałek dalej Olga przebywała z grupką mężczyzn. Trochę zniecierpliwiona poprosiła:

– Poczekajcie jeszcze chwilę. Zdopinguję panią Bromską i Brunonka. Powinniśmy wracać. Czas na normalność. Trzeba odpocząć.

– Bądźmy wyrozumiali po tym, co się wydarzyło, ale to jasne, że należy się zregenerować. – Kopski ciepło się uśmiechał i asekuracyjnie uzupełnił: – Tylko delikatnie, bardzo delikatnie, proszę!

Solennie zapewniła:

– Panie Tytusie, to oczywiste! Postaram się łagodniutko.

Bromska słuchała z ulgą. Kiwała głową z aprobatą, a wątpliwości zniknęły, gdy powiedziała:

– Masz rację, tęsknię za domem. Nie mogę się wprost doczekać. Poza tym powiem wam w zaufaniu – spojrzała na Olgę, a potem na syna – ledwo trzymam się na nogach.

Bruno złapał za ręce obie kobiety i odszedł z nimi na taką odległość, żeby reszta nie zorientowała się, w czym rzecz. Położył wskazujący palec na ustach i mrugnął. Spod koszulki wyjął fotografię.

– Tylko ciii, ani mru-mru – usłyszały obie.

– Ale co na to policja? Powiedziałeś, że nic nie ruszaliśmy – zatroskała się matka.

W mgnieniu oka schował fotografię i z niewinną miną przekonywał:

– Mamusiu, to tylko drobiazg. Bez znaczenia dla wszystkich, ale dla ciebie bardzo ważny. Wkleisz do albumu i będzie tak jak przedtem. – Objął ją ramieniem. Przez chwilę milczał, a później uspokajał: – Nie przejmuj się. Przecież i tak złożysz wyjaśnienia na komisariacie. Niczego nie musisz ukrywać. Nie sądzę, żeby ta fotografia wniosła coś istotnego do sprawy, a z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że nieprędko byś ją odzyskała.

Olga nie miała zamiaru przeciwstawiać się decyzji Brunona. Postanowiła go wesprzeć.

– Chciał jak najlepiej. Nikomu o tym nie powiemy. Brak tego zdjęcia na niczym nie zaważy. – Serdecznie i zarazem przekonująco popatrzyła w oczy starszej kobiety. Żeby rozwiać jej wątpliwości, szybko dodała: – No, moi kochani, czekają na nas! Nie ma co tu dłużej sterczeć. Gotowi do marszu?

– Jasne, że gotowi! – Spadochroniarz wykorzystał okazję do uwolnienia się od problemu fotografii.

Zerknął kątem oka na matkę, ale ta nie oponowała. Dołączyli do reszty. Szli gęsiego, kierując się ku coraz szerszym lukom w leśnym gąszczu. Słońce nie skąpiło ciepłych promieni niedużym fragmentom lasu, inne pozostawały w dusznym cieniu.

Kopski i Gawicz wędrowali przodem. Mawski zamykał tę niezbyt długą ludzką wstęgę. Z tego porządku wyłamywał się tylko Poker, który szedł obok. Wszystkim wystarczyło jeszcze siły na pokonanie ostatnich zakrętów duktu.

Nagle Kopski podniósł rękę i kategorycznie polecił:

– Stójcie!

Stanęli jak na zawołanie, choć sytuacja była niezrozumiała. Nie przypuszczali, że na tym etapie coś może ich zaskoczyć, bo dosłownie sekundy wcześniej zauważyli zarysy czekających aut.

Sąsiad Bromskiej przyłożył do oczu lornetkę. Jego przyjaciel zdziwił się, ale trwał w milczeniu.

– OK! To nie żmija! Raczej zaskroniec – zabrzmiała uspokajająca informacja.

– Sprawdź, Jakubie, czy mam rację. Przyjrzyj się! Tam, na ścieżce, leży ciemny zygzak. Nie jest gałęzią, bo chyba się poruszył. Lubi się wygrzewać. Wybrał nasłonecznione miejsce. Zobacz, czy na pewno ma dwie żółte plamki na głowie. Według mnie tak. Jeżeli to potwierdzisz, to zagrożenie nie istnieje.

Gawicz dość długo mierzył się z obiektem lepiej widocznym dzięki lornetce. Poprawił, na ile się dało, wyrazistość obrazu. Nie spieszył się. Starał się rzetelnie ocenić sytuację. Wreszcie się zdecydował.

– Moim zdaniem to nie żmija. Obejdziemy go. Damy mu spokój. W niczym nam nie zagraża. Gratuluję ci spostrzegawczości!

Zawiesił lornetkę na szyi właściciela. Popatrzył na niego. Od zawsze go podziwiał.

– Mówiłem ci, jeśli dobrze pamiętam, że masz zadatki na wzorowego komandosa – podkreślił zalety przyjaciela. – Dzisiaj uzupełniam tę opinię o survival. To byłaby dla ciebie taka malutka pesteczka! – Pokazał na paznokieć swojego najmniejszego palca.

– Brawo! Brawo! – Mawski ze szczerym uśmiechem poklepał sąsiada Bromskiej po ramieniu. – Jestem pod wrażeniem! Warto być przygotowanym na różne niespodzianki. Wezmę z pana przykład.

– Ech, bez przesady! – Kopski odpowiedział skromnie, ale dopowiedział zupełnie innym tonem: – A tak naprawdę nie da się ukryć, że beze mnie jak bez ręki. Dałem radę z jedną, a co by było, gdybym miał sprawne obie? Wolicie nie wiedzieć, prawda?

W tych okolicznościach było oczywiste, że tylko on miał odpowiednie predyspozycje, żeby iść na czele grupy. Wszyscy to zaaprobowali.

Szedł więc wyprostowany, z wciągniętym brzuchem. Dziarskim krokiem dawał popis ponadprzeciętnej witalności.

***

Kiedy wjeżdżali na ulicę Piękną w Kobierzu, czarowała ona, jak potrafiła najpiękniej! Bromska z wypiekami na twarzy nieustannie rozglądała się na prawo i lewo. Przez otwarte okna samochodu docierały cudowne aromaty, a paleta letnich barw – od zieleni drzew, krzewów i trawników po czerwienie, żółcie, róże i błękity kwiecistych rabat – urzekała ją w najwyższym stopniu. Kipiała szczęściem. Ze łzami w oczach spoglądała na syna, Olgę i Igora. Przytuliła Pokera, który uparcie podawał jej łapę, radośnie przy tym popiskując.

– Nasz ukochany dom – powiedziała z ogromną czułością, gdy otwierali drzwi.

Nikt nie odważył się wypowiedzieć ani słowa. Odczuwali ogromne wzruszenie.

Poker od razu zaczął buszować po całym wnętrzu. Kiedy zaspokoił swą psią ciekawość, z łatwością odszukał miskę z wodą, a potem rozłożył się wygodnie na materacu. W tym względzie było po staremu. Czuł się jak u siebie.

Olga z Igorem zakrzątnęli się w kuchni. Wykładali gorące porcje obiadu kupionego w barze z daniami na wynos.

W tym czasie Bromska usiadła na kanapie w salonie. Szczęśliwa i jednocześnie potwornie zmęczona starała się powrócić do rzeczywistości. Stres zelżał niewiele. Świadomość koszmaru, jaki przeżywała w ostatnich dniach, w dalszym ciągu jej nie opuszczała.

Do salonu wszedł Bruno. Niósł tubkę kleju i fotografię. Na stoliku cierpliwie leżał album. Sięgnął po niego. Usiadł obok matki.

– Zrób to, mamo, teraz – poprosił, podając zdjęcie.

Odszukał puste miejsce. Usunął nożykiem kruche resztki kleju. Wyrwana licealna pamiątka powróciła tam, gdzie przez kilkadziesiąt lat stanowiła ważny element młodzieńczej przeszłości.

Kobieta głaskała ją z sentymentem. Patrzyła na koleżanki i kolegów sprzed wielu lat. Znowu nadeszły wspomnienia. Pragnęła opowiedzieć o dawnych przygodach, tęsknotach i radościach, ale teraz było to zbyt duże wyzwanie. Gorycz blokowała tę potrzebę.

Bruno, który na krótko pozostawił matkę samą, wrócił, trzymając przed sobą książkę. Zajął miejsce na kanapie. Podał książkę, wyjaśniając:

– To od pani Alicji z księgarni. Zdobyła ją dla ciebie. Zależało ci na niej. Dlaczego? Nie słyszałem wcześniej o poecie Piotrze Birdzie.

Cierpienie spowodowało bolesne pulsowanie w skroniach. Pobladła. Drżącymi rękami wycierała łzy. Łkała bezgłośnie. Po dłuższej chwili wyciszyła się i odezwała bardziej opanowana:

– To tomik poezji autorstwa mojego kolegi z liceum. Niedawno zatelefonowała do mnie dawna koleżanka Ewa i to od niej dowiedziałam się o książce. Miałam ochotę przeczytać te wiersze, więc wybrałam się do księgarni, a tam, wyobraź sobie, nie wiem, jakim cudem, wyrósł przede mną jak spod ziemi Piotr.

Spojrzała na syna. Oboje milczeli. Bruno nie ponaglał. Kolejne słowa przychodziły z trudem.

– Mężczyzna, który mnie więził, to właśnie Piotr Bird… Nie miałam z nim kontaktu przez lata. Nie widziałam go, odkąd ukończyliśmy ogólniak… Nie wiem, w jaki sposób mnie odnalazł… Jestem w szoku…

Otworzyła książkę. Zaczęła przeglądać. Zatrzymała się na jednej ze środkowych stron.

– To jeden z wierszy Piotra. Trochę mu przy nim pomagałam. Zatytułowaliśmy go *Ballada o motylach*. Uwielbiałam go. Świetnie się nim bawiłam. Do dzisiaj dobrze pamiętam.

Bruno słuchał cierpliwie. Liczył na to, że matka wyrzuci z siebie emocje, które ją nękały. Przysłuchiwał się zwierzeniom z dużą dozą tolerancji. Całkowicie akceptował to, czym się z nim dzieliła.

Odłożyła książkę. Położyła głowę na oparciu kanapy. Zamknęła oczy. Wyszeptała:

– Muszę go usunąć z pamięci.

Po chwili znowu smutno szepnęła:

– To był dobry, wrażliwy chłopak. Niestety… już nie jest.

IX

Tytusowi Kopskiemu od samego rana dopisywał doskonały nastrój. Zjadł tosty z dżemem truskawkowym i jak zwykle wypił kubek kawy zbożowej z mlekiem. Z przyzwyczajenia również obserwował sąsiednią posesję. Teraz też stał przy oknie i ze spokojem dokonywał oglądu sytuacji.

Wyglądało na to, że nic podejrzanego się nie dzieje, a gdy Bromska wyszła po przesyłkę do kuriera, który czekał pod bramą, i bez dodatkowych perturbacji zamykała furtkę od wewnątrz, zadowolony rzekł do siebie:

– Bez przesady, Tytusie, wszystko jest spoko. No, chłopie, zapowiada się fajny dzień, przestań ściemniać!

Faktycznie ten dzień, który nadszedł po tych ostatnich, bardzo wyczerpujących, nagradzał urokiem.

Czasem bywało z Kopskim tak, że lubił pogadać sam ze sobą, śmiejąc się nierzadko sam z siebie. Uwielbiał też radzić się swojej nieżyjącej od kilku lat żony Amelii. Spoglądał wówczas do góry i pytał:

– Jak sądzisz, Amelio? Czy tak byś postąpiła, Amelko? Co mi radzisz, moja droga?

Albo niekiedy, niesiony nieustającą miłością, mówił:

– Oj, Amelio, Amelio, ty moja ślicznie pachnąca facelio.

Właściwie już od samego rana tak było, bo zaraz po śniadaniu zajrzał do garderoby i, wybierając ubiór na popołudniowe wyjście, zerknął w górę i poprosił:

– Doradź mi, Amelko.

Szybko zdecydował się na lniany garnitur w jasnym kolorze. Uznał, że jasnofioletowa koszula i lekkie beżowe buty są również w dobrym guście. Jeszcze raz popatrzył wyżej. Uśmiechnął się i podziękował:

– Dzięki, to trafny wybór. Zawsze miałaś wyczucie estetyczne.

Odezwał się telefon, więc odłożył ubranie na łóżko i prędko sięgnął do kieszeni spodni.

– Co słychać, przyjacielu? – usłyszał Gawicza. – Zwarty i gotowy?

– A ty? – zapytał. – Humor ci dopisuje? Wiesz, że dziś to podstawa!

– Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, to odkąd wstałem, bujam w obłokach, fruwam z radości. Zadowolony? – Gawicz tryskał optymizmem.

– Czyli niedługo będziesz u mnie? – Kopski nie krył ulgi. – Przyjedź wcześniej, potrzebuję trochę pomocy. Zastąpisz Amelię. Nie wiem, czy dam radę włożyć koszulę. Oczywiście jest to możliwe, ale na razie nie przesądzam.

– Możesz spokojnie poczekać. Będę niedługo. Ale jak cię znam, to… – Gawicz uznał, że nie warto kontynuować tego wątku.

Miał do zakomunikowania przyjacielowi coś ważnego.

– Byłbym zapomniał ci powiedzieć. – Tajemniczo zawiesił głos, odczekał i mówił dalej: – Odbieram samochód od lakiernika. Wygląda bardzo dobrze. Ani śladu zderzenia z jeleniem. Jutro będziesz miał swojego opla pod domem. Gra?

– A jakżeby inaczej! – Kopski był rozradowany. – Przyjeżdżaj! Aha, nie ma innej opcji! Ja pokryję w całości koszty!

Gawicz nie wziął do serca ostatnich słów przyjaciela, bo odpowiedział:

– Dobrze, już dobrze. Możesz pomarzyć. Z góry mówię, że nie będzie tak, jak zdecydowałeś. Jeżeli, to najwyżej pół na pół. Brałem w tym udział tak samo jak ty. Oświadczam, Tytusie, że nie zmienię zdania.

– Wiesz co? – Kopski nieco złagodniał. – Zanim dojedziesz do mnie, porozmawiam o tym z Amelią. Ona tę kwestię mądrze rozsądzi. – Na koniec zaśmiał się i niczym nie zaskoczył swojego przyjaciela, mówiąc: – Przecież wiesz, że nikt lepiej mi nie doradzi.

Ten tekst Jakub Gawicz słyszał już wiele razy.

***

Na policzku poczuł coś włochatego i puszystego. Połaskotało go po nosie. Na wpół świadomy poruszył głową. Twarz zanurzyła się w ciepłe i miękkie futro. Dotarło do niego, gdzie się znajduje i co robi. Przypomniał sobie, że jest w domu o poranku i że akurat się obudził. Otworzył jedno oko, a potem drugie. Odsunął głowę. Poprawił kołdrę.

– No tak. Jak zawsze, Kubi – wymamrotał. – Jak zawsze na mojej poduszce. Do czego to podobne!

Usiadł, podrapał psa między uszami. Kubi był maksymalnie zrelaksowany. Poruszył uszami, jakby mu przeszkadzała natrętna mucha i dalej spał w najlepsze.

– Powiem ci jeszcze jedno. Nie straszę cię, ale w końcu podejmę męską decyzję i kupię drugie łóżko. Skończy się to nocne wykorzystywanie mojego – odgrażał się Mawski.

To również nie robiło na psie wrażenia, ale gdy mężczyzna wystawił nogi spod kołdry, Kubi pierwszy stanął obok na czterech łapach.

Wyszli na taras. Pilot popatrzył na niebo.

– Zanosi się na ładny dzień. I o to chodzi.

Pochylił się nad owczarkiem. Sprawdził, czy obroża nie jest zbyt ciasno zapięta. Spojrzał Kubiemu w oczy.

– Wiesz, piesku, dzisiaj posiedzisz odrobinę dłużej sam w domu, ale nie martw się, nie będę przeciągał.

Kubi koncentrował się na tym, co mówił jego pan. Przechylał łeb na boki, machał ogonem i czekał na komendę.

– Jakbym widział Pokera. Dosłownie! Tyle że Poker nie sypia w łóżku. – Mawski pogroził palcem i powtórzył: – Nie sypia w łóżku!

Kilkakrotnie okrążyli przydomową działkę. Podczas przechadzek pies był w swoim żywiole. Szczególnie, gdy kot sąsiadów czyhał za dereniem na wróble poutykane między liśćmi. Owczarek najpierw zatrzymywał się, tkwił nieruchomo w jednym miejscu, żeby nagle puścić się niczym błyskawica w gonitwę za kotem. Tak było i tym razem. I znowu Kubi nie wygrał tej rywalizacji, bo kot z lekkością i ze sprytem wdrapał się na brzozę i przycupnął prawie u samego wierzchołka drzewa. Mawski odetchnął z ulgą. Nic nie zakłóciło spaceru. Marzył o kawie.

Duży kubek gorącej kawy ze śmietanką i cukrem stał przed pilotem na ławie w gabinecie. To był jeden z jego codziennych rytuałów, po którym energia powracała i nabierał chęci do działania.

Rozkoszował się aromatem napoju i poranną wiejską ciszą, niekiedy przerywaną ptasim śpiewem. Był średnio aktywnym facebookowiczem, ale ten rodzaj kontaktu z lotniczym światem mu odpowiadał. Od czasu do czasu przeglądał nowiny dotyczące dawnych i aktualnych znajomych lotników. Tym razem również poświęcił chwilę Facebookowi, ale to zainteresowanie prędko minęło. Wybrał numer do Jarka.

– Halo! Jestem, panie Henryku! Co u pana? – Szybownik odezwał się nadspodziewanie szybko.

– Superekspres z ciebie! Wygląda na to, że jesteś już na nogach i że cię nie obudziłem – zagajał Mawski.

– Nie! Skąd! Przecież dzisiaj się spotykamy. Coś się zmieniło? – Jarek nie ustępował i nadal dociekał: – Widzimy się dzisiaj? Czy są inne plany?

– Zakładam, że będzie tak, jak przypuszczasz. Ty jesteś na chodzie. Mam nadzieję, że Andrzej też – upewniał się pilot. Starym sposobem zażartował: – Dzisiaj, chłopaki, znowu czmycham, ale tym razem nie w krzaki ani leszczyny. Najprawdopodobniej po południu poczmycham w podniebne głębiny.

– W takim razie, gdy będzie pan dawał nura w te głębiny, to ja i Andrzej publicznością zarządzimy. Tak się wstępnie umawialiśmy? – Jarek również żartobliwie upewniał się, czy nadąża.

– Wiedziałem, że mogę liczyć na twoją bystrość. Prawidłowo rozpoznałeś moje intencje – potwierdził pilot i poprosił: – Nikomu na razie ani słowa!

– To jasne jak lipcowe słońce! Nikt nie może się dowiedzieć. Do zobaczenia!

Końcowa deklaracja usatysfakcjonowała lotnika. Zakończył rozmowę. Lubił i cenił tych młodych szybowników za ich pasję. Dobrze mu się z nimi współpracowało. Miał pewność, że nie zawiodą.

Spojrzał na zegarek i zdziwił się. Dochodziła dziesiąta. Zapakował do torby kombinezon i przybory lotnicze. Wszedł do sypialni. Pies znowu wylegiwał się na łóżku. Nie zamierzał tego zmieniać.

– Kubi, zostajesz w domu – powiedział łagodnie i trochę ostrzej dodał: – Pilnuj i bądź grzeczny!

***

Ta noc minęła romantycznie. Po ostatnich przeżyciach z trudem się pozbierali. Trwało to kilka dni, dopóki stres nie zmalał na tyle, by uczuciom, jakimi siebie darzyli, nie było końca. Zasnęli w środku nocy przytuleni do siebie. Spali tak twardo, że dopiero uparte skomlenie Pokera wyrwało ich ze snu. W dalszym ciągu leżeli i nadal czule się obejmowali.

– Kocham cię. – Bruno pocałował Olgę w nos.

– Ja też cię kocham. – Odwzajemniła się.

– Ale ja kocham cię bardziej – zaczął się przekomarzać.

– To nieprawda. – Lekko uniosła głowę. – Ja na pewno bardziej… Ale, ale! Czy opowiadałam ci o znajomym moich rodziców, który przed laty nas odwiedzał? Byłam wtedy niedużą dziewczynką.

Pokręcił głową.

– Nie przypominam sobie. Mów, ciekaw jestem, czym mnie zaskoczysz.

Słuchał z zainteresowaniem, a Olga z wyraźną sympatią nawiązywała do przeszłości.

– Otóż to był bardzo uprzejmy człowiek. Niestety nie żyje. Któregoś razu powiedział, że nauczy mnie najdłuższego słowa i że prawdopodobnie nikt takiego nie zna. Słyszałam to słowo kilka razy i zapamiętałam co do joty. Do dziś niespecjalnie rozumiem, co ono oznacza, ale jest wyjątkowe. Tchnie wesołością i luzem. Chcesz je poznać?

Pytanie zabrzmiało kusząco, bo opowieść zaintrygowała mężczyznę. Od razu oznajmił:

– Nie każ mi czekać!

– Najwydechteluwaniuchniejszy! – wypowiedziała na jednym wydechu i pękała z dumy. – Jakie niezwykłe! Zawsze pragnęłam mówić trochę oryginalniej. Oczywiście nie posiadam takiego talentu, ale jeżeli powiem najukochanniejszy, będę krztynę bliżej. Jesteś, Bruno, najukochanniejszy! Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? – Była rozemocjonowana.

– Mój skarbie, wiem, wiem! Mam szczęście, że jesteś ze mną. – Ucałował dłonie kobiety, a potem z namiętnością wyznał: – Najpiękniejsza, najcudowniejsza! A oprócz tego najwydech… le… we…! – roześmiał się. – E tam! Muszę poćwiczyć! Nikt ci nie dorówna!

Była wniebowzięta, ale uznała, że czas powrócić do rzeczywistości.

– Schodzimy na ziemię! OK? – Nie dała Brunonowi wyboru.

Popatrzyła poważnie, zastanawiając się, czy powiedzieć, z czym się boryka. Miała nadzieję, że najlepiej będzie mieć to za sobą.

– Posłuchaj, nie mogę uwolnić się od myśli o facecie z kawiarnianego ogródka. Pamiętasz tę sytuację? Mam wrażenie, że porywacz i ten, który wylądował twarzą w misce z wodą, to ten sam człowiek. Czy masz podobne skojarzenie?

Czekała. Chciała potwierdzenia albo zaprzeczenia. Tak czy inaczej, wydobyłaby się z myślowego impasu. Polegała na jego opinii.

– Nie miałem zamiaru ci o tym mówić, żeby nie przedłużać udręki. Odpowiem jednak szczerze. Tak, moim zdaniem to Bird. Pewnie coś knuł, ale to przeszłość. Nie zajmujmy się nim więcej.

Przekonał tym Olgę. Kategorycznie zdecydowała, że Piotr Bird nie zasłużył na to, żeby o nim rozmyślać. Energicznie zachęciła:

– Wstajemy! Raz-dwa! – Śmiejąc się, trzepotała rękami i kokietowała: – No, już-już! A sio! A sio!

Zgrabnie zeskoczyła z łóżka. Pociągnęła brzeg kołdry, ale szybko puściła, bo Poker złapał poszwę zębami i, niemiłosiernie nią tarmosząc, ściągał na dół.

– Dobrze, dobrze. Niech wam będzie. Nie mam siły… – Bruno leniwie na przemian ziewał i postękiwał. – Nie róbcie mi krzywdy! Proszę! Będę grzeczny!

A kiedy pościel znalazła się na podłodze i pies zajął się moszczeniem legowiska, nie wytrzymał:

– Ty rozwydrzony nicponiu! Ja ci dam! Nie wolno! Zejdź! – krzyknął.

Pokazał miejsce przy toaletce. Owczarek zrozumiał. Zaraz tam usiadł.

– Nie gniewaj się! Przebiorę pościel. Może bawił się w taki sposób u twoich rodziców? – Olga trzymała stronę Pokera pokornie wpatrzonego w swojego pana.

– Być może, chociaż wątpię. Zwrócę na ten problem uwagę. Nie gniewam się – zapewnił.

Po krótkotrwałym rozprzężeniu z łatwością odzyskał energię. Nie marnował czasu. Sprężyście wylądował na obie nogi obok łóżka. Przyjął postawę akrobaty idealnie kończącego występ i natychmiast zaczął wszystkich dyscyplinować:

– Pokerze, idziesz na dwór! Ja ruszam do łazienki! Muszę się wypucować. A ty…

Nie miał szansy powiedzieć więcej, ponieważ Olga, wychodząc właśnie z sypialni, mimochodem rzuciła:

– A ja pędzę do siebie. Odświeżę się i za godzinę będę z powrotem.

***

Szeroko otwarte drzwiczki starej komody ponaglały Bromską. Decyzja była trudna ze względu na pamięć o mężu. Usiadła więc na krześle przed meblem i dała sobie kilka minut na zastanowienie. Pamiątki rodzinne stanowiły dla niej dużą wartość sentymentalną. Do takich należały wieczne pióra pieczołowicie kolekcjonowane przez lata. Marek Bromski cieszył się każdym nowo zdobytym. Patrzyła teraz na półki, na których mieścił się zbiór etui. Ich liczba była imponująca. Znacznie przekraczała dwieście.

Spojrzała wyżej, na portret męża. Wisiał nad komodą w szerokiej mosiężnej ramie. Nostalgiczna refleksja przez moment zawładnęła uczuciami kobiety. Nie dała się jednak chandrze, bo po kilku sekundach z żelaznym przekonaniem doszła do wniosku, że jest gotowa. W innych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na tak śmiały krok, ale zaistniałą potrzebę wyróżniała wyjątkowość zbliżającego się wydarzenia. Uważała, że mąż w pełni zaakceptowałby jej pomysł. Uśmiechnęła się do pogodnej twarzy na portrecie. Przestała się wahać.

Ozdobne torebki czekały na swoją kolej. Do każdej wkładała upominek. Dodawała bilecik z podziękowaniem. Do zapakowania pozostały jeszcze dwa. Postanowiła obdarować nimi osoby, którym była szczególnie wdzięczna.

Kolejny wybór miał dotyczyć sukni na popołudniowe wyjście. Wiele wskazywało na to, że będzie ono niezwykłe, uroczyste i radosne. Tak pragnęła wyglądać. Gdy przechodziła obok stolika w salonie, poczuła nieprzyjemny dreszcz emocji. Na albumie nadal leżała niepozorna książka. Drżącymi rękami sięgnęła po nią. Gwałtowne pulsowanie w skroniach stawało się coraz bardziej natrętne. Nie zamierzała się poddać. Wygrała z Piotrem Birdem. Brakło mu siły. Mocno się przeliczył. Gra się jednak nie skończyła. Zdecydowała, że musi nastąpić ostatni, osobisty akt rozliczenia się z porywaczem. Jej wzrok padł na kominek. Uznała, że to najlepsze, choć radykalne rozwiązanie.

Wydzierała kartkę po kartce. Była jak w transie. Nie istniały tytuły i teksty. Słyszała tylko buzujący ogień i widziała wyłącznie jego płomienie. Zatraciła się zupełnie w tym końcowym etapie uwalniania od traumatycznej przeszłości.

Z odrętwienia wyrwał ją głośny klakson samochodu przejeżdżającego ulicą. Szybko się otrząsnęła. Dogasający ogień nie robił już żadnego

wrażenia. Pozamykała okna w salonie i, jakby nic się nie wydarzyło, poszła do garderoby.

Suknia, którą uznała za odpowiednią, od roku była jedną z kilkunastu, jakie posiadała. Nigdy nie miała jej na sobie. Początkowo nie trafiała się właściwa okazja, później, jako wdowa, uważała ją za niestosowną. Sytuacja się jednak tak diametralnie zmieniła, że jedwabna sukienka w kolorze waniliowym z misternym haftem dookoła niezbyt głębokiego dekoltu dawała szansę na miły nastrój.

Stanęła przed lustrem. W tej urokliwej sukni emanowała optymizmem. Delikatny pozłacany naszyjnik oraz jasnokoralowe sandałki na wysokim obcasie czyniły strój eleganckim. Z satysfakcją oceniła efekt. Gwarantował dobre samopoczucie. Zresztą już czuła się świetnie.

Kiedy upinała włosy w nieduży fantazyjny koczek, usłyszała:

– Mamo, jesteśmy! Co robisz?

Akurat uporała się z fryzurą, więc krótko odpowiedziała:

– Idę do was!

Czekali w salonie. Zaskoczona odświętnym wyglądem obojga zareagowała spontanicznie:

– Synu, co za szyk! Skąd wytrzasnąłeś takie dżentelmeńskie ubranie? Jest super!

Z przyjemnością przyjrzała się Oldze.

– Prezentujesz się rewelacyjnie! – szczerze podziwiała. – Nie jesteś w spodniach! To cud. Częściej noś sukienki!

Bruno mrugnął do matki i zrobił minę typu „czego się nie robi…”. Wsunął palec za kołnierzyk białej koszuli i przesunął nim po szyi. Otoczył Olgę ramieniem.

– Nie chcę wam prawić tanich komplementów – zaczął skromnie, a spuentował obiecującą deklaracją: – Niech wybrzmi to jak chce, ale z tak

atrakcyjnymi paniami, to nawet na koniec świata!

***

Aeroklubowa kawiarenka uwodziła radosnym wystrojem. Różnokolorowe balony pozawieszane pod czaszą spadochronu lekko się kołysały. Pani Anna dwoiła się i troiła, żeby zdążyć na czas. Spadochroniarz Igor i instruktor Sławek dotrzymywali jej kroku. Przygotowania na przybycie gości dobiegały końca. Z trzech mniejszych stolików dostawionych do siebie utworzono jeden długi. Serwetki w żółto-niebieską kratkę i porcelanowe wazoniki z białymi margerytkami tworzyły miłą dekorację. Piętrowe patery z ciastem upieczonym przez panią Annę kusiły obfitością smaków i aromatów. Igor zabrał się do rozłożenia sztućców, a Sławek Rys pomagał poustawiać na stole szklane pękate kielichy wypełnione po brzegi jagodami i poziomkami, które zebrano wczesnym rankiem w kobierzowskim lesie. Pozostało tylko donieść filiżanki i przygotować dzbanki do kawy. Zajęło im to kilka minut.

Poker, jak zawsze z wywieszonym językiem, wszedł do kawiarenki pierwszy. Tuż za nim pojawiła się Bogna Bromska. Następni wchodzili spokojnie, jeden za drugim. Ostatnia dołączyła do grupy Alicja Talska. Nikogo nie brakowało.

Pani Anna powitała gości uprzejmym uśmiechem.

– Cieszymy się państwa obecnością! Zapraszamy na kawę.

Podeszła do matki Brunona i wyraźnie uradowana ją ucałowała.

– Jestem szczęśliwa, że panią widzę. Ogromnie!

Bromska nie ukrywała wzruszenia. Ze łzami w oczach wyznała:

– Pani Aniu, nie wiem, jak dziękować. Mogłabym powiedzieć, że jestem w siódmym niebie, ale to stanowczo za mało!

W międzyczasie Igor sprawnie ulokował wszystkich przy stole. Poker miał przygotowaną matę w kącie kawiarenki. Posłusznie zajął swoje miejsce.

Zapach kawy nęcąco otaczał biesiadników, a nieustający gwar często przerywały zachwyty nad smakowitością ciast.

Goście zafascynowani okolicznościami nie interesowali się Brunonem, gdy ten opuszczał kawiarenkę. Jednak kiedy wrócił z dwiema torbami, jedną małą i drugą dużą, ciekawość zwyciężyła. Nikt nie spuszczał z niego wzroku. Większą torbę postawił na pustym stoliku, a z mniejszą podszedł do Olgi, po czym oboje stanęli przed matką.

– Mamo, to dla ciebie. Pragniemy, żebyś cieszyła się, że jesteś z nami. Życzymy ci, żeby już nigdy nic przykrego cię nie spotkało.

Wyściskała oboje. Nie miała szansy zajrzeć do torebki, ponieważ w kolejce ustawili się pozostali uczestnicy spotkania. Odstawiła podarek na pobliski stolik. Nie spodziewała się takiej sytuacji. Była oczarowana życzeniami i upominkami, chociaż te ostatnie stanowiły na razie zagadkę. Gdy wszyscy usiedli, nie ukrywała uczuć.

– Nie potrafię powiedzieć nic innego, jak tylko tyle, że was kocham. Tak, kocham. Jesteście moimi przyjaciółmi. Przyjaźń jest bezcenna. Jest naszą siłą.

Milczenie podkreślało wzniosłość tego wydarzenia. Goście wpatrywali się w kobietę z podziwem i szacunkiem.

Szybko wyczuła nadmiar powagi. Nie o to przecież chodziło.

– Słuchajcie! – powiedziała wesoło. – Muszę koniecznie nacieszyć się tym, czym mnie obdarowaliście!

Stanęła przy stoliku zastawionym upominkami. Po kolei wyjmowała je z torebek. Za każdym razem oczy zaproszonych robiły się coraz większe, a Bromska coraz głośniej się śmiała i coraz bardziej zadziwiona powtarzała:

– Od Brunona i Olgi woda konwaliowa. Od pana Henryka woda konwaliowa. Od panów Tytusa i Jakuba woda konwaliowa. Od pani Alicji woda konwaliowa. Od panów Jarka i Andrzeja woda konwaliowa. Od Igora i pana Sławka woda konwaliowa!

Rząd identycznych, zielonkawych flakonów robił oszałamiające wrażenie.

Zamierzała dowcipnie skomentować tę zaskakującą sytuację, ale kompletnie ją zamurowało. Zaniosła się śmiechem tak jak cała kawiarenka, która rozbrzmiała gęstymi salwami chichotów.

Igor niepostrzeżenie się wymknął, a kiedy po krótkiej chwili na powrót przekraczał próg otwartych drzwi, nic się nie zmieniło. Wymachiwali rękami, przytupywali nogami, trzymali się za brzuchy albo trzęśli brzuchami. Po prostu pękali ze śmiechu.

Kopski pierwszy spostrzegł Igora z naręczem czerwonych róż. Wyprostował się jak strzała. Nastała cisza. Wszyscy wstali. Rozległ się gromki śpiew. Tradycyjne *Sto lat* przeplatane było poszczekiwaniem Pokera. Nikomu nie przeszkadzało, że po swojemu świętował tę uroczystość.

Bromska odurzona różanym zapachem i niezwykłością okoliczności przytuliła bukiet do siebie i milczała. Nikt się nie wyłamywał. Drżącym półszeptem poprosiła:

– Wybaczcie mi. Nadmiar szczęścia prawie odebrał mi mowę. Ogromnie dziękuję.

Upłynęło kilka minut, zanim pokonała słabość. Sięgnęła po dużą torbę. Otworzyła, popatrzyła na gości i wyjaśniła:

– Jestem wam bezgranicznie wdzięczna. Nie znam sposobu, który pozwoliłby mi w pełni to wyrazić. Przyjmijcie, proszę, skromne podarunki. Niech będą pamiątką zwycięstwa, jakie wspólnie odnieśliśmy.

Podziwiali wieczne pióra. Były piękne, każde inne i każde na swój sposób wyjątkowe. Różniły się kolorystycznie i zdobiącymi je detalami. Budziły zachwyt. Olga i Mawski zerkali na swoje, ponieważ tylko te dwa były białe. To, które mieniło się mnóstwem drobniutkich kryształków, należało do spadochroniarki, a to ze spiralnym szafirowym ornamentem było od teraz własnością pilota. Spoglądali raz po raz na prześliczne upominki i na siebie. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Emocje wyolbrzymiały obiektywny ogląd tego, co się działo.

Mało kto zauważył, że Bruno siedział przy stole ze zdziwioną miną. Czuł lekką konsternację, ponieważ przyjemność z podarunku jak dotąd nie była mu dana. Nie przejął się tym zbytnio, ale zaczął się zastanawiać, dlaczego nie zasłużył na ten miły gest.

Wszystko się wkrótce wyjaśniło, bo z samego dna torby matka wyjęła pakunek przyozdobiony szyfonową kokardą.

– Bruno, to dla ciebie. – Z czułością podała mu upominek. – Otwórz i powiedz, czy ci się podoba – dodała.

Nie ruszała się z miejsca. Niecierpliwie czekała na reakcję syna.

Ten otworzył metalowe pudełko, a po chwili prawie przestał oddychać. Dosłownie zaniemówił. Wpatrywał się we wnętrze skrywające tę niezwykłą niespodziankę. Widział zegarek na rękę. Solidny, ze stali szlachetnej, z szeroką bransoletką. O takim marzył od dawna. Nie to jednak czyniło zegarek niepowtarzalnym i jedynym w swoim rodzaju egzemplarzem. Nikt poza nim nie mógł być posiadaczem takiego samego, bo na dużej tarczy widniała podobizna Marka Bromskiego. Jak zahipnotyzowany przyglądał się twarzy ojca. Trudno mu było uwierzyć w to, co widzi. Wreszcie spojrzał na matkę.

– Jak ty to zrobiłaś? To niesamowite! Jak mam ci dziękować?

Wstał i objął ją. W kawiarence zapadło milczenie.

Pani Anna była już przygotowana do następnego punktu kawiarnianej biesiady. Razem z Igorem wynosiła z zaplecza misy wypełnione owocową galaretką z zatopionymi wiśniami i brzoskwiniami. Największa stanęła na wprost pilota.

– Panie Henryku, proszę się częstować. Cała dla pana – zachęciła.

Uwielbiał taki deser, więc z zadowoleniem odparł:

– To mi pani trafiła w gust! Niech chowają się schabowe i golonki!

Przysunęła galaretkę jeszcze bliżej.

– Cała wyłącznie dla pana. Niech nikt się nie waży nawet na nią spojrzeć!

Mawski pogłaskał się po brzuchu.

– Pani Aniu, łakomstwo mnie zgubi, ale proszę się nie martwić. Dam po łapkach, gdyby ktoś miał pozbawić mnie tej przyjemności.

W międzyczasie Rys przyniósł salaterki z ubitą śmietaną. Jedną z nich umieścił przy Mawskim i zaproponował:

– A może trochę białego puchatego obłoczka na wisienki i brzoskwinki?

– Jak najbardziej, Sławeczku. – Pilot chętnie na to przystał. – Obłoczki smakują wybornie!

Bromska uznała, że nadszedł właściwy moment na wręczenie jeszcze jednego upominku, choć wręczenie w tym przypadku nie do końca oddawało istotę okoliczności. Wstała od stołu.

– Słuchajcie, teraz z radością obdaruję jeszcze kogoś. Jest tu z nami. Siedzi grzecznie w kąciku. Czy go widzicie?

W lot pojęli, że chodzi o owczarka, i naraz, jakby się wcześniej umówili, zawołali:

– Poker! Poker! Poker!

– Oczywiście, że chodzi o naszego cudownego psiaka! – potwierdziła.

Wyjęła z torby nową zabawkę.

– Mam dla ciebie frisbee! Popatrz! – Z wyciągniętą ręką podeszła do Pokera.

Niebieski krążek zaciekawił psa. Ostrożnie go powąchał. Bromska położyła przed nim frisbee. Pogłaskała zwierzaka.

– Tobie też dziękuję. Myślę, że będziesz dobrze się bawił.

Jak na zawołanie przy kobiecie pojawili się Jarek i Andrzej.

– Mamy propozycję. – Jarek podniósł rękę. – Chętnie wypróbujemy tę zabawkę. Oczywiście razem z Pokerem. On na pewno nie odmówi!

Bruno bez wahania zgodził się natychmiast. Cała trójka wyszła przed budynek, a przez okno kawiarenki z łatwością można było obserwować fruwające frisbee. Przez otwarte drzwi goście słyszeli:

– Łap, Poker! Łap!

Albo:

– Dobry pies! Grzeczny!

Mawski nałożył sobie kolejną porcję galaretki. Z zainteresowaniem przypatrywał się Bognie Bromskiej. Budziła jego sympatię. Inteligentna, zadbana, pomyślał. Uparcie przyciągała jego wzrok. No i… nie jest chuda, pomyślał znowu. Rozczulony głośno westchnął:

– Hmm…

Szybko się ocknął, rozejrzał po kawiarence. Zerknął na zegarek. Zdecydował, że najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce.

– Pani Bogno, zaraz wracam – zwrócił się do kobiety. – Małe pięć minut.

Ta ze zrozumieniem pokiwała głową. Jej uwagę szybko zaprzątnął zziajany Poker, który właśnie legł na macie.

Do kawiarenki wszedł Jarek, odłożył krążek i zaproponował:

– Robimy krótką przerwę! Wyjdźcie na zewnątrz. Będzie niespodzianka!

Andrzej pokazywał wyjście i dopingował:

– Specjalnie dla wszystkich państwa, na czele z panią Bogną!

Ledwo zdążyli usadowić się wygodnie na ławkach stojących na wprost płyty lotniska, usłyszeli warkot lecącego tuż nad nimi samolotu.

– Uwaga! Wszyscy mnie słuchają! – Jarek klasnął w ręce.

Kawiarniani goście z zaciekawieniem spojrzeli w jego kierunku.

– Samolot, który teraz widzicie, pilotuje Henryk Mawski. Obserwujcie to, co się będzie działo na niebie. Pan Henio zademonstruje wiązankę akrobacji wyższej. Właśnie nabiera wysokości, a musi osiągnąć pułap tysiąca dwustu metrów.

Nikt dłużej nie spoglądał na szybownika, doskonale poruszającego się w tematyce lotniczej. Cała grupa koncentrowała się na samolocie przemieszczającym się wysoko nad lotniskiem.

Jarek z dużą pasją mówił dalej:

– Proszę państwa, ta maszyna to zlin. Spójrzcie, ustawił się pod wiatr i rozpoczyna od figury akrobacyjnej, którą się nazywa korkociągiem. Zauważcie, w tym momencie samolot wytraca prędkość i… zlin jest już w korkociągu! O! Pan Henryk sprawnie wyprowadził samolot do lotu poziomego. Wyobraźcie sobie, że potrzeba tylko dwóch sekund, które właśnie upłynęły, by zlin wzniósł się po łuku. Akurat teraz się to dzieje! Znajduje się już w najwyższym punkcie akrobacyjnym! Uwaga! Zobaczcie! Samolot jest teraz w pozycji plecami do ziemi… ale już powraca do lotu poziomego. W ten sposób pilot wykonał łagodną pętlę. Patrzcie! Patrzcie! – Jarek krzyknął.

Zlin gwałtownie poderwał się pionowo do góry, a po kilkunastu sekundach wykonał przewrót przez skrzydło i zaczął lecieć pionowo w dół.

Wszyscy struchleli.

– O Boże! Trzymaj się, Heniu! – Rozległ się strapiony damski głos.

– Spokojnie, spokojnie. Bez nerwów! – Szybownik tonował nastroje i kontynuował objaśnienia pokazu: – Teraz samolot znajduje się na wysokości około trzystu metrów. Jeżeli widzicie to samo, co ja, a tak przecież jest, to pilot przerwał wykonywanie figur i szykuje się do okrążenia nad lotniskiem w locie plecowym.

Z otwartymi z wrażenia ustami nie spuszczali z oczu lecącego samolotu. Jarek uzupełniał informacje:

– Warto, żebyście wiedzieli, że akrobacje pilot wykonywał z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Całość pokazu trwała około dziesięciu minut. Na tym państwu dziękuję. Czy wszystko w porządku? Zadowoleni?

Panowała cisza. Zafascynowani akrobacją z podziwem i jednocześnie niedowierzaniem kręcili głowami.

Nawet wtedy, gdy zlin bezpiecznie wylądował na pasie, a potem zaparkował na stojance, Tytus Kopski zdrową ręką nadal trzymał się za ucho, a Alicja Talska nerwowo ściskała dłoń Jakuba Gawicza.

W ich stronę zmierzał pilot. Szedł tak energicznie, jakby kilkanaście minut wcześniej wypił filiżankę ulubionej kawy ze śmietanką i łyżeczką cukru.

– Witamy mistrza! – Andrzej zademonstrował uniesione obydwa kciuki.

Rozległy się gromkie brawa. Widzowie szczerze doceniali lotniczy kunszt członka kobierzowskiego aeroklubu.

Mawski, usatysfakcjonowany udaną akrobacją i entuzjastyczną reakcją, szeroko się uśmiechał.

– Miło mi, dziękuję. To dla mnie zaszczyt i przyjemność. Jeszcze raz dziękuję.

Niespodziewanie rozległy się głośne dźwięki starego, lubianego przeboju. To pani Anna zajęła się oprawą muzyczną spotkania. Usłyszeli dawną, energetyczną piosenkę i słowa: „Czy lubi pani cza-czę…”. Jedni ją śpiewali, inni nucili. Zapanowała radosna atmosfera.

– Pani Aniu, proszę *replay*! – rozległa się prośba.

Mawski wstał z ławki i czekał na powtórkę, a gdy tylko piosenka ponownie rozbrzmiała, nie zamierzał opierać się urokowi chwili. Szedł ku Bromskiej, rytmicznie podrygując i śpiewając:

– Czy Bogna lubi Henia?

Czy Henia Bogna zna?

Przy Heniu świat się zmienia.

W podniebne megaspa.

Pani Anna bardzo zadowolona, że instynkt trafnie jej podpowiedział, który utwór wybrać, szepnęła Oldze:

– Zrobiłam to na pewniaka. Wiedziałam, że popłynie, a nawet odleci…

– Tego mu potrzeba. Zasłużył. – Olga przekonywująco poparła wybór. – A tak naprawdę im obojgu dobrze się to przysłuży. Wyglądają na szczęśliwych. Trzymam kciuki!

X

Las powitał ich tak, jak wita się upragnionych i wytęsknionych gości. Czarował urodą i dostojeństwem. Szczodrze obdarowywał świeżością zieleni. Muskał łagodnym wietrzykiem, który raz po raz składał powitalne całusy na ich policzkach. Rozmawiał z nimi za pośrednictwem stukających dzięciołów, kukających kukułek i pohukujących sów. Częstował jagodami, poziomkami i jeżynami. Nie popędzał ani nie powstrzymywał. Dbał o komfort tej wędrówki – spokojny i godny.

A oni znowu szli całą grupą. Nie brakowało nikogo. Prowadził ich Poker. Wiodła głęboka wewnętrzna potrzeba.

Zbliżali się do niego w ciszy i skupieniu. Patrzyli z zachwytem na jego majestat. Stał tam, gdzie zawsze, z szeroko rozpostartymi ramionami. Ubrany był tak jak zwykle latem – w gęsto utkaną liściową szatę. Bardzo stary, ale doskonale trzymający się na potężnej drewnianej nodze, witał jak poważny gospodarz domu, z pełnym szacunkiem.

Podeszli całkiem blisko. Z pokorą kładli dłonie na jego pniu. Bogna Bromska pierwsza przytuliła się do dębu. Potem tulili się do tego poczciwego drzewa kolejno: Bruno, Olga, Mawski, Igor, Kopski, Gawicz, Alicja Talska, pani Anna, Sławek Rys, Jarek i Andrzej. Ich wdzięczność nie miała sobie równej.

Wychodzili z lasu niesieni niewidzialną siłą. Może siłą przyjaźni, empatii, a może siłą magii. Każdy czuł to na swój sposób, ale każdy z nich z pewnością nazwałby ją dobrocią.

***

Środek lata miał się w najlepsze. Bardzo ciepły i kolorowy przepełniał dni optymizmem. Bromska czuła się psychicznie silniejsza. Nie powracała do niedawnej trudnej przeszłości. Stawiała na pozytywne emocje. Siedziała na kanapie z albumem na kolanach. Z zadowoleniem oglądała najnowszą fotografię. Wkleiła ją rano, ale teraz po południu z przyjemnością szczegółowo analizowała.

W tle przepiękny kilkusetletni dąb, a przed nim ona i grupka przyjaciół. Uśmiechnięci, trzymający się za ręce. I jeszcze Poker, na pierwszym planie, z wywieszonym językiem, też jakby się uśmiechał. Była oczarowana zdjęciem. Sprawdziła, czy na pewno jest solidnie przyklejone.

Ktoś zapukał do drzwi. Odłożyła album. Nikogo się nie spodziewała.

Przed drzwiami stał sąsiad z plastykowym koszyczkiem przykrytym lnianą ściereczką. Podał go kobiecie.

– Moja droga sąsiadko, czy wypijesz ze mną popołudniową kawę? Upiekłem ciastka. Chyba nie odmówisz? – zapytał przymilnie.

– Dosłownie przed sekundą pomyślałam o tym samym. Dobrze, że jesteś.

Szanowała Kopskiego i była daleka od jakichkolwiek niefrasobliwych komentarzy. Wzięła koszyczek i szerzej otworzyła drzwi, zachęcając mężczyznę do wejścia.

Usiedli przy stole w salonie. Ciastka pachniały świeżością maślanego wypieku, a aromatyczna kawa wzmagała apetyt na jedno i drugie.

Starszy mężczyzna nie był typem wścibskiego człowieka. Nie rewidował otoczenia znajomych, ale tym razem nie umiał się powściągnąć, bo na komodzie dostrzegł rząd flakonów wody konwaliowej.

– Masz nade mną dużą przewagę. – Wskazał ręką perfumy. – Ja posiadam tylko jedną buteleczkę. Moja Amelia też lubiła ten zapach. – I tęsknie dopowiedział: – Dlatego ją mam.

– Rzeczywiście los mnie szczodrze obdarował. Chyba zrekompensował mi stratę ostatniego, który wypadł mi z ręki w łazience. Potłukł się. Bardzo mi go było szkoda. – Bromska żaliła się.

Postanowiła jak najprędzej zmienić temat rozmowy, bo nurtowała ją pewna zagadka i chciała ją skutecznie rozwiązać, więc spytała:

– Jak poradziłeś sobie z upieczeniem ciastek? Jedną ręką? To mało prawdopodobne. Moim zdaniem niemożliwe!

– Ech tam! – żachnął się sąsiad. – Słyszałaś na pewno, że niekiedy niemożliwe staje się możliwe. Nie zdradzę swojego sekretu. W dzisiejszych czasach to żaden problem. Masz moje słowo. Częstuj się! Smacznego!

Poczęstowała się chętnie, a kiedy rozpływała się w pochwałach nad kruchością wypieku, najpierw usłyszała stukanie do drzwi, a zaraz potem zgrzytnięcie klucza w zamku. Zanim cokolwiek zdążyła zrobić, prosto do stołu maszerował już Poker. Po nim nadeszli Bruno z Olgą, Igor oraz Mawski.

– Co za niespodzianka! Bardzo się cieszę! – Gospodyni nie ukrywała radości. – Proszę, siadajcie. Już robię kawę. Są pyszne sąsiedzkie słodkości. Zapraszam.

Wszyscy znaleźli miejsce przy stole. Olga pomagała obsłużyć gości. Delektowali się nie tylko poczęstunkiem, ale i serdeczną atmosferą.

– Panie Henryku, to miłe, że zechciał pan… – Bromska ciepło popatrzyła na pilota.

– Przyjechałem z dużą ochotą, żeby nie powiedzieć: jak na skrzydłach – roześmiał się i tłumaczył: – Propozycja była nie do odrzucenia. Poker to poker. Przede wszystkim dla sympatycznego spędzenia czasu. Poza tym dla pani. Nie mogłem odmówić.

– Chwileczkę! – Igor wyjął spod stołu papierową torebkę i pokazał jej zawartość. – Chodzi o czekoladowego pokera! – ogłosił i rozwiał wszelkie wątpliwości. – Wygrywasz, przegrywasz, to bez znaczenia, bo i tak dostajesz w nagrodę czekoladę. Fajna zabawa, a odrobinę rozrywki dobrze nam zrobi. Czy ktoś jest przeciw?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo nagle owczarek zeskoczył z legowiska i z głośnym szczekaniem podbiegł do okna. Ujadał coraz bardziej.

Wszyscy w mgnieniu oka wyhamowali przy oknie. Nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. Przed bramą posesji stał biały jeep.

Nie było czasu do stracenia. Poker pędził do bramy jak szalony, a za nim szybkim krokiem podążała reszta. Stanęli w szeregu i czekali. Zachowali bezpieczny dystans od auta. Nie zamierzali wychodzić na zewnątrz.

Drzwi samochodu otworzyły się. Z niechęcią przyglądali się mężczyźnie, który z niego wysiadł. Był młody, wysoki. Ciemne włosy spięte miał na karku w kitkę, a na głowie żółciła się czapka z daszkiem.

– Dzień dobry! – przywitał stojących za bramą.

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Chciałem jedynie zapytać, czy na tej pięknej ulicy jest do sprzedania dom. Może orientujecie się państwo, bo chętnie bym kupił – podał przyczynę swojej obecności.

Mawski zdecydował, że musi kategorycznie zakończyć tę trudną okoliczność.

– Nie słyszeliśmy o domu na sprzedaż. Mamy pewność, że w najbliższej dziesięciolatce takiej szansy nie będzie. Żegnamy pana.

Zwrócił się do Bromskiej:

– Moja droga, wracajmy do domu.

Złapał ją za rękę i poprosił pozostałych:

– Chodźcie, nie mamy tu nic do roboty.

Bogna Bromska była w niemałym szoku, chociaż nie uzewnętrzniała tego stanu. Szła do domu, ale widziała wyłącznie oczy młodego kierowcy białego jeepa. Przypominały brązowe, dobre oczy… licealnego kolegi…